ISSN 0023-5148

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ Nr 9/540 1992

• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

T. CHRZANOWSKI: **TANIEC OSZOŁOMÓW**

D. MORAWSKI: **LUX EX ORIENTE?**

K. WOLICKI: **TRUDNY ROK 1992**

T. TORAŃSKA: **ROZMOWA Z JANEM KRZYSZTOFEM BIELECKIM**

A. KORASZEWSKI: **KOCHAJ BLIŹNIEGO SWEGO**

# SPIS RZECZY


| | | |
|---|---|---|
| Tadeusz Chrzanowski: | *Taniec oszołomów* | 3 |
| Gustaw Herling-Grudziński: | *O wygnaniu* | 17 |
| Dominik Morawski: | *Lux ex Oriente? (Notatki z podróży na Ukrainę)* | 23 |
| | WIERSZE | |
| Czesław Miłosz: | *Wypisy z ksiąg użytecznych: o rzeczach.* Su Tung Po: *Na obraz Wanga, sekretarza Yen Lina;* Robert Morgan: *Sznur od dzwonu;* Rolf Jacobsen: *Wiek wielkich symfonii; Kobalt;* Robert Hass: *Obraz;* Al Zolynas: *Zen domowych zajęć;* Yuan Mei: *Kiedy nadchodzą chmury;* Tu Fu: *bez tytułu* | 41 |
| | ARCHIWUM POLITYCZNE | |
| Krzysztof Gawlikowski: | *Gdyby „święty Mao" tego dożył...* | 46 |
| Józef Garliński: | *List z Londynu (25)* | 54 |
| | KRAJ | |
| Krzysztof Wolicki: | *Trudny rok 1992* | 59 |
| Grażyna Pomian: | *Panowie w stolicy gadają...* | 66 |
| | SPRAWY I TROSKI | |
| Marek Adamiec: | *O jednym aspekcie zdziczenia obyczajów intelektualnych* | 72 |
| Andrzej Koraszewski: | *Kochaj bliźniego swego* | 78 |
| Jerzy Jastrzębowski: | *„No win"* | 84 |
| | WYWIADY „KULTURY" | |
| Teresa Torańska: | *Rozmowa z Janem Krzysztofem Bieleckim* | 87 |
| | SĄSIEDZI | |
| Adam Kruczek: | *Notatki z Rosji* | 129 |
| Bogusław Bakuła: | *Z prasy ukraińskiej* | 134 |
| | KRONIKA KULTURALNA | |
| Andrzej Dobosz: | *O chłodnej wodzie* | 137 |
| Leszek M. Koźmiński: | *Literatura i życie* | 142 |
| | CI, CO ODESZLI | |
| Joanna Szczepińska-Tramer: | *O Karolu Sterlingu* | 145 |
| Wojciech Popławski: | *Prof. Jan Skowroński (1932–1992)* | 151 |
| | KSIĄŻKI | |
| Andrzej Biernacki: | *„Akcent" — dwunastolatek* | 153 |
| Teresa Halikowska-Smith: | *Adam Czerniawski: „Scenes from a disturbed childhood"* | 156 |
| — | *Nadesłane nowości wydawnicze* | 158 |
| | WOLNA TRYBUNA | |
| Jan Winczakiewicz: | *O przyszłej konstytucji* | 160 |
| | • | |
| — | *Wydarzenia miesiąca oraz Kronika kanadyjska* | 166 |
| — | *Apel Instytutu Józefa Piłsudskiego* | 171 |
| | • | |
| A.T. Bąkowski, J.M. Bocheński, P. Daszkiewicz, Z. Frank, J.A. Tomaszkiewicz: | *Listy do Redakcji* | 172 |
| — | *Odpowiedzi Redakcji* | 175 |


VARSOVIE BN
W6


# KULTURA

***Szkice • Opowiadania • Sprawozdania***

PARYŻ Wrzesień - Septembre 1992

**INSTYTUT LITERACKI**

## WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

| | | |
|---|---|---|
| Association Polonaise de Genève | F. | 368,46 |
| C.P. Czuchwicki, Panorama, S.A. (Australia) po raz 20-ty | F. | 200,00 |
| Lech Krysiewicz, Montreal, PQ (Kanada), po raz 6-ty Dol.c. 50,00 | F. | 210,00 |
| François Prause, Chiangmai (Tailandia), po raz 35-ty | F. | 200,00 |
| Igor Sevcenko, Cambridge, MA (USA) Dol. US 100,00 | F. | 500,00 |
| Irena i Jerzy Szwede, Palo Alto, CA (USA) — zamiast kwiatów na trumnę śp. Jadwigi Dąbrowskiej, córki „ukrainnej" poetki Jadwigi Podhorskiej, wdowy po Jerzym, konstruktorze samolotów, ostatnio związanej z Uniwersytetem Stanford — Dol. US 50,00 | F. | 250,00 |
| Zamiast kwiatów na grób śp. Stanisława Dąbrowskiego, zmarłego w maju 1992 w Lublinie — Koledzy | F. | 100,00 |
| Zamiast kwiatów na grób mojej ciotki, Faïny Gazdanoff, wdowy po pisarzu Gaïto Gazdanoff — w 10-tą rocznicę Jej śmierci — Bratanica | F. | 300,00 |

●

| | | |
|---|---|---|
| Jan Zalewski, Chester (W. Brytania): — Na pomoc Polakom w Rosji £stg 10,00 + £stg 10,00 = £stg 20,00 | F. | 191,00 |
| — Na fundusz *Kultury* £stg 5.00 | F. | 47,75 |

DZIĘKUJEMY!


Polnische Buchhandlung

**KSIĘGARNIA POLSKA**

**Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria**

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

**Tel. i fax: (1) 52 63 114**

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w jezyku polskim, polonica w jezykach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie


# Taniec oszołomów

Przed dwoma laty leciałem w zimowy wieczór z Nowego Jorku do Detroit. Żegnało mnie, jak to się banalnie mówi, „morze świateł", gdy jednak zaczęliśmy się zbliżać do celu, pojawiło się kolejne „morze", jeszcze rozleglejsze, jeszcze bezkreśniejsze. Dziś wiem, że wynikało to z dezintegracji tego miasta-nie-miasta nad jeziorem Erie, gdzie „czarna fala" lat sześćdziesiątych zmiotła ogromne śródmieście, którego, poza niewielkim stosunkowo a wysoko wypiętrzonym drapaczami chmur *down-town*, nie odbudowano, więc śródmieścia po prostu nie ma. Są kilometry pustek z wysepkami zachowanych budynków, a za to rozwinął się ogromny miasteczkowo-wioskowo-jednorodzinno-domkowy układ satelitarny. To mi uświadomiło, że świat nasz przeobraża się w jakąś gigantyczną maksi-mega-superpolis. Potem zaś przyszła refleksja: a może przeobrażamy się w jakąś maksi-mega-superwiochę położoną na wschód od Edenu?

I jeszcze pomyślałem: w tej maksi-mega-superwiosze odbywa się permanentne wesele: do tubylców-chłopów przyjechali z Edenu „państwo" i wszyscy tańczą w imię pobratania. Tymczasem w to dobrane towarzystwo coraz liczniej zaczynają się wciskać jakieś dziwne chochoły. Jedni są w panterkach, arafatkach albo głowy mają opasane jakąś szmatką-szarfą, inni mają doskonale skrojone garnitury, a jeszcze inni imitują niedbalstwo przy pomocy intelektualistycznych *jeans*'ów. Tyle że to żadne wyspiańskie chochoły, które póki co nie wadziły, ale oszołomy, z których każdy chciałby zawładnąć światem, a przynajmniej jakąś pipidówką.

Więc zabłużniłem: Boże Ty Mój, czemu stworzyłeś mnie takim głupcem, takim niebywałym, nieopisanym, nieusprawiedliwionym głupcem? Bo kiedyś tam, przed laty, gdy dochodziłem do własnego rozumku, myślałem, że po tych hekatombach, które

świat doświadczalnie sprawdził na swym ludzkim naskórku, nastąpi przecież jakieś powszechne oprzytomnienie, że ludzkość się nareszcie opamięta!

Zwłaszcza, że na horyzoncie zaczęły się jawić jakieś jutrzenne poblaski: zbrodniarzy międzynarodowo osądzono (tylko, że nie wszystkich!), powstała Organizacja Narodów Zjednoczonych i raz po raz dokonywano olśniewających odkryć i udoskonaleń technicznych (tyle że zarówno w dziedzinie medycznej jak też w dziedzinie masowej zagłady).

Tymczasem z perspektywy Zachodu XX wieku wszystkie te wizje udoskonalonej międzynarodowej koegzystencji, owe jutrzenki kulturowo-cywilizacyjnego postępu zaczęły wypaczać się, wynaturzać, przeobrażać ze światłości w mrok. Czyżby więc miał to być „zachód Zachodu" (bo tak też można by przetłumaczyć tytuł słynnego dzieła Oswalda Spenglera)? W pewnym sensie tak, ale ponieważ nie wiadomo dokładnie, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy Zachód, rzec można śmiele: są to znamiona uwiądu cywilizacji w ogóle. O kulturze nawet i wspominać nie warto: coraz bardziej kurczy się bowiem do *jeans*'owych elit.

Czy moje złowróżbne przepowiednie są przesadne? I tak, i nie. Bo jednak: wychodzimy z naszych domów w jakimś Perigord, Izmirze, Pretorii, Sacramento czy nawet w Krakowie: świeci słońce, ptaszki (o ile już ich nie wytruto) piszą na całe gardło, muszki (o ile ich już nie wytruto) pobzykują, chodnikami przechodzą ludzie, którym inni — z witryn sklepów i knajp — oferują przeróżne smakołyki, a jezdnią przemieszczają się pojazdy, więc skąd ta jakaś wizja mega-maksi-superwiochy, skąd ta jakaś apokalipsa? Czy jednak tak samo wygląda niebo i ulica w Dubrowniku, Sarajewie, Stepanakercie i Benderach? W tak błyskawicznie doskonalącym się technicznie świecie rozciągają się ogromne strefy głodu i nędzy, a także zabarykadowane wyspy bogactwa i pychy, a chochoły-oszołomy w panterkach pukają ze swoich szybkostrzelnych zabawek, eksplodują bomby i są nawet skurwysyny, które się do tego oficjalnie przyznają. Nad światem rozdziawia się ogromna paszcza, ukazująca czarne podniebienie nienawiści i wrzeszczy, że trzeba zabijać i niszczyć. Tańcowi oszołomów przygrywają dwaj koszmarni muzykanci: jeden w panterce, drugi w doskonale skrojonym garniturze, tyle że obaj kostiumy te przywdziali na ruszt kościotrupowi. A nazywają się: Terror i Furror.

Skąd się to wszystko wzięło: to szaleństwo, ta nienawiść, ta potrzeba mordowania? Istnieją w moim przekonaniu przyczyny wewnętrzne i zewnętrzne, a w każdej odmianie znaleźć można trzy podstawowe bodźce, które oczywiście dość ściśle się ze sobą zespalają, ale równocześnie dadzą się analitycznie wyodrębnić.



Jako przyczyny wewnętrzne rozumiem pewne specyficzne właściwości tych jednostek, które sobie wybierają oszołomstwo jako kierunek działania. Najprymitywniejszą odmianą bodźca wewnętrznego jest potrzeba władzy: obojętne, nad narodami, nad jednym narodem, nad grupą społeczną, nad plutonem czy garstką *desperados*. Imperatyw przywódczy jest najprymitywniejszym i zarazem najniebezpieczniejszym czynnikiem w kreowaniu oszołomów aktywnych. Nie bardzo pojmuję, czemu pragnienie władzy pcha ludzi do zbrodni, bo sam nigdy takowego nie odczuwałem i nawet pewną wygodę znajdowałem pod pantoflem pani małżonki. Ale widocznie imperatyw jest wyjątkowo nęcący, jest to swego rodzaju popęd płciowy jednostek niewyżytych: tyle ile w akcie seksualnym jest przemocy, „posiadania", zniewolenia — tyleż, ale w o wiele wyższym stopniu, jest tych elementów w akcie rządzenia. To już tylko moje domniemanie, że ów imperatyw najczęściej pojawia się u ludzi o byczkowatej strukturze psychicznej, u osobników nie nadmiernie inteligentnych, a więc takich, którzy po prostu nie chcą i nie potrafią „zająć się czymś innym".

Oczywiście — to nie oznacza, że do władzy pchają się tylko przygłupy: o nie — trafiali na jej najwyższe szczeble ludzie o wyjątkowo sprawnej inteligencji, tyle że w jakiś sposób jednostronnej, a więc w swej wielkości jednak niedopełnionej. Niegdyś Aleksander Macedoński i Napoleon, w nowszych czasach Hitler i Stalin, a także zapewne i Mao byli na swój sposób zdefektowanymi geniuszami. Proszę jednak pamiętać o tym, że orgazm spełnienia władzy rozmieszcza się na wysokiej drabinie: ten sam imperatyw pcha wodza imperium, przywódcę jakiegoś narodku i wreszcie jakiegoś kaprala, dowodzącego gromadką najemników czy zomowców. To sprawa różnic jakościowych w zakresie możliwości pojedynczych oszołomów władzy, istota pozostaje identyczna.

Sprytny przywódca wie jednak, że nie zgromadzi dla realizacji swych celów liczniejszego zastępu, jeśli tylko rozdzielać będzie przydziały władzy. On musi jeszcze — by się zabezpieczyć — pozyskać poparcie tzw. mas, czyli najciemniejszych części społeczeństw. Dla tych mas tworzone są doktryny. Doktryny stają się nadbudową czystego orgazmu przywódczego. Przypuszczam, że Hitler w swą chorobliwą doktrynę uwierzył — był to wysoce inteligentny, a zarazem chory umysł, porażony — co często się zdarza w tych gremiach — przeświadczeniem o czynnikach szczególnych: Bogu, losie, przeznaczeniu, charyzmie itd. Przypuszczam natomiast, że Stalin żadnych metafizycznych odczuć nie miał: był to dziki, prymitywny człowiek, który potrafił sprytem i bezwzględnością wdrapać się na czubek, ale na tym czubku zasiadłszy tworzył cynicznie swoją odmianę mar-

ksizmu: odmianę mało filozoficzną (brakowało mu wykształcenia), ale owijającą slogany i teorię wokół pragmatycznego rdzenia: jak trzymać to wszystkich, za mordę i krótko.

I znów obserwować można to zstępowanie w dół doktryny: im niżej, tym wyrazistszy sloganowy przybiera ona charakter. *Ad usum massae* wykoszlawia się do krzyków, które zastępują jakikolwiek wywód: fanfary i flagi, cała teologia i liturgia władzy zostają wprowadzone w ruch, maszerowanie ułatwia niemyślenie, bezmyślną konsumpcję sloganów. Propaganda przeobraża się w wielostrefową maszynę do prania mózgów. Konsumentom doktryn równocześnie sprawia się wrażenie, że posiedli kamień filozoficzny. Marksizm perfekcyjnie posługiwał się założeniem „jedynie naukowo słusznej metody", co ciągnie pośmiertne następstwa do dziś: wszyscy, którzy — jak ksiądz Tischner — nieustannie powracają do zjawiska *homo sovieticus*, wiedzą o tym dobrze. Tylko, że tych wszystkich cholernie mało na tym świecie, gdzie rozjudzone masy wtykają sobie nawzajem jak niegdysiejsze dzikusy na odkrywanych lądach, błyskotki pseudofilozoficznych kamieni. Pozawieszali je sobie, jako talizmany, na szyjach, ponakładali na czapki (bo bliżej mózgownic) i tańczą wokół wysokiego płomienia, który sprawia, że otaczająca ich ciemność staje się jeszcze ciemniejsza.

Doktrynerstwo zaliczyłbym do bodaj czy nie największych zagrożeń mijającego i nadchodzącego tysiąclecia. Przedtem doktrynerstwo ograniczało się geograficznie, najczęściej do jednego kraju lub narodu, ale nasze stulecie upowszechniło zjawisko. Dokonała się — by być wiernym terminologii marksistowskiej — internacjonalizacja doktryn. To nie znaczy, by wszystkie się aż tak upowszechniły, ale jednak choroba marksizmu tak. Inne doktryny wciąż jeszcze nie wykraczają poza pewne określone strefy, jak np. fundamentalizm islamski. No ale ta strefa obejmuje — drobiazg — jedną czwartą globu.

Formułę doktryny przyjmuje też niejednokrotnie nacjonalizm. To nic, że wyższość i płynące stąd specjalne przywileje jednej nacji to teza nie do obronienia. Przeważna część doktryn stoi na nie dających się udowodnić hipotezach, głoszonych jako pewniki. Nacjonalizm żeruje jednak dodatkowo na czynnikach sentymentalnych: odwołuje się bowiem do patriotyzmu, szermuje kategoriami wzniosłymi acz wątpliwymi, przyjmując założenie, że dobro własnego kraju i własnego narodu są wartościami nadrzędnymi.

Nie trzeba chyba wyjaśniać, że nacjonalizm w rzeczywistości nie ma nic wspólnego z patriotyzmem, bowiem patriotyzm prawdziwy musi stosować kryteria sprawiedliwości ogólnej, kryteria prawa wszystkich narodów i wyznań do podstawowych dobrodziejstw wolności itd., itd. Gdy Polacy wypisywali na sztandarach powstańczych z 1863 r. hasło: „za naszą i waszą wolność", było to hasło piękne a ponadto zaszczytne. Gdy narodowi mistycy (wieszczowie *y compris*) wykoncypowali, że Polska jest Chrystusem narodów, było to objawem aberracji spowodowanej tragiczną sytuacją ich ojczyzny. Nieżyjący już niestety Jan Józef Lipski, człowiek o nieposzlakowanej moralności, etyczny agnostyk, dał wykład podstawowy patriotyzmu, tyle że niepotrzebnie rzecz tę zatytułował: „O dwóch patriotyzmach", bo nie ma dwóch — jest tylko jeden, a inne to podszywania się, falsyfikaty ideowe.



Do kanonu teorii ale i sloganowej propagandy należą pojęcia niepodległości i suwerenności. Obecny świat przestał być składanką królestw, z których każde, leżąc „za górami, za lasami", stanowiło jednostkę samowystarczalną, a więc egzystującą samą w sobie i samą dla siebie. Świat obecny w procesie zawrotnego przybliżenia się wzajemnego, stał się już dawno systemem naczyń połączonych, tak — zgadza się: źle połączonych, sfuszerowanych, ale przecież nie chodzi o to, by go znów dzielić jakąś „wojną na górze" (czego dostatecznie zakosztowaliśmy w naszym partykularzu). Tak więc nad owym źle połączonym światem ścierają się dwie tendencje: jedna — archaiczna i szkodliwa — głosi niepodległość i suwerenność absolutną, druga — progresywna — dąży do wypracowania takich więzi ponadpaństwowych, by ów świat rzeczywiście się pomalutku scalał, co nie negując ani niepodległości, ani suwerenności, wprowadza jednak w tym zakresie pewne samoograniczenia.

Suwerenność i niepodległość nie dopuszczają bowiem prześladowań: mniejszości, ludzi inaczej myślących, opozycji, jednym słowem Żydów, masonów i cyklistów. Nie dopuszczają w ogóle ograniczenia praw jednostek. Radość z obalenia komuny, która w miejsce dobrowolnego i logicznego wprowadzała system sztucznie wykoncypowany a terrorem narzucany, nie powinna nam zamazywać rzeczywistości: diabły wypuszczone ze skutecznie (bo KGBowsko) zakorkowanej butelki, rozszalały się na dobre nie tylko w „ojczyźnie chłopów i robotników", ale w wielu innych ojczyznach. Na gruzach sowietyzmu rozhulały się diabły nacjonalizmu i chłopcy w panterkach pukają ze swych śmiercionośnych pukawek ile wlezie. A chociażby taki Afganistan, przedgrobie Związku Sowieckiego: wojował o swą niepodległość lat ileś tam, gromiąc sowieckich interwencjonistów, a gdy się niepodległości doczekał, zaczął się hartować w gronie zwycięzców.

Wydawałoby się, że im wyższy stopień rozwoju cywilizacyjnego, tym łagodniejsze przebiegi takich nacjonalistycznych spazmów i jak dotąd słowackie oszołomy nie zaczęły jeszcze strzelać do oszołomów czeskich, ale sam fakt, że tamtejsi nacjonaliści odwołują się do ks. Tiso, jako bohatera niepodległości, jest aż

nadto wymowny. Oni po prostu doszlusowują do tych neohitlerowców, neofaszystów i neosowietystów, którzy coraz jawniej i bezczelniej odwołują się do swych prawdziwych ideowych rodowodów.

Nam w III Rzplitej nie brak także „niepodległościowców" wszelakiej maści. Odzyskawszy wszystko, chcieliby jeszcze więcej. Chcieliby marszu na Lwów i Wilno. Chcieliby wypędzenia wszelkich Niemców przebywających na naszych ziemiach, niezależnie od tego, czy przybyli tu w interesach, czy też dlatego, że się tu... urodzili. Chcieliby rozprawienia się z mniejszościami, z wyznawcami innych niż oni religii, z cytowanymi Żydami, masonami i cyklistami. A wszystko to pod wzniosłymi hasłami „demokracji". Oto po upadku rządu Jana Olszewskiego grupa intelektualnych oszołomów, gdzie przytrafiły się dwa-trzy nazwiska znane i zaskakujące w tym towarzystwie, ogłosiła dramatyczny apel, że oto zburzona została co dopiero zbudowana demokracja. A niby jak, ja się pytam: że się zdecydowana większość demokratycznie wybranego parlamentu opowiedziała za cofnięciem temu rządowi poparcia? To ma być, wedle oszołomów, zamach na demokrację, wolność i niepodległość? Czyli, że demokracja, wolność i niepodległość jest wtedy, kiedy my lub nasi są u władzy, a nie ma jej, gdy większość jest przeciw nam (lub „naszym").

Nasi „niepodległościowcy" jak się zdaje nauczyli się walczyć, czy raczej pokrzykiwać i jakoś nie mogą przestać, odbywają donkiszotowskie boje z dyktatorsko-zaborczymi wiatrakami, mącą w narodowej mózgownicy zbiorowej. Na szczęście te objawy chorobowe są ze strefy politycznego *Grand* (tylko dlaczego *Grand*?) *Guignole*'u. Gdzie indziej takie same postawy przynoszą następstwa i to wcale nie tak daleko od nas. Wystarczy spojrzeć *nach unten* (tak się dawnymi czasy określało wakacyjne wyjazdy do Abazji czy wręcz Italii): jeśli nie w samym sercu, to w każdym razie w otrzewnej Europy odbywa się od wielu już miesięcy pogrom ludobójczy i bezprzykładne niszczycielstwo. Rozpad Jugosławii wypuścił z komunistycznej butelki szczególnie zażarte diabły. I nieprzypadkowo przewodzi owemu ludobójstwu i niszczycielstwu przywódca jednej z ostatnich fortec komuny na naszym kontynencie, który — jak w makabrycznym żarcie — nosi nazwisko: Slobodan Miloszewić, skoro swobód żadnych nie znosi, a miłość demonstruje specyficznie: przy pomocy chłopców w panterkach i wszelkich dostępnych mu rodzajów broni.

Ale w momencie, gdy rozpowszechnia się w całej Europie przekonanie, że jedynym sprawcą tego co się w tej europejskiej otrzewnej wyprawia, jest „mała Jugosławia" (Serbia z Czarnogórą), nie należy zapominać o tym, że inny z ważniejszych uczestników konfliktu — Chorwacja — ma w swojej niedawnej przeszłości wcale nie świetliste karty kolaboranckiego kraiku Ante Pavelicia. I drugim makabrycznym żartem historii jest to, że Slobodan Miloszewić ma aparycję tłustego poczciwca, a podobną (jeżeli wierzyć relacji Malapartego) miał ówże Ante Pavelić, który inicjował rzezie mniejszości serbskich na obszarze swego „protektoratu".



Telewizja i inne środki masowego przekazu żerują na tych partykularnych, nacjonalistycznych wojenkach. I nieustannie pojawiają się w relacjach, obojętnie czy w Chorwacji lub Bośni, czy w Naddniestrzu, Osetii, Sri Lance i Kambodży, młodzi ludzie w panterkach i z pukawkami, na których ktoś ileś tam zarobił. I zastanawiam się, co ci chłopcy myślą? O ile myślą, bo równie dobrze można by przyjąć, że ich działania to pawłowoskie odruchy warunkowe. Jeśli jednak myślą, to zapewne wyobrażają sobie, że walczą w imię ojczyzny albo idei, gdy w rzeczywistości mają nie tylko kostiumy, ale i duszyczki najemników, którzy nadmiar energii wyładowują w męskim jakoby zawodzie żołnierza.

Kiedy więc pragnienie władzy, doktrynerstwo, nacjonalizm jawi się na tych niskich strefach siepactwa jako zwyczajny bandytyzm, w górnych przyobleka się niekiedy (lub raczej: usiłuje przyoblec) w togę filozoficzno-ideologiczną. I tu przybliżamy się do sprawy bodźców, które niezbyt może precyzyjnie określiłem jako zewnętrzne. Podstawą staje się tu wszelkie działanie polityczne, które poprzez doktrynę wypracowuje strategię podporządkowania. To znaczy narzucenia siłą doktryny i utrzymania siłą własnej władzy. Prowadzi to do stosowania terroru, przymusu, ograniczeń prawa jednostki itd. W ślad za umacnianiem doktryny wewnątrz rządzonego obszaru przychodzi tendencja ekspansjonistyczna, bowiem tym najdalszym i najświetniejszym blaskiem, który niejednemu już przypalił skrzydełka (nietoperze raczej niż motyle) jest marzenie o władaniu całym światem. Na usługach ekspansjonizmu stoi doktryna nieingerencji w wewnętrzne sprawy innych państw, a w jeszcze dalszym tle, za to generalnie i dogłębnie, stoi czynnik zysku: ekonomia, jako fundament władzy czyli posiadania w tym wieloznacznym sensie tego słowa.

Uzyskiwanie prymatu politycznego opiera się na kilku bardzo archaicznych poglądach: kacykowie od Stalina do Saddama Husejna potęgę przeliczają na liczebność armii i jej wyposażenie. Inni na liczebność społeczeństw, na tzw. skarby naturalne, na rozległość terytorialną. Ci wszyscy dobrodzieje ludzkości mało interesują się losem poszczególnego człowieka. Można by rzec, że jednostka staje się niewygodnym elementem statystyki. Niewygodnym ale niezbędnym. Któż by bowiem udźwignął na swych grzbietach następstwa praktyczne doktryn?

Jednym z największych nieszczęść współczesnego świata jest to, że połączono jego części zbyt szybko owym niezwykłym przyśpieszeniem ekonomiczno-informacyjno-komunikacyjnym, a więc różnice pomiędzy krajami, a w ich obrębie pomiędzy poszczególnymi grupami społecznymi stały się daleko boleśniejsze i groźniejsze niż były dotychczas. Oczywiście nie sposób zmienić tej sytuacji z dnia na dzień, ale wydaje mi się, że wielkie współczesne potęgi (a chociażby „siódemka" — nie ona zresztą jedyna) zbyt zapatrzone są w utrzymanie i zwiększenie własnych korzyści, by uwagę poświęcić tym wszystkim, którzy mogliby być ich partnerami, ale nie są, bo nie mogą — zdani na samych siebie — nadążyć i dogonić. Plan Marshalla ukazał kiedyś, że zainwestowanie w dziadów (bo przecież Europa po drugiej wojnie światowej była totalnie dziadowska) przynosi wspaniałe korzyści także inwestorom. Byłby czas najwyższy, by pomyśleć o olbrzymim planie Marshalla dla całego drugiego, trzeciego i kilkunastu kolejnych światów.

I nie chodzi tu o pomoc charytatywną, która zawsze jest efemeryczna, przemijająca i konsumpcyjna. Ona jest niezbędna w przypadku klęsk nagłych, ale nie jako *constans* międzynarodowej ekonomii. Podnoszenie zaś odstających krajów i społeczeństw na wyższy poziom nie może się odbywać przez odżywianie głodnych, ale przez oświecanie ciemnych. Takie oświecanie mogłoby na przykład powstrzymać wygórowaną rozrodczość przejawiającą się na obszarach permanentnie głodujących. I proszę mi nie imputować, że jestem zwolennikiem aborcji. Ja jestem tylko za rozsądnym regulowaniem przyrostu naturalnego, a tego nie robi się znachorskimi ziółkami czy skalpelem medycznych producentów aniołków.

Jestem zatwardziałym zwolennikiem Balcerowicza i bardzo mnie cieszy, gdy Bank Światowy narzuca naszym rodzimym oszołomom u władzy twarde reguły gry. Bo bez nich byłoby jak za Gierka: za pożyczone pieniądze jedlibyśmy, pilibyśmy i pasa popuszczalibyśmy ku chwale ojczyzny, a to ostatnie dodałem specjalnie dedykując naszym „niepodległościowcom", którzy już od pewnego czasu mamroczą i pokrzykują, że nie powinniśmy się poddawać żadnym dyktatom, że my „ani guzika" itd. Uwaga, uwaga, pomnijcie na księdza profesora Tischnera: „*homo sovieticus* krąży nad Europą". Trzeba by mu zabezpieczyć twarde lądowanie.

A więc dochodzimy do kluczowego problemu współczesności: do zgodnego samoograniczenia własnej suwerenności w myśl pewnych nadnarodowych, nadpaństwowych, nadregionalnych konwencji. Takie ustalenia nie były (*vide*: Dania i układ z Maastricht) i nigdy łatwe nie będą. Ale bez nich nigdy nie doprowadzi się do jakiego takiego zrównoważenia obu ciężarów przygniatających współczesną ludzkość: nędzy i nadmiaru.



W prawidłowym działaniu międzynarodowego consensusu, który obawiam się, że tylko teoretycznie jest globalnie możliwy, rolę szczególnie negatywną odgrywa polityka ekspansjonistyczna, strategia podporządkowania sobie przemocą (niekoniecznie wyłącznie zbrojną) innych państw. Jeśli islamscy fundamentaliści wykrzykują bez przerwy o amerykańskich hegemonistach, jest to oczywiście sloganowa papka, przysposobiona, by odwrócić uwagę od wewnętrznych *calamitates* tych wiecznie niespokojnych państw. To brzmi akurat tak samo, jak hitlerowska propaganda na temat strasznych kapitalistów i demokratów, a stalinowska — wyklinająca kapitalistów i kosmopolitów. W obu przypadkach chodziło o maskowanie własnej agresywności i prób ekspansji.

Ale w okrzykach wrogów USA kryje się — jak zawsze — ziarno prawdy. Amerykanie dążą w sposób oczywisty do panowania nad światem, tyle że zastosowali w tej dziedzinie zupełnie nową strategię: nie ekspansję terytorialną, ale gospodarczą. Rozległość obszaru Stanów Zjednoczonych jest oczywistą podstawą takiej polityki, niepotrzebne są im jakiekolwiek militarne „Drangi", mają oni bowiem dość kłopotu z tymi terytoriami, które posiadają. Czy bowiem wojna secesyjna była w ich dziejach ostatnią wojną domową i próbą rozerwania federacji? Jak dotąd tak bowiem kończył się zazwyczaj żywot federacji. Tak rozpadła się I Rzplita i monarchia austro-węgierska, a na dzień dzisiejszy obserwujemy ten proces w Jugosławii, Czechosłowacji i w całym ogromnym niegdysiejszym Związku Sowieckim. Państwa rozpadają się nieraz wskutek naporów zewnętrznych, częściej jednak — z powodu wewnętrznej dekompozycji.

Podporządkowanie przejawia się najczęściej przez aneksję lub kolonializm. Ten drugi zaczęto szeroko stosować już w antyku, a w Europie od schyłku średniowiecza. Ale kolonializm nie wygasł ani w wyniku następstw pierwszej i drugiej wojny światowej, ani też w wyniku działalności ONZ czy rozmaitych światowych mocarstw. Istnieje nadal, tyle że przybiera nieraz oryginalne formy. Oto bliski nam przykład: okręg Królewiecki (nie wiedzieć dlaczego nazywany do dziś często Kaliningradzkim), z którym nie wiadomo co począć. Gwoli stabilności granic w obecnej Europie są zwolennicy (m.in. nasze MSZ) utrzymania tego geopolitycznego dziwactwa. Faktem jest niewątpliwym, że niegdyś obszar ten zamieszkiwali przede wszystkim Niemcy, ale ponadto Litwini pruscy, Łotysze, Polacy, Żydzi, a nawet rosyjscy starowierowie. Ale dziś zamieszkują tu ludzie „radzieccy" (umyślnie używam tej zaprzeszłej terminologii, bo przecież osiedlili się w tej enklawie nie wyłącznie Rosjanie). Więc co z nimi począć?

Inny przykład działalności kolonialnej, to tworzenie osad Żydów — przeważnie przybyłych z byłego ZSSR — na obszarach które od wielu wieków stanowiły jeśli nie własność w sensie prawnym, to obszar permanentnego zasiedlenia arabskiego. Tylko pytanie podwójne: co zrobić z Palestyńczykami i co zrobić z ludźmi uciekającymi z wrogich im obszarów?

Na marginesie ekspansjonizmu chciałbym powrócić do mego konika, jakim jest próba wyjaśnienia już nie konserwatyzmu, ale archaiczności myślenia obszarowego: że potęga państwa jest proporcjonalna do jego powierzchni i liczby mieszkańców. Gorzej, że w związku z takim myśleniem nadal funkcjonuje nazistowsko-stalinowskie przekonanie, że najmniejszy choćby uszczerbek w stanie posiadania jest ujmą, która wedle dziecinnego etosu stosuje nakaz, iż „ta zniewaga krwi wymaga". Bo tak na zdrowy rozsądek... no właśnie. Czy np. warto było się komukolwiek wykrwawiać o jakąś w górach zaszytą Osetię? No bo jeśli Osetyńcy chcą żyć osobno, to czy Gruzini muszą koniecznie do nich strzelać?

Pod samym bokiem, właśnie „u dołu" (*nach unten*) mamy przykład rozpadu federacji: uboższa i słabiej zaludniona Słowacja, uważając, że jest okrutnie oprymowana przez Czechów, wykuwa własną niepodległość. Ich sprawa. I ja się trochę dziwię Czechom, że się tak długo tej koncepcji opierali. Nawet taki mądry człowiek jak Vaclav Havel, który przez to utracił obecnie prezydencki fotel. A niech by sobie Słowacy odłączyli się, no to co? Jak powiada stare przysłowie: baba z wozu, koniom lżej. Zwłaszcza, że jest to część dotychczasowej federacji uboższa, słabiej rozwinięta i bardziej chłopska niż inteligencka, więc rozpad federacji dla kogo będzie korzystniejszy? A Szwajcaria też nie jest taka duża, zaś Luksemburg wręcz maciupeńki i co — źle im? Ale psssst! Ponieważ mam sympatię i dla naszych południowych sąsiadów i dla Szwajcarów, więc nie chcę zapeszać: przecież i Morawianie mogą się zdecydować na secesję, a poszczególne kantony szwajcarskie podzielić wedle języka i wyznania.

Imperatyw podporządkowania jest wciąż cholernie mocno zakorzeniony w mentalności politycznej, a jedną z jego wygodnych formuł jest doktryna nieingerowania w wewnętrzne sprawy innych państw, wypracowana w byłym ZSSR, ale chyba mająca zamiar przeżyć „mamuśkę". Powtórzę, co już pisałem kilkakrotnie: doktryna ta stworzona została tylko po to, by ochraniać władców, jakikolwiek byłby na tych obszarach terror i zniewolenie, zawsze — gdy tylko ktoś ośmielił się to nazwać po imieniu — podnosił się straszny jazgot: ingerencja w wewnętrzne sprawy innego państwa. I było to nieraz wygodne dla drugiej strony, niezainteresowanej, by w danym kraju interweniować. Kiedy pijany sąsiad grzmoci swą połowicę, możemy udawać, że jej rozpaczliwe wrzaski nie dochodzą do nas przed ścianę dzielącą nasze mieszkania. Ale przy dzisiejszych sposobach transmisji informacji cały świat doskonale wie kto, kogo i jak mocno bije. Ale... wolność Tomku w swoim domku. I dlatego jestem przekonany o niezbędnej potrzebie interwencji w każdym przypadku łamania, jak to się mówi: praw boskich i ludzkich. A kto ma być odpowiedzialny za taką interwencję? Przecież nie jedno państwo, nie jedno mocarstwo, ale międzynarodowy *consensus*. Tymczasem dziś *consensus* sprawia niejednokrotnie, że do stołu obrad zasiadają pospołu bojownicy wolności i ludobójcy (np. Czerwoni Khmerowie w Kambodży).



Szczególnym przypadkiem jest firmowana przez ONZ akcja przeciwko Irakowi po jego brutalnej aneksji Kuwejtu. W gruncie rzeczy o tej międzynarodowej inicjatywie decydowały jednak Stany Zjednoczone, których militarny wkład przewyższał całą resztę kontyngentów. Decydowali więc: w dziedzinie militarnej generał Schwarzkopf, w politycznej prezydent Bush. Strona militarna była bez zarzutu; „Pustynna Burza" wykazała, jak niebywałą siłą i precyzją dysponuje strona aliancka w przypadku tzw. konwencjonalnej wojny frontowej (ta sama siła była bezradna w Wietnamie w wojnie partyzanckiej). Bo przecież przeciwnikami byli żołnierze zaprawieni w boju (długoletnia wojna z Iranem) i wcale nieźle wyposażeni zwłaszcza przez Związek Sowiecki.

Ale polityczne decyzje zatrzymały ów stalowo-komputerowy walec o krok, to znaczy o dzień czy dwa dni przed całkowitym zgnieceniem wojowniczego kacyka z Bagdadu, w związku z czym tenże mógł zająć się pacyfikacją Kurdów i własnej opozycji, a także ukrywać swój potencjał materiałowo-technologiczno-atomowy, chemiczny czy bakteriologiczny.

I można to wszystko łatwo uzasadnić: Bush chciał interwencję zredukować do minimum, by nie zwiększać i tak ogromnej niechęci Arabów do swego państwa i siebie. A przecież podstawowy cel — przywrócenie kontroli ropy kuwejckiej — został osiągnięty. Posunięcie okazało się błędne: opinia o Stanach Zjednoczonych bynajmniej się nie poprawiła, Saddam Husajn nadal mąci na Bliskim Wschodzie, na stolcach szeickich w Kuwejcie zasiedli ci sami feudalni i z demokracją nic nie mający wspólnego władcy. Tyle tylko, że ropa ciurka mimo gigantycznych pożarów.

Ale konsekwencją powyższego jest pytanie: dlaczego — pomimo tylu propozycji i wezwań — ani ONZ, ani Wspólnota Gospodarcza, ani jakakolwiek inna organizacja międzynarodowa nie podjęła stanowczej interwencji w wymordowującej się wzajemnie byłej Jugosławii: most powietrzny z pomocą żywnościowo-medyczną dla Sarajewa i nieustanne misje dziadka-wędrowniczka

lorda Carringtona wykazują nie tyle międzynarodową niemoc, ile międzynarodowe *désintéressement*: przecież tam po prostu żadna ropa nie ciurka, tam są tylko nikomu z możnych tego świata niepotrzebne zwaliska wspaniałych świadectw kultury i losy milionów biednych, a czasem wręcz ciemnych ludzi. Ta obojętność przypomina obojętność świata wobec holocaustu: przecież ginęli w nim biedni, ciemni, nikomu niepotrzebni Żydzi z zacofanej środkowo-wschodniej Europy!

A więc doszedłem do sprawy równie oczywistej, jak większość tych, o których tu piszę: o ekonomicznej bazie wydarzeń politycznych. O ile bowiem w zespole czynników wewnętrznych dominuje pragnienie władzy, o tyle w zespole czynników zewnętrznych rola ta przypada zyskom. I zawsze tak było: Neandertalczyk walący znienacka w łeb innego Neandertalczyka maczugą, okrzeskiem czy pięścią, czynił tak przede wszystkim po to, by móc mu odebrać kawał mięsa, sprawnie ociosaną broń lub urodziwą Neandertalkę. Były narody — np. Tatarzy — które przez całe stulecia uprawiały ekonomię wojen grabieżczych. A gdy polska husaria strzaskała pod Wiedniem kręgosłup armii Kara Mustafy swą brawurową szarżą, zwycięstwo nie stało się pełnym, bo przeciwnik został rozproszony, ale nie zniszczony. A stało się tak, bowiem nasi, dotarłszy do obozu wroga, zaniechali pościgu i rzucili się do rabowania. Ja im tego wcale nie mam za złe: Turcja i tak została wyeliminowana jako stałe zagrożenie Europy i chrześcijaństwa, my natomiast staliśmy się dziedzicami przewspaniałych zbiorów, których sami „pohańcy" mogą nam zazdrościć. Proszę o tym pamiętać, zwiedzając na Wawelu wspaniały namiot wezyra i cały dział orientalny.

Gorzej, że w dawnych wojnach grabieżczych obowiązywał jeśli nie *fair play*, to ów etos myśliwski, który też już dziś zamiera. Napadający nie byli bowiem bezpieczni: napadani organizowali się, by ich odpierać, a nawet organizowali akcje odwetowe. Dziś i to minimum zostało zaprzepaszczone. Wprowadza się bowiem do akcji przede wszystkim najemników, więc gotowych na wszystko, ale doskonale „zawodowo" przygotowanych morderców, a przede wszystkim wprowadza się technikę ślepego terroru, ów najstraszliwszy wynalazek, a właściwie raz jeszcze tylko udoskonalenie znanych od stuleci metod skrytobójstwa, zastraszania, masowych eksterminacji. Wobec tych metod związki państw mieniących się demokratycznymi są dość bezradne. I nie jest pocieszające to, że Sąd Ostateczny — czy, jak słusznie nazywają go nasi wschodni sąsiedzi: Straszny Sąd — będzie dla tych wszystkich drapieżnych oszołomów rzeczywiście straszny i że zgrzytanie zębów zagłuszy wszystkie inne decybele kończącej swą egzystencję nieudanej planety Ziemi. Bo nikt nie wie, ile dni czy wieków nas od tego sądu dzieli, a oszołomy szaleją: i ci w



panterkach, i ci w nieskazitelnych garniturach, którzy stoją za nimi w cieniu.

Otóż to: przedstawiłem tu sympatyczny obrazek w stylu proroka Ezechiela, Hieronima Boscha i Mad Maxa, ale jakie mają być w tej sytuacji środki zaradcze — tego po prostu nie wiem. Zeznałem zaraz na początku, że się uważam za głupca, no to jakże mógłbym radzić, zwłaszcza gdy bezradne wobec zaistniałych sytuacji stoją także wyznania i Kościoły, instytucje o ugruntowanej, wiekowej mądrości i doświadczeniu. Przecież na naszych oczach rozegrały się w ostatnich latach straszliwe i wyniszczające wojny, których jedną z postaw były stosunki wyznaniowe. Zaczęło się od konfliktów pomiędzy muzułmanami a hinduistami i buddystami na obszarze Indii, które w związku z tym podzieliły się na kilka państw. Jedna z najbardziej niszczycielskich i bezwzględnych wojen rozpętała się w Libanie pomiędzy chrześcijanami a muzułmanami. Ale już szczególnym dramatem chrześcijaństwa w jego rozmaitych odmianach jest ciągnąca się od tylu lat, niewypowiedziana wojna w Ulsterze, w której z pianą nienawiści na ustach stają przeciwko sobie chrześcijanie: katoliccy Irlandczycy i protestanccy Anglicy. A najnowszy skandal mamy w tym bałkańskim kotle, gdzie się prawosławni Serbowie wymordowywują z katolickimi Chorwatami i muzułmańskimi Bośniakami.

Chrześcijaństwo stało się bezradne wobec masowego szaleństwa. Obawiam się, że przyczyną tego było nadmierne zaangażowanie w zwalczanie ateizmu i materializmu w ich najrozmaitszych wcieleniach, a przy okazji zapomniano, że zło może się czaić nawet u progu kościołów, może się krzewić w środowiskach gorliwych wyznawców. Tu coś należy naprawić, coś należy reformować, ale co...? Osobiście mniemam, że założenia wychowawcze.

Bo oto chciałem na zakończenie dołożyć mej bliźniej (!?) ludzkości jeden jeszcze kamyczek. Otóż rzeczona ludzkość uważa, nie — wierzy i to najgłębiej — że wszystkie dzieci rodzą się naturalnie dobre i że dopiero — z takich czy innych przyczyn — kształtują się w nich złe instynkty. Tymczasem jest wręcz odwrotnie.

Wszystkie dzieci rodzą się naturalnie złe. Te śliczne bobaski, którymi się zachwycamy, że tak inteligentne i tak podobne do mamusi i tatusia mają zakorzenione instynkty posiadania, przemocy i przyjemności w czynieniu innym krzywdy, sprawiania bólu. Już stary Jan Huizinga twierdził, że *homo sapiens* to także *homo ludens*. I jeszcze — że owa ludyczność jest fundamentem kultury.

Tylko, że inna jest ludyczność dojrzała, a inna owa dziecinna i najbardziej naturalna. Pierwsza, jeśli uwarunkowanie kul-

turowe zezwala na to, może się przetworzyć w twórczość, odtwórczość czy mecenat. I rzeczywiście w dużej mierze funduje kulturę ludzkości. Ale ta druga, a chronologicznie pierwsza ludyczność dziecka polega na chęci zawłaszczania wszystkiego czego zapragnie, egzekwowania swej woli z braku siły — psychicznym szantażem, a przede wszystkim sprawianie innym bólu.

Co tu ukrywać: rodzimy się skurwysynami, może chłopcy trochę bardziej niż dziewczynki, ale to są drobne różnice potwierdzające zasadę generalną. Mogą teologowie spierać się, w którym momencie embrion nabawia się duszy, nie będę się do tego sporu mieszał, bo nie wiem, jaka jest ta teologiczna dusza. Mnie interesuje dusza praktyczna, to znaczy taka esencja wypełniająca egzystencję, która się powoli kształtuje pospołu z całym organizmem, a przede wszystkim z szarymi komórkami — dla mnie dusza ostatecznie objawia się wówczas, gdy człowiek jest gotowym człowiekiem, to znaczy odpowiedzialnym za swoje myśli i uczynki. Dlatego mniemam, że duszę w każdym małym skurwysynie trzeba ukształtować, uformować, ociosać. Jeśli się bowiem tych czynności zaniecha, wówczas mały skurwysyn przeobrazi się w dużego skurwysyna, a więc przede wszystkim w oszołoma, a dopiero później w bandziora, złodzieja, pijaka i nieroba.

Całe to formowanie małego skurwysyna w dużego człowieka spada przede wszystkim na nas samych. Bo że szkoły złe i że będą prawdopodobnie jeszcze gorsze — wiadomo. Trzeba je naprawiać, ale przecież nie szkoła ostatecznie kształtuje człowieka, ale dom, rodzina, bliscy, przyjaciele, środowisko. I nie łudźmy się, że tu się bez pewnego rodzaju przymusu i przemocy nie obędzie. Bo to formowanie trudne jest i niewdzięczne. Ale akcent optymistyczny: możliwe! Więc od nas i przede wszystkim od nas zależeć będzie, czy kolejnym pokoleniom przekażemy populację ludzką czy oszołomską. Trzeba po prostu ukształtować dusze w tych małych, ślicznych bobasach, które bez tego zabiegu pomnożą szeregi oszołomów tańcujących wokół wysokiego płomienia ciemności. Bo oni pozbawieni są dusz. Oni są po prostu puści w środku, jak baloniki, albo jak włoskie bułeczki zwane rozkosznie *rosette*.

20.VII.1992

*Tadeusz CHRZANOWSKI*

# O wygnaniu*

Tytuł O *wygnaniu* pożyczam od Czesława Miłosza, który tak nazwał w roku 1988 swoją przedmowę do albumu fotografa czeskiego Kudelki *Exiles*. Chodzi nie tylko o to, by głos Miłosza, jednego z kilku wschodnich laureatów nagrody literackiej Nobla, zabrzmiał na tym sympozjonie, poświęconym literaturom Wschodu; na sympozjonie, w którym mimo gorącego zaproszenia i najlepszych chęci nie może z ważnych powodów uczestniczyć. Zależy mi przede wszystkim na skrótowym przedstawieniu poglądów Miłosza na wygnanie, z myślą o przeciwstawieniu im odmiennych nieco poglądów własnych. Kiedy mówi się czy pisze na Zachodzie o wielkim przełomie „cudownego roku 1989", o nowej Europie wschodniej na gruzach komunizmu i dominacji sowieckiej, zapomina się na ogół o roli, jaką w tym procesie — dla wielu całkowicie niespodzianym, dla innych spodziewanym lecz nieoczekiwanie szybkim — odegrali emigranci. Nie zamierzam naszej roli wyolbrzymiać, chcę wyłącznie — posługując się słowami Conrada — „wymierzyć jej sprawiedliwość".

Miłosz, zmuszony okolicznościami u progu 1951 roku do wyboru wygnania, przyjął los emigranta w sposób niezmiernie dramatyczny, uznał go niemal za śmierć cywilną i pisarską. Pierwszy tekst Miłosza na łamach *Kultury*, gdzie znalazł początko-

* W ramach Salonu Książki w Turynie i uroczystości wręczenia nagród Grinzane-Cavour (w tym roku główna nagrodę otrzymał Günter Grass, a nagrodę w dziale przekładów tłumacz literatury polskiej Pietro Marchesani) odbyło się 22 maja sympozjum poświęcone literaturom wschodniej Europy. Wzięli w nim udział pisarze rosyjscy Metter i Pjecuch, pisarz czeski Klima, pisarz albański Kadaré, pisarz bułgarski Radiczkow, pisarka z dawnego NRD Irina Liebmann, pisarze rumuńscy Manea i Sorescu, pisarz chorwacki Matwiejewicz, pisarz serbski Tisma, pisarz wileński Kanowicz, pisarz węgierski Hubay. Gustaw Herling-Grudziński wygłosił po włosku drukowany wyżej tekst.

wo schronienie w jej podparyskiej siedzibie po decyzji zerwania z reżymem, zatytułowany był *Nie* i skierowany zarówno przeciw komunistycznym władcom kraju rodzinnego, jak przeciw ideom czy „urojeniom" polskiej emigracji politycznej na Zachodzie. Pozycja „pomiędzy", eksponująca ambiwalentność czysto „osobistego" wygnania, nie mogła trwać długo. I w samej rzeczy w drugiej połowie tegoż roku powstał „alzacki" wiersz *Mittelbergheim*, który włoski komentator tekstu O *wygnaniu* Francesco Cataluccio określił słusznie jako punkt zwrotny w emigracyjnej biografii poety.

Tu i wszędzie
Jest moja ziemia, gdziekolwiek się zwrócę
I w jakimkolwiek usłyszę języku
Piosenkę dziecka, rozmowę kochanków.
Bardziej od innych szczęśliwy, mam wziąć
Spojrzenie, uśmiech, gwiazdę, jedwab zgięty
Na linii kolan. Pogodny, patrzący,
Mam iść górami w miękkim blasku dnia
Nad wody, miasta, drogi, obyczaje.

Odtąd wolno mówić o Miłoszu pogodzonym ze swoją emigracyjną dolą, więcej — ze swoim emigracyjnym „bolesnym przywilejem". W miarę upływu lat nie słabł ból, lecz równocześnie wzmacniało się poczucie przywileju. O bólu daje pojęcie następujący fragment O *wygnaniu*: „Jest dużo prawdy w twierdzeniu, że ziemia rodzinna ma moc życiodajną, nawet jeśli zostawimy na boku to, co oczywiste, mowę rodzinną z jej niezastąpionymi odcieniami". Wzmagające się poczucie przywileju było oczywiście wynikiem przekreślenia pierwotnych obaw, że wygnanie oznacza śmierć cywilną i pisarską. Emigracyjny żywot Miłosza był nieustannym i pięknym rozkwitem jego twórczości. Desperacką wizję rękopisów deponowanych w dziuplach drzew zastąpiła rzeczywistość książek wydawanych obficie w oryginale i w przekładach. Do swego naturalnego czytelnika polskiego trafiały one skąpo najpierw, przemycane przez wydawcę paryskiego czyli *Kulturę*, aby z biegiem czasu torować sobie do niego drogę coraz lepiej dzięki wydawnictwom „drugiego obiegu" w Polsce. Okres od nagrody Nobla do dzisiaj stanowił już prawdziwy, jawny i z każdym dniem bogatszy, ingres pisarza-wygnańca do rodzinnego kraju.

Odmienność poglądów Miłosz i moich na wygnanie dotyczy głównie dwóch dość istotnych punktów. Miłosz pisze o „wyrzuceniu emigrantów z historii, która jest zawsze historią specyficznego obszaru na mapie". Gdy nazajutrz po wojnie zdecydowałem się nie wracać do rodzinnego kraju, wybierając niełatwą i



niezbyt popularną (jak zobaczymy dalej) sytuację emigranta, nie czułem się ani przez chwilę „wyrzuconym z historii". Powiedziałbym nawet, że wprost przeciwnie. Czułem się uczestnikiem historii głębokiej, autentycznej, takiej jaką miała przed oczami Simone Weil w *Wenecji ocalonej*, a nie historii w której zachodni „realiści" demokratyczni i wschodni szaleńcy totalitarni uwięzili wspólnymi siłami w Jałcie część Europy odciętą od Starego Kontynentu. Tak samo czuli moi przyjaciele, w pierwszym rzędzie grupa *Kultury* pod wodzą Jerzego Giedroycia, redaktora miesięcznika paryskiego i założyciela emigracyjnego wydawnictwa książkowego. W naszym wyborze wygnania nie było nic szczególnie dramatycznego, w naszych myślach nie kołatała się obawa przed śmiercią cywilną i pisarską. Była to decyzja najzupełniej naturalna, jakkowiek miało się rychło okazać, że nie za taką uchodziła w naszym kraju rodzinnym i na Zachodzie. W naszym kraju rodzinnym gorycz werdyktu jałtańskiego była tak silna, że mimo tradycji Wielkiej Emigracji z ubiegłego stulecia przeważało hasło, które sformułowałbym następująco: „W nieszczęściu powinniśmy być wszyscy razem, i wszyscy razem powinniśmy odbudowywać zniszczoną ojczyznę; emigracja jest formą dezercji". Na Zachodzie obecność wygnańców z Europy środkowo-wschodniej była ciągłym, dotkliwym przypomnieniem haniebnego targu jałtańskiego. Ostatecznie to minister Bevin namawiał nas, w ulotkach pisanych okropną polszczyzną, do opuszczenia obcej Anglii i powrotu nad rodzinną Wisłę. Do tego samego namawiali nas, poprawną polszczyzną, nasi nadwiślańscy przyjaciele z imię dewizy „nieobecni nie mają racji".

W roku 1956 rozpoczął się proces, który mniej lub więcej krętymi drogami, z regresami i przyśpieszeniami, ze wzlotami i upadkami, doprowadził w końcu do „cudownego roku 1989" i do dnia dzisiejszego. Stało się jasne, że wbrew twierdzeniu Miłosza historia *nie* „jest zawsze historią specyficznego obszaru na mapie". Zaczęliśmy spotykać przybyszów z Polski, zwłaszcza młodych, dla których *Kultura* i jej książki były pokarmem odżywczym, w wielu wypadkach szkołą myślenia. Spojrzano na nas innymi oczami na Zachodzie. Do głosu doszła historia rzeczywista i plastyczna, nie zaś sztywna jak obroża. Po śmierci Stalina „imperium zła" postawiło pierwsze kroki w kierunku *nieuchronnej* przepaści. Nie będę tu odtwarzał przebiegu wydarzeń, etap za etapem. Wystarczy powiedzieć, że w Polsce oceniono jak należy rolę wygnania, że *Kultura* stała się przedmiotem pochwał i hołdów, że jej redaktora nazwano „prawdziwym ministrem kultury od końca wojny do odzyskania wolności", że ja sam miałem szczęście oglądać w kilku miastach polskich setki jeśli nie tysiące moich starych i nowych czytelników. Wspomniałem już, ale dla porządku dodam raz jeszcze, że wielkim benefi-

cjentem zmian historycznych zachodzących we wszystkich krajach Europy środkowo-wschodniej, łącznie z ZSSR, czyli bynajmniej nie w obrębie „specyficznego obszaru na mapie", był pisarz który konieczność pozostania na emigracji przeżył jak wyrok skazujący na egzystencję pustynną.

Zanim przejdę do drugiego punktu mojej niezgody z Miłoszem w poglądach na wygnanie, zrobię małą lecz według mnie bardzo zasadniczą dygresję. Napomknąłem o „imperium zła" kroczącym w stronę *nieuchronnej* przepaści, kładąc nacisk na słowo „nieuchronnej". Skąd się u mnie wzięła ta pewność nieuchronnego upadku systemu komunistycznego już w roku 1945? Przecież na ogół panowało po wojnie przekonanie o Tysiącletnim Związku Sowieckim, inteligencja polska na przykład (o czym pisze Miłosz w *Zniewolonym umyśle*) była porażona „nieodwracalnością nowego porządku". Podobnie jak Zachód, zresztą. Na czym więc opieraliśmy, ja i moi przyjaciele, naszą niewiarę w wieczyste, czy w każdym razie bardzo długie, trwanie dzieła Lenina-Stalina? Pojawiały się oczywiście głosy alarmistyczne czy wręcz katastroficzne rozmaitych „sowietologów" (przeważnie ekonomistów i analistów politycznych), nie były jednak brane zanadto na serio, traktowano je jak produkt „uprzedzeń". A zatem? Z czego czerpałem moją absolutną pewność, złagodzoną jedynie powątpiewaniem czy dożyję, by ten krach zobaczyć na własne oczy i usłyszeć na własne uszy?

Czerpałem ją z sowieckich doświadczeń więziennych i obozowych, podpowie bez wahania czytelnik mojego *Innego Świata*. Zdaje się, że to Tołstoj doradzał sądzić państwo po jego więzieniach. Jeszcze dobitniej ten koncept występuje w noweli Ivo Andrića o więzieniu ottomańskim *Dwór diabła*: „Jeśli chcesz wyrobić sobie zdanie o państwie i jego administracji, o przyszłości jaka przed nimi stoi, staraj się wykryć ile osób uczciwych i niewinnych gnije tam za kratami, a ilu zbrodniarzy i winnych korzysta z wolności. Nie ma lepszej diagnozy choroby". Dla mnie jednak diagnozą choroby, śmiertelnej choroby „imperium zła", było coś innego. Dokładnie pół wieku mija teraz od epizodu, który w ciągu tylu lat nie zatarł się nigdy w mojej pamięci. Nie wykluczam, że opisałem go już kiedyś w moim *Dzienniku*, ale nie zaszkodzi krótkie powtórzenie. Po zwolnieniu z obozu nad Morzem Białym, w styczniu 1942, nauczyłem się szybko że więźniowie pozbawieni kartek na racjonowany chleb mogą czasem swoim wyglądem i wzrokiem wyżebrać kromkę od kogoś, kto po długim wystawaniu w ogonku wyszedł właśnie z piekarni. W miasteczku Buj pod Wołogdą — w odległości 300–400 kilometrów od linii frontu podczas szybkiej i zwycięskiej ofensywy niemieckiej — stanąłem na skutym mrozem placyku obok ogonka. W pewnej chwili na placyk wszedł o kulach



młody żołnierz sowiecki z amputowaną prawą nogą. Zwrócił się do czekających z prośbą, by go wpuścili do piekarni poza kolejką, bo na mrozie i na jednej nodze nie jest w stanie długo ustać. Poparł tę prośbę patetycznym okrzykiem: „Biłem się za ojczyznę, towarzysze!". Odpowiedziały mu obelgi i drwiny w rodzaju: „Po coś się bił, durniu?". Szliśmy potem w dwójkę w milczeniu na stację, gdzie głód można było nieco złagodzić ciepłem w poczekalni dworcowej. Zapewne, późniejszy rosnący opór sowiecki, ukoronowany rozgromem armii niemieckiej, dowodzi jak głęboka zaszła zmiana po pierwszym ataku najeźdźcy. W ogromnej mierze spowodowali ją sami hitlerowcy, spychając „ludzi sowieckich" do kategorii „podludzi", otwierając perspektywę wypędzenia diabła Belzebubem. Lecz pozostaje fakt, że pięćdziesiąt lat temu ujrzałem nagle do jakiego poniżenia i zwyrodnienia doprowadził „wolnego" człowieka „przodujący ustrój", co kryło się w głębi sowieckiej rzeczywistości, za fasadą propagandowego, drętwego bełkotu. I wiedziałem, wiedziałem bez najmniejszych wahań, że prędzej czy później wybuchnie krwawa lub bezkrwawa rewolta. Historyk amerykański Martin Malia stwierdza dzisiaj: „Nigdy przedtem w historii skonsolidowana tak długo władza nie była przedmiotem podobnej desakralizacji ze strony swoich ex-podwładnych". Ta „desakralizacja", choć ukryta ze strachu w głębi serc i umysłów, zaczęła się grubo wcześniej.

Wracam do tekstu Miłosza. „Wygnanie — powiada on — jest próbą wewnętrznej wolności i ta wolność przeraża". Po czym dodaje: „Wolność wygnania jest wysokiego gatunku, jak wolność wyżyn i samotności, sławiona niegdyś przez Nietzschego". Cokolwiek uderzałoby nas „wyżynnego" w wolności wygnania, ja osobiście na karb lekkomyślności z domieszką namaszczenia położyłbym przypisywanie jej cechy ujętej słowem „przeraża". Wiele nędz znaczyło moją drogę wygnania, nędz o których wolałbym tu nie mówić, lecz niezmiennie przyświecał jej jeden blask: wolność która jest odwrotnością przerażenia, jest źródłem odwagi i nadziei, podtrzymuje w momentach słabości, obala idealnie wszelkie granice, łamie wszelkie hamulce. Kiedy dziś wspominam przeszłość, widzę w wolności wygnania jedyny może składnik euforyczny naszego losu. Ale nie wykluczam, że Miłosz miał na myśli coś innego, pisząc o „wolności, która przeraża". W pierwszych latach emigracji spotkałem się z bliskim mi człowiekiem z Warszawy. W długiej rozmowie padło z jego ust zdanie, które utkwiło mi głęboko w pamięci. „Wasza, emigrantów, wolność (powiedział) jest prawdziwa, lecz bezużyteczna". Bezużyteczna w tym sensie, że w ówczesnym świecie nie mogła wyraźnie zaowocować, była wolnością rozpędzoną, zapatrzoną w samą siebie, zachłystującą się swymi szlachetnymi walorami,

lecz zmierzającą donikąd. Uwaga nie pozbawiona sporej dozy słuszności, ogromnie jednak krótkowzroczna. O tym jak sumują się, na dalszą metę, działania i słowa wolności pozornie jałowej i bezużytecznej, aparaty policyjne państw komunistycznych wiedziały o wiele więcej od mojego warszawskiego przyjaciela. I jak się w końcu zsumowały, widzimy dzisiaj dostatecznie wyraźnie. Przed laty, gdy Sołżenicyn ogłosił *List do przywódców sowieckich*, zaproszono mnie do rzymskiego tygodnika *Espresso* na dyskusję, w której Lucio Colletti był (prócz moderatora) moim jedynym rozmówcą. Profesor Colletti jest człowiekiem bardzo inteligentnym, a przecież nawet w jego wypowiedziach dźwięczała nuta ironicznego sceptycyzmu wobec „dobrych rad" udzielanych przez emigranta władcom jego kraju ojczystego. Wiadomo jaką wagę mają stare rady Sołżenicyna w obecnej sytuacji byłego Związku Sowieckiego. Jestem pewien, że Sołżenicyna nigdy nie przerażała wolność wygnania...

Koniec wygnania, koniec walki o niezależność, jest okazją do konfrontacji kraju w znacznej mierze wyidealizowanego przez emigrantów i kraju realnego. Znikły sztuczne zapory graniczne, runęły bariery polityczne i pisarskie, pękły hierarchie narzucone przez ustrój, rozwiały się jak gęsta mgła zakazy i nakazy. Pisarz czuje się wolny, niezależnie od tego gdzie mieszka i pisze, we własnym kraju czy na obczyźnie. W większym bądź mniejszym stopniu uczestniczy w powrocie swego kraju do zdrowia, do upragnionej „normalności". Czym ma być ta „normalność"? W jakich warunkach odżyje także „normalna" wolna literatura, lepsza albo gorsza? Ex-wygnaniec rozumie teraz jaśniej niż w latach emigracyjnej idealizacji, jak daleko zaszedł w jego kraju proces sowietyzacji *równoległe* z rosnącym oporem przeciw komunizmowi i tęsknotami do wolności. Wie, że były poddany musi obecnie dorosnąć stopniowo do rangi obywatela, choćby na to dorastanie nie starczyło jednego pokolenia. Nie ufa „wolności negatywnej", osławionej recepcie klasycznych liberałów w rodzaju Isaiah Berlina, zalecającej usunięcie jakichkolwiek przeszkód i więzów w rozwoju gospodarczym, świadomy że taka recepta wiedzie do kapitalizmu „dzikiego", źródła antagonizmów, konfliktów i zaburzeń społecznych. Przychyla się raczej do opinii socjologa niemiecko-brytyjskiego Ralfa Dahrendorfa, który liberalizm klasyczny radzi moderować socjaldemokratycznie polityką możliwie szerokich szans i praw społecznych. I z każdym dniem jaskrawiej uprzytamnia sobie, że co niegdyś w marzeniach wydawało mu się cierpliwie wyczekiwanym i ciężko zapracowanym spełnieniem, jest dziś tylko nowym trudnym początkiem.

kwiecień 1992

*Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI*

# Lux ex Oriente?

## NOTATKI Z PODRÓŻY NA UKRAINĘ

Kiedy przeczytałem list papieski z 25 marca br. dotyczący „restrukturyzacji prowincji kościelnych w Polsce", w którym diecezję-ordynariat w Przemyślu dla wiernych obrządku bizantyjsko-ukraińskiego w Polsce podłączono do prowincji warszawskiej (jednej z ośmiu nowoutworzonych), podczas kiedy diecezja przemyska obrządku łacińskiego, podniesiona do rangi archidiecezji, została wyodrębniona jako prowincja, ogarnęło mnie złe przeczucie: dlaczego nie skorzystano — pomyślałem — ze sposobności, by nadać historycznej, przeszło 300 lat istniejącej, greckokatolickiej diecezji przemyskiej statusu *sui iuris* (kanonicznie wyodrębniony) lub *ad nutum Sancti Sedis* czyli podległy bezpośrednio Stolicy Apostolskiej, jak to uczyniono z diecezją w Łodzi? Niezależnie od tej okoliczności istnieje przecież precedens „za miedzą": eparchia (diecezja) greckokatolicka w Preszowie na Słowacji jest od dawna już podporządkowana bezpośrednio Stolicy Apostolskiej. Skutki tej gaffy miałem okazję zweryfikować podczas podróży do Lwowa na zaproszenie kardynała Myrosława Lubaczywskiego z okazji pierwszego Synodu biskupów Kościoła greckokatolickiego w niepodległej Ukrainie. Kiedy otrzymałem potwierdzenie, że błędna decyzja zapadła „dzięki" polskim sugestiom, wpadłem na pomysł, by zatrzymać się choćby na 24 godziny w Przemyślu.

*10 maja*

Biskup Iwan Martyniak pokazuje mi list nuncjusza apostolskiego, abp. Józefa Kowalczyka z 25 marca, antydatowany (data równoczesna z ogłoszonym listem papieskim), bo *de facto* przesła-

ny dopiero po negatywnych reakcjach ukraińskich. List ten, dość niefortunny (jeśli można użyć tego dyplomatycznego eufemizmu) zapowiada „kolejne kroki", nie wyklucza więc racjonalnego i sprawiedliwego rozwiązania. Nieprzemyślana decyzja nie uwzględniła prawdziwego szoku, jaki wywołała nie tylko po tej, ale i po drugiej stronie granicy polsko-ukraińskiej. Bp Martyniak i jego współpracownicy pokazują mi całą stertę listów protestacyjnych, jakie napłynęły od wiernych z różnych stron Polski. A tak łatwo można było przecież uniknąć błędu, który, jak później zapewniły miarodajne czynniki watykańskie, zostanie naprawiony*.

Krótki obchód zabytkowego centrum Przemyśla. Dawna katedra greckokatolicka św. Jana Chrzciciela, dziś w posiadaniu karmelitów, kość niezgody, udekorowana wewnątrz polskimi flagami i co gorzej na zabytkowej dzwonnicy też wymalowana flaga — irytujący objaw polskiego szowinizmu, wobec którego trudno przejść obojętnie. Opodal budynek liceum, dawnego seminarium greckokatolickiego, gdzie kaplicę przekształcono na salę gimnastyczną i szkołę tańca. W dawnej rezydencji biskupiej mieści się muzeum miejskie — potrzeba oczywiście czasu, by znaleźć inne pomieszczenie — tymczasem arcybiskup Tokarczuk interweniował u władz miejskich na rzecz przekazania biskupowi Martyniakowi lokali w budynku zajmowanym przez kilka rodzin (dla których z kolei trzeba znaleźć mieszkania zastępcze), stanowiącym część kompleksu kościoła pojezuickiego, ostatnio garnizonowego, oddanego ukraińskim grekokatolikom w wigilię ostatniej wizyty papieskiej. Arcybiskup Tokarczuk przyjmuje mnie jak zwykle serdecznie, wspominając kilkakrotne spotkania rzymskie. Ubolewa nad nieporozumieniami, cierpi wyraźnie z powodu skandalicznej okupacji kościoła karmelitów, której pokłosie wciąż trwa w psychice zbiorowej. Skarży się co prawda na przejawy histerii, w jaką wpadają miejscowi ukraińscy duchowni świeccy, ale równocześnie przyznaje, że skrajnie emocjonalne, nieraz wręcz patologiczne zachowanie polskich katolików nie ułatwia zamknięcia wzajemnych oskarżeń. Ze swej strony stara się czynić wszystko, by wykazać dobrą wolę i wyjść naprzeciw ich aspiracjom (oddał kilka cerkwi, m.in. w Jarosławiu i Ustrzykach Dolnych). Przyznaje, że decyzja o podłączeniu eparchii przemyskiej do prowincji warszawskiej napsuła niepotrzebnie krwi.

*11-12 maja*

Z hotelu „Dnistr" we Lwowie gdzie miałem okazję spotkania zarówno biskupów, jak i działaczy świeckich przybyłych z

* Bp Martyniak skarży się na postępowanie lokalnej nomenklatury. Usunięto np. nazwę ulicy Tarasa Szewczenki (herolda ukraińskiej poezji), podczas kiedy we Lwowie zachowano polskie pamiątki łącznie z pomnikiem A.



ukraińskiej diaspory do katedry św. Jura i siedziby kurii arcybiskupiej, jest zaledwie 300 metrów. W skomputeryzowanych pokojach kancelarii i pokoiku mieszczącym biuro prasowe wrze praca przygotowawcza do historycznego Synodu biskupów. Roman Iwanczuk, mówiący po polsku zastępca rzutkiej kierowniczki prasowego centrum, Soni Hlutkowskiej (Ukrainki z USA), chwali prezydenta Leonida Krawczuka (tę opinię słyszałem tu powszechnie), który stanowi najlepsze rozwiązanie mimo, że jest ekskomunistą — jest bowiem człowiekiem rozważnym i ukraińskim patriotą w najlepszym tego słowa znaczeniu (należy rozumieć: nie anachroniczny nacjonalista). Prowadzi mnie do ojca Myhajło Stachnija, wice-kanclerza, b. prawosławnego. Dowiaduję się, że jeszcze przed legalizacją Kościoła greckokatolickiego doszło zarówno do wyjścia z katakumb, jak i ujawnienia się tzw. „drugiego poziomu", tzn. legalnego, skupiającego tych duchownych greckokatolickich, którzy przeszli do prawosławia (tak jak on właśnie) po 1946 r., poczuwając się jednak do wierności wobec Unii. Prowadzili więc coś w rodzaju podwójnego życia, z czego przygniatająca większość wiernych nie zdawała sobie sprawy (tak jak i z istnienia Kościoła podziemnego, odbywającego potajemne nabożeństwa w lasach). Jak tylko pojawiły się warunki sprzyjające, tzn. rozpoczął się proces odbudowy Kościoła greckokatolickiego, ci krypto-prawosławni zaczęli powracać na łono macierzystego Kościoła.

Obiad na I piętrze (na parterze mieszczą się prowizoryczne biura Kurii) u gospodarza, kardynała M. Lubaczywskiego, po którego prawej ręce siedzi abp Sterniuk, po lewej zaś biskup Prasko z Australii. Jednym z poruszanych tematów jest paradoksalne, osobliwe zjawisko względnej stabilizacji politycznej na Ukrainie w porównaniu z tym co się dzieje w Polsce: w przeciwieństwie do Polski nie ma na Ukrainie zarozumiałych elit intelektualnych, obojętnie lewicowych czy prawicowych, które opanowały życie polityczne, natomiast dzięki krzepkiej i zdrowej kulturze ludowej, społeczeństwo ukraińskie nie tylko wyszło obronną ręką z narzuconej rusyfikacji, ale potrafiło wytworzyć antytotalitarne przeciwciała, co je uchroniło od skażenia wirusem *homo sovieticus*. Pada w czasie obiadu pytanie: kto i dlaczego spowodował zgrzyt w Przemyślu? Przeważa pogląd, że nieprawidłowe, nieprzemyślane rozwiązanie tej sprawy trzeba przypisać niekompetentnym czynnikom, które zignorowały rozważne opinie, m.in. konsultacyjny głos ze strony watykańskiej Kongregacji dla Kościołów Wschodnich i lekceważąc konieczność grzecznościowego choćby gestu wobec kardynała Lubaczywskiego (który o tej decyzji nie był uprzedzony!).

Odwiedziny w katedrze rzymskokatolickiej, gdzie oprócz sędziwego, wielce zasłużonego gospodarza, biskupa Rafała Kiernickiego, spotykam również biskupa Markijana Trofimiaka, po-

chodzącego z mieszanej rodziny polsko-ukraińskiej, niesłychanie aktywnego i zrównoważonego. Odnoszę wrażenie, że to on właśnie, a nie szef metropolii lwowskiej, abp Jaworski, zmęczony — jak mi mówią i przebywający raczej w Lubaczowie (dawnej swej siedzibie), bo rezydencja biskupia jest okupowana przez muzeum religioznawcze (dawniej ateizmu), stanowi stały punkt odniesienia polskiej i zarazem rzymskokatolickiej tożsamości.

Spory o kościoły muszą, wg niego, być załatwiane zgodnie z wymogami sytuacji lokalnych, trudno bowiem o rozwiązanie globalne. Broni zasady polegającej na konieczności uzgadniania ich pomiędzy biskupami obydwu obrządków, by nie dawać władzom miejskim bądź dzielnicowym (także tu, nie tylko w Warszawie, występują konflikty kompetencyjne) pretekstu do ingerencji i rozgrywania przydziałów zgodnie z dewizą *divide et impera*. Jest on zdania, że wspólne użytkowanie w określonych przypadkach może, a nawet powinno polegać na nabożeństwach w dwóch językach, podobnie zresztą jak się to już dzieje za Zbruczem czy w samym Kijowie, gdzie w kościołach św. Aleksandra i św. Mikołaja odbywają się msze zarówno po polsku, jak i rosyjsku i ukraińsku. Skarży się natomiast, że przejmowane przez grekokatolików zabytkowe polskie kościoły (w kurii arcybiskupiej grekokatolickiej twierdzą, że jeśli by ich nie przejmowali, władze oddawałyby je Autokefalicznej Cerkwi), nie powinny być wewnątrz przeinaczane według własnego wystroju, jak to miało np. miejsce w kościele pobernardyńskim we Lwowie czy podominikańskim w Tarnopolu. Jeśli chodzi o działalność duszpasterską, bp Trofimiak zaleca ostrożność wobec tego, co ma do zaofiarowania Zachód — „jesteśmy jak dzieci, zaczynamy od podstaw" — i dlatego uważa, że teren tutejszy jako tradycjonalny wymaga powściągliwości wobec innowacji, które mogą jedynie spowodować zamęt w umysłach wiernych. Narzeka, że kapłanów wciąż za mało, a przybywający z Polski muszą podlegać selekcji, bo wielu nie nadaje się i załamuje. Imponuje rozwagą, spokojem i autentycznym ekumenizmem: „Nic nie stoi na przeszkodzie, by modlić się w tych samych kościołach nie tylko z grekokatolikami, ale i z prawosławnymi. Uratowała nas żywa i głęboka wiara, ufność i przywiązanie do dobrych tradycji wschodnich — stwierdza. — Trzeba być dziś stale gotowym do kompromisu i do ofiar". Przestrzega jednak przed łatwym optymizmem: istnieją, zwłaszcza w trzech województwach, Drohobyczu, Tarnopolu (obejmującym jeśli idzie o diecezję również parafie południowego Wołynia) i Czerniowcach, tendencje separatystyczne po wyjściu z podziemia Kościoła greckokatolickiego. Ci co powracają z prawosławia do wiary ojców przychodzą ze swoją formacją, obcą idei powszechności Kościoła i funkcji Ojca Świętego. Jednym słowem, czeka nas daleka droga do jedności



chrześcijan i za wcześnie jeszcze — jego zdaniem — na patriarchat Kościoła greckokatolickiego. Trzeba najpierw uśmierzyć różne niepokojące tendencje nurtujące ten Kościół, do którego garną się nieraz duchowni prawosławni, przychodzący jakby z ram bez obrazu) niezależnie od tego, że zachodzą dość częste przypadki zasuspendowania tych przybyszy, bo nie dają gwarancji wiarygodności a nawet, co gorzej, bo pada na nich czasem cień kolaboracji z ośrodkami rosyjskimi nastawionymi na destabilizację).

Kolacja u Leszka Mazepy, honorowego prezesa Stow. Kultury Polskiej, z którym przedtem zwiedzam cmentarz Orląt na Łyczakowie. Poznaję u niego osobę niezwykłą: Bożenę Rafalską, która redaguje, w nieprawdopodobnie ciężkich warunkach, *Gazetę Lwowską*, drukowaną w Rzeszowie. Skarżą się oboje na swary w środowisku polskim liczącym zaledwie kilkanaście tysięcy osób na terenie Lwowa i okolic. Prymitywizm idzie tam w parze z zakorzenionymi urazami, wytykaniem kolaboracji — w sumie, podobnie jak i w Polsce, idzie o poszukiwanie, nieświadome rzecz prosta, kompensaty dla długotrwałej abstynencji od wszelkiego działania społecznego i politycznego. Podobnie jak moi rozmówcy z Kościoła greckokatolickiego, oboje nie zostawiają suchej nitki na przywódcy OUN Juri Szuchewiczu (syn Romana, twórcy sławetnej UPA), który nie tylko przegrał batalię o rząd dusz w wyborach prezydenckich, ale ośmieszył się propagując ultra-nacjonalistyczną sektę neopogańską „Dawca Życia" (Dasz Boh)*. Polska jako pośrednik w procesie wejścia Ukrainy do jednoczącej się Europy przestała być interesująca z uwagi na brak stabilizacji, stąd przestawienie się na Węgry. Tę ocenę usłyszałem kilkakrotnie.

*13 maja*

B. interesujące spotkanie z panią Nawrocką, rodem z Przemyśla, wybitną działaczką ukraińską z USA, która od chwili uwolnienia z łagru w 1962 r. kardynała Josyfa Slipyja nie przestała być czynna na rzecz sprawy niepodległości Ukrainy i Kościoła greckokatolickiego. Przyjeżdża od dwóch lat często z Filadelfii, pomagając m.in. w pracach odrodzonego uniwersytetu lwowskiego. Reaguje z irytacją na przewlekanie przez Watykan sprawy uznania patriarchatu Kościoła greckokatolickiego. Ocenia wręcz jako „naiwność i złudną mrzonkę", jeśli faktycznie Watykan wciąż liczy na porozumienie z rosyjskim patriarchatem i dlatego, chcąc uniknąć zadrażnień, odwleka decyzję, na którą niemal od trzydziestu lat czekają ukraińscy grekokatolicy. Narze-

* OUN, to relikt przeszłości wraz z anachroniczną ideą Piemontu ukraińskiego — twierdzą też rzecznicy Kościoła greckokatolickiego.

ka na fakt, że kolejne rządy polskie nic nie robią, by naprawić zło wyrządzone przez „akcję Wisła", to znaczy stworzyć warunki dla powrotu wysiedlonych Ukraińców do województw południowych. Są przecież, sama je odwiedzała, wyludnione wsie wzdłuż Sanu aż do Bieszczad, ale nic się w tym kierunku nie robi. Stwierdza: „Wy macie wasze państwo i Kościół — ostoję polskości i na dodatek tarczę ochronną w osobie papieża. Czyż Polacy rzeczywiście nie rozumieją, że i nasz Kościół stanowi zrąb państwowości i odrodzonej suwerenności ukraińskiej? Dlaczego nie ma więcej takich ludzi w Polsce jak pan? Inaczej wyglądałyby nasze wzajemne stosunki". Przytaczam ten komplement jedynie po to, by zwrócić uwagę na konieczność pozbycia się polskiej chełpliwości i zaściankowości. Polacy — twierdzi Nawrocka — nadal przybierają ton wyższości, graniczący z arogancją i mają chyba wybiórczy, instrumentalny stosunek do magisterium Jana Pawła II. Nie mogę nie przyznać jej racji: faktycznie, jak już to nieraz weryfikowałem, nie wyciągają absolutnie lekcji poglądowej z dewizy papieskiej, która brzmi: „umiejętność różnienia się polega też na wzajemnym uzupełnianiu się". Nikomu do głowy nie przychodzi, że to wezwanie oznacza aprobatę dla wzajemnego, duchowego wzbogacania się. A przecież w stosunkach z narodami pobratymczymi, zwłaszcza tak ściśle związanymi jak ukraiński, ta dewiza jest jak najbardziej aktualna. Telefonuje do mnie młoda katolicka dziennikarka amerykańska, akredytowana w Kijowie i we Lwowie, współpracująca z moim miesięcznikiem *Catholic World Report*, ukazującym się od pół roku w Rzymie i sponsorowanym przez episkopat USA. Spotkanie w hotelowej restauracji na śniadaniu przy kaszce gryczanej i herbacie. Wróciła właśnie z Moskwy, twierdzi, że podobnie jak w Rosji, tak i na Ukrainie, zachodnioeuropejskie ruchy katolickie (neokatechumenalny, charyzmatyczny czy „Comunione Liberazione") nie przyjmują się, bo nie są w stanie uchwycić wschodniej rzeczywistości kulturalnej i wyznaniowej. Ich reprezentanci zjawiają się zupełnie nieprzygotowani, prowokując niestety słuszny w dużej mierze zarzut prozelityzmu. Będąc w bezpośrednim kontakcie z organizacją greckokatolicką UMCH (Ukraińska Molodz Chrystowi) zauważa, że przyjeżdżający tu działacze polityczni i społeczni powinni najpierw przejść kursy informacyjne, przygotowawcze w odnośnych krajach zachodnich — inaczej zamiast znaleźć stosowne pole do działania szerzą jedynie zamęt. Wspólna wizyta w pobliskim pałacu Potockich, gdzie mieści się siedziba młodzieżowej organizacji katolickiej jak też i centrum uroczystych ślubów cywilnych oraz „Caritas", kończy to nieoczekiwane spotkanie.



*14 maja*

Wypad do Tarnopola i stamtąd do wsi Zazdrist, gdzie sto lat temu urodził się Josyf Slipyj, którego zwłoki mają być w sierpniu przewiezione z Rzymu do krypty w katedrze św. Jura. Po drodze obserwuję duży ruch budowlany w osiedlach, gdzie wznoszą domki jedno i dwupiętrowe. Miasto czyste i zadbane, ludzie ubrani starannie, u wylotu szosy do Trembowli i Czerniowiec kościół rzymskokatolicki w budowie dla 200-300 polskich wiernych. Tymczasem uczęszczają do kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia, dawnej dominikańskiej kolegiaty, przydzielonego w 1989 r. grekokatolikom. W rozległej wsi Zazdrist, zamieszkałej w większości przez prawosławnych Łemków, przesiedlonych tu z Polski w latach 1946-47, kiedy zaczęła się „Akcja Wisła", mieszkańcy nie rozumieją narzuconej z góry walki, co spowodowało, że w lutym tego roku prawosławny biskup Bodnarczuk z Autokefalicznej Cerkwi zakazał otwarcia miejscowej cerkwi dla nabożeństwa z okazji stuletniej rocznicy urodzin kardynała Slipyja. Grekokatolicy, którzy najpierw proponowali odprawienie wspólnego nabożeństwa, zmuszeni byli odprawić je na wolnej przestrzeni przed zamkniętą świątynią. Mieszkańcy, łącznie z domkiem, w którym urodził się Slipyj, mrugają z uśmiechem politowania na ten anachroniczny konflikt na górze: „Nam wszystko jedno, do Boga możemy się modlić w cerkwi, jak i kościele katolickim, współżyjemy tu dobrze z sobą". Zwiedzam stary, zaniedbany cmentarz, napisy nagrobkowe odnoszą się do polskich zmarłych w latach 20-tych i 30-tych. Po drugiej stronie drogi, na nowym cmentarzu, obok cerkiewki, grobom grekokatolików towarzyszą nagrobki prawosławnych z zawieszonymi na krzyżach sztucznymi girlandami. Zmarli dwóch wyznań chrześcijańskich i na dodatek dwóch obrządków katolickich koegzystują tu, a żywi spierają się o wpływy. Jak się później dowiaduję, biskup Bodnarczuk z Autokefalicznej Cerkwi, rezydujący stale w Żytomierzu, przywłaszczył sobie tytuł władyki Tarnopola.

*15 maja*

Odwiedziny u dobrego znajomego z Rzymu, ojca Sapelaka, salezjanina, w dawnym kościele matki Boskiej Ostrobramskiej na Łyczakowie. Nie było tu mowy o żadnym „zaborze", jak demagogicznie twierdzą krajowi neoendecy (np. T. Trajdos w piśmie ZCHN-u *My na Wschodzie*, maj 1992 r.), którzy prowadzą na tych terenach szkodliwą robotę pod znakiem hasła anty-„ukrainizacji"! W tej dzielnicy brak po prostu polskich wiernych, natomiast ukraiński salezjanin, człowiek światły i otwarty, stara się o odrestaurowanie zabytkowego wnętrza kościoła (był

tam magazyn, a w wysokiej wieży specjalne urządzenie, zawiadywane przez KGB) i zapowiada, że jeśli zajdzie potrzeba, umożliwi rzymskim katolikom użytkowanie Kościoła. Z postumentu przed wejściem do kościoła zdjęto osławiony tank, a rozsuwane drzwi okienne ponad chórem umożliwiają wiernym na rozległym placu oglądanie mozaiki Matki Boskiej Opiekuńczej (Pokrowa), którą też trzeba odrestaurować. W zakrystii ochotnicza służba: kręcą się dziewczęta przygotowujące wazony z różami i tulipanami, a przed kościołem mali chłopcy trzepią dywany. Sapelak, podniecony, bo na Synod przyjechał jego brat, biskup z Argentyny, liczy na pomoc zagraniczną ze specjalnego funduszu UNESCO na ratowanie zabytków sztuki (również sakralnej).

Rozmowa z przewodniczącym lwowskiej Rady Wojewódzkiej, Mykołą Horyniem: wyjaśniając trudności, na jakie natrafia młoda republika w budowaniu struktur, główne ich źródło upatruje w mentalności zbiorowej, nieprzygotowanej do przejęcia spraw lokalnych we własne ręce. „W Polsce, stwierdza, mogliście kształtować kadry poprzez stypendia w USA i zachodniej Europie — myśmy byli pozbawieni tej szansy". Z umiarkowanym optymizmem patrzy na rozwój sytuacji gospodarczej z uwagi na ogromne zainteresowanie inwestorów zagranicznych, którzy korzystają z wszelkich gwarancji prawnych i finansowych. Chwali szczególnie Niemców i Włochów. Co się tyczy sytuacji religijnej, zauważa, że przemieszanie ludności skomplikowało niezmiernie sprawę zwrotu nieruchomości kościelnych — mapa wyznaniowa wygląda bowiem dziś inaczej, czego na ogół nie bierze się pod uwagę. Zaprzecza stanowczo, by Polacy byli dyskryminowani: w 1990 r. mieli tylko 10 kościołów czynnych, dzisiaj mają 70 w samym województwie lwowskim, nie pokrywającym się jak wiadomo z granicami obszerniejszej metropolii lwowskiej (źródła polskie twierdzą, że większość tych zwrotów odnosi się do zachodniego rejonu przygranicznego, natomiast istnieją trudności z uzyskaniem pozwoleń na otwarcie kościołów w rejonie na wschód i na południe od Lwowa, np. w Brodach lub Starej Soli i Truskawcu, a nawet w samym Lwowie, jak np. w nowym osiedlu Zboiska). Natomiast na konflikt pomiędzy wspólnotami prawosławnymi i greckokatolickimi patrzy z dużym realizmem. Wypowiada się zdecydowanie na rzecz pluralizmu wyznaniowego pod warunkiem demokratycznego wyboru przywódców. Uderza, że popiera jednoznacznie postulat grekokatolików, aby Watykan uznał ustrój patriarchalny. Tego rodzaju decyzja może przyczynić się, jego zdaniem, do stabilizacji stosunków wyznaniowych i ukrócić skrajnie nacjonalistyczne tendencje odśrodkowe, które powstają nieraz w sposób spontaniczny. I przestrzega: „Bez uczynienia zadość temu żądaniu istnieje potencjalne niebezpieczeństwo, że kilka milionów grekokatolików wystąpi przeciwko



własnemu kierownictwu, kiedy Moskwa lub Konstantynopol podejmie decyzję przyznania patriarchatu ukraińskiego Kościołowi Prawosławnemu. Mamy bowiem i w tej dziedzinie do czynienia z procesem dynamicznym".

*16 maja*

Spotkanie u pp. Adamskich z członkami zarządu Tow. Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej upływa pod znakiem narzekań i żali, skierowanych do władz i społeczeństwa ukraińskiego. Trzeba odnieść się z szacunkiem do tych głęboko zakorzenionych urazów starszych pań i panów. Trudno od nich oczekiwać, by potrafili spojrzeć świeżym wzrokiem na nowe realia. Ktoś z zebranych twierdzi, że bez odkłamania historii wzajemnych stosunków, a zwłaszcza zbrodni UPA, nie będzie możliwe ich naprawienie („muszą uderzyć się w piersi"). Ktoś inny żali się, że Towarzystwo nie ma dotąd lokalu, a „za zabrany arcybiskupi pałac mogli dać coś w zamian". W oskarżeniach pod adresem odradzającego się Kościoła greckokatolickiego kierują się niestety emocjami i niesprawiedliwymi uogólnieniami. Twierdzą np. że wielu duchownych prawosławnych przeszło do Kościoła greckokatolickiego ze względów koniunkturalnych, tak jak uprzednio przechodzili na prawosławie. Nie rozumieją lub nie chcą zrozumieć, że nie miała tu miejsca jakaś zbiorowa apostazja, lecz często konieczność życiowa lub świadoma defensywna opcja. Utyskują na nacjonalizm, jakim — ich zdaniem — jest podbudowany ukraiński Kościół obrządku bizantyjskiego. Nie są w stanie uświadomić sobie, że żyją już w innym państwie, suwerennym, do którego trzeba odnosić się z lojalnością. Miłości chrześcijańskiej w tym polskim środowisku niestety nie zauważyłem. Moje spostrzeżenia podziela w dużej mierze konsul polski, historyk dr Henryk Litwin, znający doskonale język i problemy ukraińskie. O rodakach miejscowych mówi, że czują się pokrzywdzeni, bo nie otrzymali rekompensaty duchowej. Wyraża się pozytywnie o współpracy z prezesem Towarzystwa, St. Czerkasem, ale kontestuje pogląd, że stanowisko lokalnych władz jest zawsze nieprzychylne. Potrzeba cierpliwości (a tej panu konsulowi, który musi codziennie borykać się z rozmaitymi przyziemnymi kłopotami, nie brak) i perswadowania, także stronie ukraińskiej, na czym polega sens i znaczenie zaszłych zmian. Udziela mi znakomitych rad (co później zweryfikowałem) dot. planowanej podróży za Zbrucz.

*17 maja*

Uroczyste otwarcie Synodu biskupów w katedrze św. Jura,

transmitowane przez telewizję kijowską. Niespodzianka: na czele pochodu wkracza biskup prawosławny Wsiewołod Majdański (daleki kuzyn — podobno — naszego biskupa Kazimierza Majdańskiego ze Szczecina), przybyły z USA jako przedstawiciel patriarchy ekumenicznego z Konstantynopola.

Po południu ruszam w drogę do Krzemieńca, a stamtąd do Żytomierza i Kamieńca Podolskiego. Wyprawę tę umożliwił mi uczynny biskup Trofimiak, oddając do dyspozycji samochód „Łada" (dar od austriackiego Caritasu) wraz z kierowcą Kamińskim, młodym człowiekiem, pochodzącym z okolic Kamieńca, zarazem doskonałym przewodnikiem. Mijamy Podhorce z pałacem Potockich, gdzie mieści się sanatorium dla starych ludzi chorych na gruźlicę. Przecinamy tor kolejowy Lwów-Dubno-Łuck i tym samym znajdujemy się w południowej strefie Wołynia. W Poczajowej na górze piętrzy się cerkiew ze złotą kopułą, wybudowana przez Mikołaja Potockiego dla grekokatolików, ale po zatargu z carem przekazana prawosławnym (jak się okazuje, zatargi trwają nadal, choć protagonistami przestali być magnaci). Do Krzemieńca wjeżdżamy aleją wysadzaną topolami, po obu stronach nowe zabudowania, a na zalesionych wzgórzach zrujnowane dworki szlacheckie, przemalowane na niebieski lub różowy kolor. Bliżej centrum druga z kolei cerkiew, trzecią widać na górze królowej Bony, czwarta, nieużywana, mieści się w pojezuickim kościele licealnym, którego fasada od sześciu lat pokryta jest rusztowaniem, piąta wreszcie na rynku *vis-à-vis* liceum, którą po starciach prawosławni wybronili przed inwazją „autokefalistów". W zabudowaniach liceum mieści się szkoła zawodowa i studium pedagogiczne. Zatrzymujemy się na nocleg w plebanii u młodego księdza Czesława, rodem z Lubaczowa, proboszcza kościoła św. Stanisława Biskupa, który był czynny cały okres powojenny (odnowiony w 1976 r.). Trwają starania o odzyskanie kościoła licealnego św. Ignacego. Jeśli władze podejmują taką czy inną decyzję dot. zwrotu nieruchomości kościelnych — brzmi teza ks. Czesława — nie zwalnia to duchownych od zajęcia stanowiska ponad istniejącymi podziałami. „Jak będzie wyglądała wiara, jeśli u jej podstaw stanie fałsz? Duchowni nie mogą przechodzić do porządku dziennego nad pogwałceniem sprawiedliwości" (ustawy Rady Najwyższej przyznającej prawo do odzyskiwania skonfiskowanej własności). Co innego znaczy potem porozumienie co do samego jej użytkowania. Większe znaczenie — jego zdaniem — niż odbudowa tożsamości narodowej, co ma aspekty narażające ją na zamknięcie, posiada dziś odradzające się życie społeczne, oparte na uniwersalnych wartościach chrześcijańskich, a tym samym walczące z reliktami nacjonalizmu. Jest to ważniejsze — zaznacza — niż restauracja kościołów, na czym nie należy się koncentrować. Sam uczy w szkole języka polskiego,



a rekolekcji dla młodzieży udziela też w języku ukraińskim. W liturgii Ojcze Nasz i Ewangelia odmawiane są w obydwu językach (analogicznie jak w diecezjach żytomirskiej i kamienieckiej), z innymi modlitwami trzeba poczekać na zatwierdzenie stosownego przekładu przez Stolicę Apostolską. Zwraca uwagę na zasadniczą rolę kultury w procesie odrodzenia duchowego, w sensie „spotkania człowieka z człowiekiem, mającymi jedną ojczyznę, a wciąż jakże sobie dalekimi". W prelekcji dla członków Towarzystwa Przyjaciół Krzemieńca, jaką miał niedawno, zajął się analizą stosunku pomiędzy kulturą i narodem. Z tej wypowiedzi wynika, że gdyby polscy katolicy stali na wysokości zadania mogliby doprowadzić do stworzenia harmonijnego współżycia z Ukraińcami, najbliższym narodem pobratymczym.

*18 maja*

W drodze do Żytomierza mijamy Sławutę (mój kierowca nie wiedział, gdzie znaleźć pałac Sanguszków), gdzie wybudowano w 1989 r. kościółek, a rok temu oddano stary kościół — nie liczono się z tym, że tak szybko nadejdą lepsze czasy. Postój w Połonnej, 30-letni ks. Stanisław i jego dwaj współpracownicy obsługują kilkanaście parafii. Dużo tam wszędzie małżeństw mieszanych polsko-ukraińskich lub potomków mieszanych rodzin, trzeba więc posługiwać się obydwoma językami. Pracują tu przybyłe z Polski zakonnice honoratki jako katechetki, pielęgniarki i prowadzą nawet kursy kroju i szycia. W całym rejonie znajduje się w budowie pięć kościołów, wznoszonych wyłącznie dzięki ochotniczej pracy wiernych.

W Żytomierzu powitanie z gospodarzem, biskupem Janem Purwińskim, b. wychowankiem seminarium w Rydze. *A propos*: trzeba koniecznie dowartościować ignorowane lub w najlepszym razie niedoceniane zasługi tego seminarium, które w mrocznych latach umożliwiało (duży w tym udział kardynała Wajwodsa) posługę kapłańską na terenach Rosji, Białorusi, Ukrainy i Kazachstanu (seminarium w Kownie nie miało tych uprawnień). Dobrze tu współżyjemy z prawosławnymi — mówi biskup w czasie kolacji — trafiają się popi, którzy posyłają dzieci do naszych kościołów lub sal parafialnych, bo katechizację prowadzimy również po ukraińsku, a prawosławni przyznają, że są do tego nieprzygotowani. Istnieje w rzeczy samej coś w rodzaju fascynacji katolicyzmem, zjawisko polegające na przyciąganiu, a nie równoczesnym odpychaniu, jak gdzie indziej. Biskup Purwiński i jego młodzi współpracownicy (nie wszyscy się sprawdzają, bywają przypadki załamań) starają się nie wykorzystywać tego „uwodzenia" i pełnią swoją służbę w duchu maksymalnie otwar-

tym i uszanowania wrażliwości prawosławnych braci. „Całe szczęście (uśmiecha się przy tym dobrotliwie), że nie ma tu unitów, bo powstałyby od razu komplikacje", mówi bp Purwiński. Dyrektor pewnej szkoły zaprasza go do udziału w „dysputach religijnych", jak brzmi nazwa tego osobliwego religioznawstwa, pojmowanego jako *sui generis* spontaniczny ekumenizm. Nikt się tu nie lęka prozelityzmu, ani dyrektorzy szkół, ani popi. Na dialog ekumeniczny nie trzeba czekać, ale budować go oddolnie. Cała akcja duszpasterska (podobnie jak na terenie diecezji kamienieckiej) ma tu charakter pionierski, ożywczy, w duchu służby bliźniemu. Kiedy młody wikary zaprosił mnie do zabrania głosu na lekcji dla przyszłych katechetek (w prowizorycznie urządzonej salce jest około 30 kobiet w wieku od 20 do 50 lat), by powiedzieć kilka słów o problemach jakimi żyje Kościół na Zachodzie, nie mogłem powstrzymać się od mocnego akcentu: „Czekam na światło, które przyjdzie od Was, *lux ex Oriente* — powiedział Jan Paweł II przelatując w 1987 r. nad terytorium ZSSR w drodze do Korei Południowej". Ksiądz Jerzy, jeszcze rok temu pełniący służbę w Kijowie (kiedy się tam zjawił władze uważały go za „agenta wywiadu watykańskiego"), obecnie dojeżdża okresowo na tereny wschodnie aż do Charkowa. W zarejestrowanych tam niedawno parafiach wspólnoty przyznające się do tożsamości polskiej mówią narzeczem ukraińsko-rosyjskim, po polsku na razie jeszcze słabo. Polskich wiernych na obszarze diecezji żytomirskiej jest ponad sto tys., a razem z Kamieńcem Podolskim ok. trzystu tys. Są to liczby szacunkowe. Zalecana jest ostrożność z tymi liczbami, często mocno naciąganymi.

*19 maja*

Pożegnanie z biskupem udającym się do Kijowa na spotkanie z przybywającym właśnie z Rzymu nuncjuszem apostolskim. Krótki postój w Letyczowie przy kościele podominikańskim w trakcie remontu. W tym sanktuarium, zwanym Częstochową Podola, obraz Matki Boskiej Letyczowskiej (kopia Matki Boskiej Śnieżnej z bazyliki rzymskiej Santa Maria Maggiore), po odnalezieniu przewieziono do Lublina dla prac konserwatorskich. Także i tu utrzymywane są przyjazne stosunki z prawosławnymi, a ks. Roman, rodem z Drohobycza, jeździ często aż do Jałty na Krym, gdzie znajdują się grupy wiernych. Sporo ludzi przybywa tu nawet z dalekich stron na msze niedzielne, o ile autobus ma benzynę. Miejscowy proboszcz uczy od miesiąca w szkole języka polskiego jako przedmiotu nadobowiązkowego, ale uczestników jest pełno. Docieramy do Gródka podolskiego, gdzie w seminarium, działającym od roku, wicedyrektor mnie zaskakuje: „Pana redaktora od razu sobie skojarzyłem, jak się dowiedziałem nazwiska, z paryską *Kulturą*. W obiedzie obok 18 seminarzystów uczestniczą dwaj kapłani przybyli ze Słowacji. Proboszcz, Łotysz, o którym głośno na całej Ukrainie, ks. Władysław Wanags, konwertyta z luteranizmu, mówi dialektem ukraińsko-rosyjsko-polskim. Działa tu od piętnastu lat, dzięki niemu nie tylko odbudowano kościół (poświęcony dwa lata temu), ale utrzymano spoistość wspólnoty parafialnej. Stał się on nieomal legendą, opowiadają tu rozmaite epizody z których wynika jak doskonale dawał sobie radę z władzami komunistycznymi. Ten zlatynizowany, ale, na całe szczęście, nie spolonizowany Łotysz, owijał sobie przedstawicieli władz dookoła palca, mówią starzy parafianie. Ten wspaniały człowiek zaimponował mi (oprowadza mnie i pokazuje w plebanii na tyłach prezbiterium) „papską komnatę", tzn. skromny apartament zarezerwowany dla papieża, czekający na jego przybycie. Stara się o ukończenie prac w 12 okolicznych miejscowościach (okoliczne znaczy w tej sferze nieraz 30, 50 a nawet 100 km), gdzie buduje nie tylko kościoły, ale i domy dla starców i ośrodki miłosierdzia. „Myślimy tu jak jedna rodzina mieszana, na szczęście Autokefaliczna Cerkiew nam nie przeszkadza", mówi Wanags, a w kościele zwraca mi uwagę na stary konfesjonał, obiekt już niemal muzealny, całkowicie odbudowany, jedynie z małym otworem z boku, by spowiadający się nie widział ukrytego kapłana. W tym momencie przyszło mi do głowy, że należałoby obok tego milczącego symbolu nieludzkich czasów podnieść krzyk przeciwko jednemu z głównych grzechów chrześcijańskiego Zachodu: zaniechania, winnej obojętności.

„Stalin powybijał tu nacjonalizmy, stąd spokojniej tu niż na zachód od Zbrucza", powiada biskup Jan Olszański, kiedy pod wieczór docieramy do Kamieńca Podolskiego. Nie robi dramatu z powodu nie zaspokojonych do tej pory rewindykacji nieruchomości (seminarium obok zwróconej katedry, gdzie mieści się drukarnia, kościoły franciszkański i dominikański, w którym trwa „wieczny remont"). Władze preferują tu wprawdzie prawosławnych, ale nie chcą zadzierać z katolikami. Stosunki z prawosławnymi są bardziej niż poprawne. Odmowy czy opóźnienia zwrotów nie należy przypisywać złej woli, nieraz władze grają na zwłokę, czekają na możliwości wymiany. Nie chcą naśladować rozkazodawczego, scentralizowanego systemu komunistycznego. Polscy kapłani, uczuleni na wszelkie ślady kultury i sztuki, starają się ocalić symbole (herby, rysunki, rzeźby itp.) świadczące zarazem o obecności polskiej, jak i rumuńskiej i ormiańskiej, systematycznie tu niszczone w latach 30-tych. W katedrze pod wezwaniem św. Piotra i Pawła, zamienionej ongiś na meczet — pozostał jeszcze minaret skąd podziwiam wspaniały, rozciągający

się pejzaż miasta otoczonego rzeką Smotrycz — tablice pamiątkowe i napisy na ambonie przypominają turecką obecność, a muzeum miejskie nie wyniosło się stąd jeszcze całkowicie. Po nabożeństwie majowym, w czasie którego wierni śpiewają po ukraińsku (polskich pieśni dopiero uczy młodzież siostra urszulanka z wielkopolskich Pniew, zgromadzenia założonego przez słynną matkę Ledóchowską rodem z Ukrainy), dowiaduję się, że wkrótce ma tu odbyć się zlot młodzieżowy z całej diecezji. Kuria biskupia wydaje pismo *Ave Maria* w języku ukraińskim, drukowane w Winnicy — jeszcze jeden dowód przekreślania zamkniętych rewirów — etnicznych i wyznaniowych. Bp Olszański w październiku będzie obchodzić 50-lecie święceń kapłańskich — zwraca uwagę, że przekazał grekokatolikom (jest ich tu zaledwie 60) zabytkowy kościół trynitarski. Uważa, że zarówno grekokatolicy (nie tutejsi, ale ci z metropolii lwowskiej) jak i autokefalni prawosławni nie potrafią układać dobrych, wzajemnych stosunków międzywyznaniowych, bo są zbyt rozpolitykowani. Wszędzie, także w Kamieńcu, natrafiam na pytanie „kiedy przyjedzie Ojciec Święty?". Panuje zrozumienie, że nie nadszedł jeszcze oczekiwany czas, że taką podróż należy pieczołowicie przygotować. Wypad do Chocimia i do wsi Okopy Świętej Trójcy, gdzie na skarpie pod Zbruczem, w pobliżu ujścia Dniestru i 10 km od słynnych Zaleszczyk, sędziwa babuszka pasąca krowę, wskazując na stertę śmieci opodal mówi „za czasów Polski nałożyliby za to karę".

*20 maja*

Powrót do Lwowa przez Czortków i Buczacz. Ojciec Reginald, dominikanin, pilnujący gruntownego remontu w odzyskanym w 1989 r. zabytkowym kościele w samym centrum Czortkowa, przypomina, że kiedy opuścił ten teren i przebywał w Polsce, bolszewicy rozstrzelali tu w 1941 r. przed wkroczeniem Niemców, pięciu jego współbraci. Słyszę ponownie zarzut pod adresem unitów: przejmują nasze kościoły (w samym powiecie czortkowskim — 10), o co nie można mieć do nich pretensji, ale by dostosować wnętrze do swego obrządku rozbierają ołtarze, a przecież mogliby je pozostawić, ustawiając ikonostas bliżej balasek. W Jazłowcu, dawnej siedzibie pułku ułanów, zwiedzam klasztor sióstr Niepokalanek, przekształcony na sanatorium. W Buczaczu miejscowy kapłan skarży się: „kościół nam tu zwrócono (obecnie w remoncie), ale w okolicznych miasteczkach, Podhajcach, Brzeżanach i Przemyślanach, kościoły oddano Autokefalicznej Cerkwi lub grekokatolikom, zamiast nam jako prawowitym właścicielom".



*21 maja*

Spotkanie w kancelarii arcybiskupiej: nie przyjechali na Synod dwaj biskupi, Semedy i jego sufragan Holowac z Mukaczewa, czyli z regionu dawnej Rusi Zakarpackiej. Uważają się bowiem za Rusinów, bliższych Węgrom z tytułu pochodzenia i rodowodu wyznaniowego (zawdzięczają go Unii Użhorodzkiej, zawartej kilkanaście lat po Unii Brzeskiej). Jest to poważny, niemiły wyłom w spoistości hierarchii greckokatolickiej na samym progu odrodzonych jej struktur w niepodległej Ukrainie; wyłom świadczący o na wskroś etnicznym wymiarze tego Kościoła. Ta secesja diecezji mukaczewskiej (na terytorium wcielone do Ukrainy w 1939 r.) zakończy się prawdopodobnie uzyskaniem specjalnego statusu od Stolicy Apostolskiej, podobnie jak to ma miejsce w Preszowie na Słowacji, diecezji obrządku bizantyjskiego, której ordynariuszem jest biskup Hirka. Po południu uroczyste przekazanie skonfiskowanych przez KGB dokumentów papieskich z lat 1939-45, adresowanych do metropolity Szeptyckiego i władyki Slipyja. Niebywała scena: wojewoda Horyń w towarzystwie przedstawiciela nowego Urzędu Bezpieczeństwa wręcza po przemówieniu w katedrze kardynałowi Lubaczywskiemu w otoczeniu 28 biskupów trzy pergaminowe bulle papieskie.

Wieczorem w redakcji *Za Vilnu Ukrainy* udzielam wywiadu tej największej gazecie lokalnej. Młodzi dziennikarze informują, że OUN, wg nich, nie ma żadnych szans, bo dwa największe stronnictwa, Ukraińska Partia Republikańska i Partia Demokratyczna, wywodzące się z Ruchu, reprezentują zdrowy, racjonalny nacjonalizm, w odróżnieniu od skrajnie konserwatywnego OUN-u. Uważają, że obie Cerkwie, dziś ze sobą konkurujące, połączą się. Autokefaliczna tylko dlatego mogła się rozwinąć, że kijowska straciła twarz na skutek ślepego ongiś posłuszeństwa rosyjskiemu patriarchatowi oraz powiązań z KGB. Co do pretensji polskich w sprawie zwrotu kościołów, twierdzą, że tutejsze władze kierują się „sprawiedliwością rynkową", bo w Polsce „nam ich nie oddają, choć stopniowo nasi rodacy powracają do rejonów Przemyśla i Jarosławia oraz na Łemkowszczyznę". Słyszę już po raz wtóry bardzo krytyczne uwagi o treści artykułów w prasie krajowej: w jakimś piśmie wrocławskim o tym, że Europa kończy się na Bugu oraz artykuły w *Życiu Warszawy* w obronie „Akcji Wisły".

*22 maja*

Wypad do Żółkwi. W promieniu 300-500 metrów kw. 6 kościołów, zabytkowa, nieczynna synagoga. Przy wjeździe do

miasta drewniana cerkiew (przeznaczona jedynie na śluby), druga w budowie, tuż obok autokefaliczna cerkiewka zamknięta na kłódkę, połączona z budynkiem plebanii, mieszczącym jakiś urząd wojskowy, dalej cerkiew okupująca kolegiatę dominikańską (tymczasowo tylko, „bo nie opłaca się remont", dlatego budują nową); po drugiej stronie rynku kościół greckokatolicki zwrócony przez prawosławnych wraz z budynkiem seminarium prowadzonym przez bazylianów. Opodal kościół farny rzymskokatolicki. Jego proboszcz, ks. Bazyli Pawełko, pokazując mi zabytkowe wnętrze z prezbiterium w rusztowaniu, informuje, że nagrobkowe tablice, m.in. synów króla Jana Sobieskiego, wymagają restauracji, co stopniowo starają się robić odbywający praktykę studenci Akademii Sztuk Pięknych z Warszawy i Krakowa. Zamek wraz z dziedzińcem, zamienionym na działki warzywne i kurniki, zamieszkuje kilkanaście rodzin. Wszystko tu w stanie ruiny i skrajnego zaniedbania, a można by z Żółkwi stworzyć atrakcyjny ośrodek turystyczny, wykorzystując doskonały dojazd szosą z północy i zachodu — zauważa ks. Pawełko, prosząc o przekazanie pozdrowień ojcu Feliksowi Bednarskiemu, dominikaninowi rodem z Żółkwi. Wbrew polskiej kliszy podkreśla on zawsze, że w czasie jednej i drugiej okupacji ukraińscy grekokatolicy (zwłaszcza bazylianie) pomagali i przechowywali Polaków narażonych na represje.

Po powrocie do Lwowa spotkanie z panią Emilią Chmielową, prezeską Federacji Polskich Stowarzyszeń na Ukrainie. Krytykuje atmosferę panującą w tutejszym środowisku Polaków, którzy „zatrzymali się w miejscu". Przyznaje, że należy uszanować wrażliwość tych osób, które „zamknęły się w sobie", ale działać z wyobraźnią na rzecz przyszłości, „wyjść z własnego podwórka". Opowiada o swej niedawnej bytności w Chmielnicku (Płoskirowie) na zebraniu polskich nauczycieli, zwołanym przez Stow. Wspólnota Polska. Podziela mój pogląd, że trzeba opracować sprawny model współżycia ze środowiskami ukraińskimi, otwartymi na współpracę. Trzeba do nich dotrzeć i tym samym doprowadzić jak najszybciej do przezwyciężenia konfliktowych sytuacji.

*23 maja*

Ks. prałat I. Dacko opowiada o przebiegu spotkania biskupów, uczestników Synodu, z przedstawicielami Rady Wojewódzkiej i Miejskiej. Był m.in. podniesiony przez władze problem polski, tzn. splotu pomiędzy sytuacją w Polsce, w diecezji przemyskiej i na terenie metropolii lwowskiej. Kontrowersje powstają, wg niego, z powodu ciągłego podkreślania przez polski



kler tożsamości polskiej i łacińskiej. Dialog istnieje już i może się rozwijać wśród świeckich, natomiast brak go wśród duchowieństwa po obydwu stronach. Precyzuje, że od spotkań międzyludzkich zależy w rozstrzygającej mierze usunięcie rozbieżności na tle narodowościowym, bo ważniejsze na pewno jest wyzwanie ze strony prawosławia. Wyraża się pochlebnie o postawie polskiego konsula, dr. H. Litwina. Potwierdza, także na tle niedawnej wizyty w Polsce, pozytywną rolę, jaką odgrywa prezydent Krawczuk i jego ekipa, wykazująca prawidłowe zrozumienie interesów kraju. Nie ukrywa zadrażnień i nieporozumień w łonie własnego Kościoła pomiędzy biskupami i klerem miejscowym „zarażonym złą przeszłością", a przybyszami z diaspory. Psychologiczne opory muszą być stopniowo przełamywane, tubylcy muszą przyswoić sobie nową dyscyplinę, zmiany liturgiczne i nowy kodeks prawa kanonicznego, wszystko to, czego przez tyle lat byli pozbawieni w izolacji od świata zachodniego. Potrzeba na to czasu. Na obiedzie u kardynała z przybyłym właśnie z Rzymu rektorem Papieskiego Instytutu Wschodniego mowa jest o przygotowaniu przez Synod apelu do papieża w sprawie przyznania ustroju patriarchalnego. Rozdarcie i wciąż płynna sytuacja w łonie ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej powinny sprzyjać przyśpieszeniu tej upragnionej i od dawna oczekiwanej decyzji.

*24 maja*

Uroczysta msza święta w kościele Preobrażeńskim (Przemienienia Pańskiego) w centrum historycznym Lwowa niedaleko gmachu Opery. Tym razem pochód otwiera nuncjusz apostolski, arcybiskup Antonio Franco. Czyta potem po włosku tekst w imieniu papieża, tłumaczony na żywo przez ks. Dacko. Nuncjusz podnosi wierność dla Ojca Świętego i wytrwałość ukraińskich wiernych. „To wasza wiara i cierpienia umożliwiły cud" — stwierdza. I prosi o pomoc, bo jego „zadanie nie będzie łatwe". Homilia kardynała ma wyraźny profil ekumeniczny. Po prawej stronie prezbiterium w ławkach przewodniczący Rady Wojewódzkiej M. Horyń z rządową delegacją, po lewej zaś stronie m.in. polscy biskupi, Kiernicki i Trofimiak. Kościół bez porównania obszerniejszy od katedry św. Jura, wypełniony po brzegi wiernymi, skupionymi, zachowującymi się z wielką godnością, wytrzymującymi na stojąco 3 godziny trwające nabożeństwo („u nas siedząc by nie wytrzymali") mówi po polsku po moim powrocie do Rzymu ktoś z bliskiego otoczenia papieża). Obok mnie na chórze stoi wzruszona Irina Kałyniec, deputowana do parlamentu w Kijowie, żona wybitnego poety, więziona sześć lat

w łagrze, zajmująca się głównie oświatą, która przyczyniła się walnie do wprowadzenia do zrusyfikowanych szkół języka ukraińskiego jako wykładowego.

W spotkaniach pożegnalnych padają uwagi moich rozmówców o niezastąpionej misji Kościoła greckokatolickiego, na co liczy inteligencja ukraińska, bo prawosławie (zarówno rosyjskie jak i ukraińskie autokefaliczne w jakiejkolwiek formie) moralnie skompromitowane, musi naprawić swą zepsutą reputację zanim będzie w stanie przyciągać ludzi. Dialog zaś z prawosławiem ze strony Kościoła katolickiego będzie kontynuowany, zwłaszcza z jego emancypującym się się odłamem na Ukrainie, nigdy jednak już nie kosztem grekokatolików. Opuszczam Lwów w nastroju umiarkowanego optymizmu (który niestety szybko już przeminął, gdy tylko znalazłem się w rozgadanych i egocentrycznie nastawionych politycznych salonach warszawskich). Wydaje mi się, że spory polsko-ukraińskie powinny znaleźć się już wkrótce na linii pochyłej. Wielką nadzieję pokładam w młodym pokoleniu, ukraińskim i polskim, jak mogłem się przekonać chłonnym na nowość, sceptycznie nastawionym do racji swoich ojców i dziadków, pozbawionym pseudo-romantycznych wzlotów i patrzącym ze spokojem i realizmem w przyszłość. Ukraina, jaką poznałem w krótkim co prawda, zaledwie dwa tygodnie liczącym czasie, ale mając do czynienia z dość reprezentatywnym przekrojem jej realiów politycznych i wyznaniowych, wydaje mi się obszarem-sprawdzianem możliwości przezwyciężenia na drodze pokojowej destrukcyjnych postaw nacjonalistycznych; jako rodzaj „testu" nowej ewangelizacji pod warunkiem, że katolikom powiedzie się usunięcie dotychczasowych podziałów (w łonie obrządku łacińskiego i we wzajemnych stosunkach z wyznawcami obrządku wschodniego). Dużo więc zależy w perspektywie od ich przezorności i rozwagi, nieodzownych, jeśli chce się uniknąć dalszych tarć z prawosławnymi i co gorsze jeszcze, dramatycznego gestu odrzucenia wszelkiego dialogu (mieliśmy tego próbkę, jakże wymowną, po lutowym „szczycie" prawosławnym w Konstantynopolu). Ekumenizm trzeba budować od dołu, od spotkań międzyludzkich, a nie czekać na dyrektywy i na to, że biskupi popchną go naprzód.

Rzym, czerwiec 1992

*Dominik MORAWSKI*

# *Wiersze*

Czesław MIŁOSZ

## Wypisy z ksiąg użytecznych: O rzeczach

Su TUNG PO

### NA OBRAZ WANGA, SEKRETARZA YEN LINGA

według Rexrotha

Wiotki bambus jest jak pustelnik.
Zwykły kwiat jest jak dziewczyna.
Wróbel zgina gałązkę,
ulewa kropel sypie się na kwiaty.
Otwiera skrzydło do lotu
i burzy wszystkie liście.
Pszczoły zbierające miód
ugrzęzły w nektarze.
Jaki to śliczny talent
tak móc stworzyć całą wiosnę
pędzelkiem na kartce papieru.
Gdyby spróbował poezji
wiem, że byłby mistrzem słów.

*Su TUNG PO*

Robert MORGAN

## SZNUR OD DZWONU

Lina z górnego otworu w ciemnym
Stropie nad sienią kończyła się
Grubym wyślizganym węzłem, i powiew
Poruszał nią kiedy ktoś przechodził.
Równo pół godziny przed nabożeństwem
Wujek Allen zaczynał zwoływać wiernych.
Targał liną jakby zapuszczał motor
I odpowiadała mu cała wieża,
wibrując, milknąc, kiedy serce dzwonu
Trwało w rozkołysie. Przyglądałem się
Jak co niedziela ciągnie za tę linę
Jakby nabierał wody ze studni.
Koło klekotało tam w górze, ciężkie wiadra
koziołkując, wybluzgiwały dźwięk,
Rozlewając zimną płynność na najdalsze
Zatoki i wądoły, zaraz wsysając
Linę na swój strych, i zostawał tylko
Węzeł w zasięgu ręki, rozedrgany
Od wysokich swoich powiązań.

*Robert MORGAN*

Rolf JACOBSEN

## WIEK WIELKICH SYMFONII

Wiek wielkich symfonii
już zakończony.
Wzbijały się ku niebu w pełnym majestacie
jak chmury gromowe mieniące się w słońcu
ponad wielkimi stuleciami.
Cumulus pod jasnym niebem. Koriolan.

Teraz wracają ulewnym deszczem.
Kamiennoszary, pręgowany deszcz
na wszystkich długościach fali,
we wszystkich programach,



okrywający ziemię jak mokry płaszcz,
worek dźwięku.

Teraz oto spadają z niebios,
grzechoczą po dachach drapaczy chmur jak elektryczny grad
i sączą się do sypialni farmera
i bębnią po przedmieściach i oceanach cegły
jako wieczny dźwięk.

Deszcz jako dźwięk.
*Seid umschlungen Millionen,*
żeby zdławić krzyk

co dzień co dzień
na tej ziemi, która jest spragniona i spija je znowu.

## KOBALT

Barwy są siostrzyczkami słów. Nie mogą z nich być żołnierze.
Potajemnie kocham się w nich od dawna.
Mają siedzieć w domu, zawieszać jasne zasłony
w naszej zwyczajnej sypialni, kuchni, alkowie.

Blisko jestem z młodym karmazynem i brunatną sieną
ale jeszcze bliżej z nią, zamyśloną,
której na imię kobalt,
tęsknooką barwą, nieposkromionego ducha.

Idziemy po rosie,
nocne niebo i południowe oceany do niej należą
i nosi na czole brelok w kształcie łzy:
perły Kassiopei.
Idziemy po rosie w późne noce.

Ale inne.
Spotykaj je w czerwcu o czwartej rano
kiedy biegną do ciebie
a ty idziesz na ranne pływanie w pianach zielonej zatoki.
Możesz potem opalać się z nimi na gładkich kamieniach.
— Która z nich będzie twoja?

*Rolf JACOBSEN*

Robert HASS

## OBRAZ

Dziecko przyniosło niebieskiej gliny znad potoku
i kobieta ulepiła dwie figurki: damę i jelenia.
O tej suchej porze jelenie schodzą z gór
i pasą się w kanionach sekwoi.
Kobieta i dziecko przyglądali się figurce damy:
szorstka okrągłość, wdzięk, kolor jakby cienia.
Nie byli pewni skąd się wzięła,
tyle że dziecko przyniosło i ręce kobiety
i ołowianoniebieska glina znad potoku
gdzie o zachodzie słońca widać niekiedy jelenie.

*Robert HASS*

Al ZOLYNAS

## ZEN DOMOWYCH ZAJĘĆ

Zaglądam sobie przez ramię
na moje ręce
jak znikają w wodzie —
dwie różowe gumowe rękawice
uwijają się tam
myjąc talerze po obiedzie.
W moim ręku kieliszek od wina
trzymany za nóżkę, od spodu
wynurza się z wody jak puchar
ze średniowiecznego jeziora.

Pełne szarego wina
domowej myjki, szkło
podnosi się na poziom moich oczu.
Za nim, w oknie nad zlewem, słońce
w ceremoniale wróbli i gołych gałęzi
zapada nad Zachodnią Ameryką.

Mogę widzieć tysiące kropelek
pary, każda jak małe widmo,



unoszących się nad moim szarym winem.
Chwieją się, ciągle zmieniają kierunek
jak stadko igrających ryb
albo jak przezroczysta firanka
na oknie do innego świata.

Ach, szary sakramencie doczesności!

*Al ZOLYNAS*

Yuan MEI

## KIEDY NADCHODZĄ CHMURY

według J. P. Seatona

Kiedy nadchodzą chmury, góra istnieć przestaje.
A kiedy odchodzą, pokazuje swoje mocne
Górowanie.
Jak myślisz?
Czy góra wie?

*Yuan MEI*

Tu FU

Nie żebym kochał te kwiaty nad życie
Ale kiedy znikną i życie pewnie upłynie.
Pełna gałąź a płatki spadają tak łatwo.
Radzę wam, wątłe pączki, otwierajcie się z większą uwagą.

*Tu FU*

*Tłumaczył Czesław MIŁOSZ*

## *Archiwum polityczne*

# Gdyby „święty Mao" tego dożył...

### REFLEKSJE Z PODRÓŻY DO CHIN WIOSNĄ 1992 r.

Chiny epoki Mao, choć przeobrażone przez nowy reżim komunistyczny, pozostawały w dużym stopniu takie, jakimi były przez wieki. Nawet sam ten reżim mógł być rozpatrywany jako kontynuacja wielowiekowych tradycji, uzupełnionych tylko przez zapożyczenia sowieckie, czy też rozwiniętych przy udziale sowieckich wzorów. „Industrializacja socjalistyczna" koncentrowała się przecież, jak wszędzie, na tworzeniu kolosów przemysłu ciężkiego, izolowanych wysp w morzu chłopskim i małomiasteczkowym. Imperium zmieniło kolor z żółtego na czerwony, ale nadal zachowało wiele ze swej imperialnej natury, struktur i tradycji. Gdy opuszczałem Chiny w sierpniu 1966 roku, zaczynała się właśnie rewolucja kulturalna i burzono stare mury miejskie oraz bramy Pekinu, by stworzyć warunki dla nowego rozwoju, który jednak nie nastąpił. Nie powstała nowoczesna „cywilizacja komunistyczna", którą chciał stworzyć Mao, a ideologia komunizmu została przez rewolucję kulturalną skompromitowana. W rezultacie od 1978 roku zaczęto odchodzić od maoistowskich koncepcji, akceptując reguły gospodarki rynkowej i coraz szerzej otwierając Chiny na świat współczesny.

Dziś żałuje się zburzonych zabytków, ale rozwój stał się faktem, a jego wymiary przerosły wszelkie wymiary oczekiwania, aczkolwiek jego kierunek jest zupełnie inny niż wyobrażali sobie czerwonogwardziści i ich inspiratorzy ze starej komunistycznej gwardii. Dwadzieścia lat temu Pekin był właściwie rozległą wioską na 5 milionów mieszkańców. Tego Pekinu już nie ma. W ciągu dwudziestu lat zrodziła się wielka metropolia z ludnością



przekraczającą 10 milionów, z setkami nowych budynków o pięknej nowoczesnej architekturze, jakiej nie powstydziłby się Hong Kong ani Tokio. Wyrosły bloki mieszkalne, do których przeprowadziła się już znaczna część mieszkańców. Ulice zazieleniły się tysiącami młodych drzew, ubarwiły rabatami kwiatów, które niegdyś dekorowały tylko wejścia do ważniejszych budynków rządowych, i upstrzyły reklamami automatycznych japońskich pralek, chińskich telewizorów, mikrofalowych piecyków i tysięcy innych produktów nowoczesnych technologii.

Chiny są jednym wielkim placem budowy. W prowincjonalnych miastach i w powiatowych miasteczkach wznosi się nowe gmachy, tak jak i w Pekinie łączące nowoczesną architekturę z tradycją. Wszędzie widzi się kopane kanały, wykładanie ich kamieniami, budową mostków i przelotów.

Nową zamożność widać na każdym kroku: w nowym urządzaniu mieszkań, w tłumnym odwiedzaniu sklepów z produktami elektroniki, w ścisku w sklepach jubilerskich. Gdy niedawno sprzedawano na publicznej aukcji w Szanghaju akcje kilku prywatyzowanych przedsiębiorstw, tłok był taki, że trzeba ją było przenieść na stadion, a i tak parę osób zadeptano w ciżbie.

W 1991 roku dochód narodowy wzrósł o 7-9 %, aczkolwiek był to wzrost nierównomierny: największy w prowincjach południowego wybrzeża, znacznie mniejszy w prowincjach wewnętrznych. Ponadto duże różnice występują między sektorami. W rolnictwie produkcja rośnie zaledwie w tempie 2-3 % rocznie, zatem w przemyśle i usługach jest on znacznie większy od średniej. Ponadto nawet tam jest on bardzo zróżnicowany. Podczas gdy nowy sektor prywatny lub o przewadze kapitału publicznego, ale działający zgodnie z wymogami gospodarki rynkowej, to jest nowe przedsiębiorstwa prywatne chińskie i *joint-ventures*, bądź nowe spółki założone przez władze lokalne, bank i inne firmy rozwijały się szybko — dawne kolosy socjalistyczne znoszą coraz gorzej warunki gospodarki rynkowej. I setki ich co roku przechodzi z kategorii „przynoszących zysk" do kategorii „przynoszących straty". Zatem odgrywają one rolę marginalną albo wręcz negatywną we wzroście dochodu narodowego. W tym stanie rzeczy można przyjąć — choć jest to tylko przybliżony szacunek — że w sektorze przemysłu i usług typu kapitalistycznego wartość produkcji rosła w tempie około 14-15 % rocznie; to on był prawdziwą lokomotywą gospodarki chińskiej.

Zatem ekonomiści i politycy chińscy stoją wobec problemów zupełnie innych niż ich koledzy z Europy Wschodniej. Jedną z ich głównych trosk jest pytanie, jak przyhamować nieco wzrost gospodarczy, tak by w 1992 roku nie przekroczył poziomu 10-12 %, co uznają za wielkość, powyżej której zaczyna

się chaos i rozmaite napięcia. Nazbyt szybki rozwój powoduje, na przykład, że gwałtownie rosnące zapotrzebowanie na energię elektryczną nie może być zaspokojone, a wytworzonych produktów nie sposób wywieźć ani załadować na statek w porcie, bo transport się dusi, itp. Są także napięcia społeczne: dość powiedzieć, że profesor na stołecznym uniwersytecie zarabia 300 yuanów miesięcznie, to jest około 70 dolarów, zaś robotnik w dobrym zakładzie państwowym może zarobić nawet 1000, a w firmie prywatnej 3000. Wprawdzie wykładowca na Uniwersytecie Kantońskim, w regionie o najwyższym rozwoju, zarabia dwukrotnie więcej, ale i tam pracownicy sfery budżetowej pozostają daleko w tyle za tymi ze sfery produkcyjnej.

Dodać jednak należy, że inteligenci na ogół nie biedują, tyle że ich zarobki w coraz większej mierze zależą od osobistej obrotności. Zakładają prywatne firmy, bądź wykonują dla nich różne prace, piszą książki i informatory dla nowych wydawnictw, które rozmnożyły się jak grzyby po deszczu, bądź znajdują inne dorywcze zarobki, często znacznie przekraczające ich pensję w podstawowym miejscu pracy. W rezultacie także oni wciągnięci zostali do powszechnej pogoni za pieniędzmi i za nowymi dobrami.

Inną troską ekonomistów jest pewne wyrównanie dysproporcji rozwojowych tak w skali sektorów, jak i regionów, a przede wszystkim reforma sektora państwowego, aby on także stał się bardziej dynamiczny. W tym celu zamierza się znieść dożywotnie w praktyce zatrudnienia pracowników, umożliwić zakładom ich zwalnianie i zróżnicowanie zarobków odpowiednio do zamożności firmy i ich indywidualnej przydatności, podczas gdy dotychczas płaci się im według administracyjnie ustalonych i powszechnych stawek zaszeregowania. Nade wszystko zaś zamierza się znieść nomenklaturę. Zatem dyrektor zakładu źle pracującego mógłby być zwolniony, a nie tylko przeniesiony na inne kierownicze stanowisko, zaś sprawny menadżer otrzymywałby specjalne premie proporcjonalne do zysków firmy i mógłby zostać mianowany nie będąc członkiem „kadry". Generalnie zamierza się rozszerzyć specjalne strefy ekonomiczne z nader liberalną polityką gospodarczą, nie traktując ich już jako „eksperyment", a sprawdzone tam mechanizmy gospodarki rynkowej rozszerzyć na cały kraj. Jak pogodzić te zamierzenia z przyhamowaniem wzrostu gospodarczego? Kwadratura koła. A politycy pamiętają, że protesty z roku 1989 wydarzyły się, gdy rozwój gospodarczy uległ właśnie przyhamowaniu.

O wypadkach na Placu Niebiańskiego Spokoju już trochę zapomniano, gdyż zmieniła się atmosfera społeczna, i to w wielu aspektach. Przed kilku laty dominowały w kręgach młodzieżowych i intelektualnych nastroje patriotyczne i fascynacja Zachodem. Krytyka istniejącego porządku i pragnienie zbudowania nowych Chin łączyły się z przekonaniem, że nowoczesne i demokratyczne Chiny powinny włączyć się do świata zachodniej cywilizacji, przyswajając sobie jej technologie i wzorce organizacyjne. Natomiast partyjna konserwa broniła nie tylko utrzymania porządku komunistycznego, ale także chciała chronić Chiny przed zachodnimi wpływami. Po wypadkach roku 1989 nastąpiła „ucieczka w prywatność", osłabły zainteresowania społeczne i polityczne, nade wszystko zaś zaniknął emocjonalny, niemal fanatyczny patriotyzm, który był motorem społecznego zrywu.



Gdy okazało się, że świata nie da się zmienić, próbowano urządzić się w nim możliwie wygodnie. Zamknięcie w kręgu spraw osobistych i rodzinnych łączyło się zatem ze wzrostem aktywności w sferze gospodarczej. Sukcesy w prywatnej przedsiębiorczości otwierały dostęp do nowych dóbr, nowych mieszkań bądź ich ulepszenia, kolorowych telewizorów, wideo uwalniającego od telewizji państwowej, pralek, modnych ubiorów, itd. Tak zaczął się nowy etap konsumeryzmu.

Chiny wkroczyły w etap nowego *boom*'u, co stwarzało nieporównanie większe możliwości działania.

Do tego dołączył się drugi czynnik: robienia karier w istniejącym systemie politycznym. W Polsce generała Jaruzelskiego po wstrząsie 1981 r. dokonywała się także wymiana kadr kierowniczych i zastępowanie starej nomenklatury nową, kierunek tych zmian był jednak wyraźnie antydemokratyczny i towarzyszyły im powszechne czystki zrewolucjonizowanych kadr, zaangażowanych w przemiany związane z ruchem Solidarności. Podobnie było w Czechosłowacji po „praskiej wiośnie". W Chinach ruch odnowy był znacznie bardziej ograniczony i nie wytworzył struktury organizacyjnej porównywalnej z polską Solidarnością czy z czechosłowackimi odnowionymi organizacjami oficjalnymi. Ponadto okres społecznego przebudzenia trwał w Chinach zaledwie tygodnie i objął tylko niektóre duże miasta. W rezultacie skala dokonanych czystek była nieporównywalnie mniejsza, a surowość wyroków w pokazowych procesach łączyła się z wielką tolerancyjnością w skali masowej. Znakomita więc większość intelektualistów zachowała swoje zajęcia i stanowiska. Nie przeprowadzono także czystki w partii. W tej sytuacji odmłodzenie kadr kierowniczych i administracyjnych, jakiego dokonano w Chinach, uderzało głównie w starą nomenklaturę, a to otwierało nowe możliwości awansu dla ludzi średniego i młodego pokolenia. Nie doszło zatem do masowego bojkotu państwa i jego aparatu, jak w Polsce, a wręcz przeciwnie, do jego integracji ze społeczeństwem. Doszło w rezultacie do postępującej izolacji konserwatywnych grup w centralnym kierownictwie i sędziwych starców im przewodzących, podczas gdy wielu innych starych przywód-

ców, wspierających reformy, odsuniętych na boczny tor ale nie represjonowanych, zyskało na popularności. W tej bynajmniej nie jednoznacznej sytuacji robienie kariery i akceptowanie nominacji mogło uchodzić za działanie w interesie kraju i demokratycznych przemian, nawet jeśli trzeba było iść na pewne kompromisy i werbalnie akceptować oficjalne dogmaty. Polska Jaruzelskiego znalazła się w ślepym zaułku, podczas gdy Chiny po tragedii w Pekinie przybliżyły się do dalszych ewolucyjnych przemian.

Ślad niedawnych wypadków pozostawał tam tylko w częściowej dyskredytacji osób, które publicznie poparły użycie siły i nowy kurs polityczny; im było to wyraźniejsze, tym osąd ich jest bardziej krytyczny i większe społeczne dystansowanie się od nich. W sposób wyraźny upadł także prestiż gazet centralnych, najbardziej partyjnego *Dziennika Ludowego*, który jest nadal niemal bojkotowany. Gwałtownie za to wzrosło słuchanie zachodnich radiostacji, aczkolwiek zainteresowanie nimi obecnie dość wyraźnie osłabło. W sumie nie doszło do całkowitej kompromitacji partii komunistycznej — aczkolwiek jej prestiż z pewnością ucierpiał — ale raczej do wytworzenia się podziałów w samej partii, trochę podobnie jak było to w Związku Sowieckim Gorbaczowa, tyle, że w Chinach potrzeba reform jest akceptowana w o wiele większym stopniu przez wszystkich przywódców, a aparat partyjny o bardzo zredukowanej już władzy bynajmniej nie hamuje przemian.

Partia utraciła także poprzednią niemal pełną kontrolę nad społeczeństwem, co widać w wielu dziedzinach. Nowym zjawiskiem jest, na przykład, rozpowszechnienie się bezdebitowych druków, prywatnie sporządzanych kaset wideo, piosenek „niezależnych" itp., aczkolwiek rzadko są one wyraźnie opozycyjne wobec reżimu. Są to raczej narodziny nowej kultury, poza sferą popieraną przez państwo, w różnym stopniu jednak tolerowanej.

Być może jeszcze ważniejsze jest powstanie tysięcy niezależnych organizacji: fundacji, stowarzyszeń, związków i nigdzie nie zarejestrowanych grup dyskusyjnych, które mogą nawet organizować spotkania z zaproszonymi prelegentami dla kilkudziesięciu czy kilkuset osób, z plakatami rozwieszonymi w okolicy, co było nie do pomyślenia w Polsce stanu wojennego czy w Czechosłowacji Husaka, a pokrewne jest raczej epoce Gorbaczowa, choć krytyka i rewizja przeszłości są o wiele ostrożniejsze niż w byłym Związku Sowieckim w ostatnich jego latach.

Największym takim nowym ruchem jest stowarzyszenie *taiji*, uprawiające tradycyjną chińską gimnastykę, porównywalną z indyjską jogą. Liczy ono około 30 milionów członków, choć ocena liczebności jest trudna. Ma ono luźną strukturę organizacyjną i opiera się na grupach lokalnych, które w miasteczkach



czy dzielnicach urządzają wieczorem zbiorowe uprawianie ćwiczeń *taiji*, do których może oczywiście dołączyć się każdy przechodzień. Tego typu aktywność, wyrosła z tradycji taoistycznej, ma w Chinach jednak specyficzną naturę. Sławne powstanie bokserów z początków naszego wieku także zaczynało się od podobnego ruchu. Zakazanie tego ruchu byłoby jednak trudne: ludzie nie robią nic złego, po prostu gimnastykują się, tyle że zbiorowo. Odżyły na nowo tradycyjne w Chinach tajne stowarzyszenia, które mają zwykle charakter półreligijny, ale służą również obronie interesów ich członków. Posługują się one niekiedy przymusem albo wręcz przemocą, nakładać mogą nieoficjalne podatki w rejonie swego działania, toczą między sobą walki o wpływy i dochody, aczkolwiek pełnią przede wszystkim funkcję integracji społecznej. O skali tych stowarzyszeń sądzić trudno, gdyż działają potajemnie, podobnie jak europejska masoneria, choć są ludowej, nie elitarnej proweniencji. Najistotniejsze jest, że wszystkie te zbiorowości powstały i że władze godzą się z ich istnieniem, ścigając tylko nieliczne z nich, jak na przykład niezależne związki zawodowe. W rezultacie więc partia straciła poprzedni monopol na organizowanie wszystkich form aktywności społecznej i obok prywatnego sektora pojawiła się następna sfera działalności niezależnej.

Odtwarzanie stowarzyszeń tajemnych, a także powrót do pradawnych praktyk „religii oficjalnych" wiążą się ze zmianą stosunku do tradycji. Ruch studencki z wiosny 1989 r., którego spektakularnym symbolem był posąg Bogini Wolności, wzorowanej na nowojorskim oryginale — symbolu Ameryki — był przejawem fascynacji Zachodem i prób okcydentalizacji Chin, jakich wiele podejmowano także w przeszłości. Teraz jednak nastroje zmieniły się. Trzy lata temu największy tłok w księgarniach panował przy półkach z przekładami literatury zachodniej i dziełami zachodnich myślicieli. Teraz jest przy nich pusto, tłum kłębi się natomiast przy wszelkich poradnikach biznesu i przy książkach dotyczących historii i kultury Chin. Dotyczy to nie tylko książek odkłamujących niedawną przeszłość, jak na przykład wspomnień doradcy Jiang Jieshi [Czang Kaj-szeka] ukazujących starcie komunistów z Kuomintangiem w zupełnie innym świetle, ale także dzieł myślicieli chińskich z różnych epok, niektórych nie wydawanych od lat trzydziestych, zawsze dostępnych dzieł klasycznych, a nawet dzieł Mao, których młode pokolenie nie otrzymywało w edukacji szkolnej.

Naiwne wyobrażenia, że da się szybko naprawić Chiny przez upodobnienie ich do Zachodu, nie znalazły wystarczającego poparcia społecznego. Nade wszystko ochłodził gorące głowy rozpad Związku Sowieckiego. Kryzys gospodarczy i chaos polityczny w eks-komunistycznych krajach Europy uprzytomniły

koszta obalenia komunizmu. Czegoś takiego nikt by nie chciał, zatem można się spotkać z wypowiedziami byłych zwolenników ruchu studenckiego, że w gruncie rzeczy dobrze się stało, iż władze uciekły się do represji: jeśli to była cena powstrzymania podobnego rozpadu Chin, to warto ją było zapłacić. Oczywiście spotyka się także inne poglądy, aż do całkowitego potępienia tych, co wydali zbrodnicze rozkazy. Na ogół jednak dominuje podejście pragmatyczne i uznanie, że obie strony niedawnego konfliktu społecznego popełniły poważne błędy. To zaś stwarza partyjnym reformatorom szerokie pole manewru i znaczny stopień akceptacji ich działań.

Najjaskrawszym przejawem nowej atmosfery jest szczególny kult Mao. Od około roku rozpowszechniła się w Chinach moda na wieszanie w samochodach obrazka Mao, który awansował do roli „świętego". Mao ze „świętego obrazka" występuje nie w roli przywódcy komunistycznego, ale wielkiej postaci historycznej, twórcy Nowych Chin. Często dodaje się, że za jego czasów był porządek, nie było obecnej korupcji i pogoni za konsumpcją, zapominając całkowicie o spowodowanych przezeń tragediach. Kryją się zatem za tym nowym kultem pewne nastroje krytyczne wobec obecnego stanu rzeczy i wobec konsumpcyjnego stylu życia, który nie wszystkim jest przecież dostępny.

Deng Xiaoping wzywa do wprowadzenia metod kapitalistycznych, ogłasza, że odchylenie lewicowe w partii jest dużo bardziej niebezpieczne od prawicowego. Akceptuje systematyczne rozszerzanie się sektora niekontrolowanego przez partię, stan w którym ponad połowa dochodu narodowego powstaje już w sektorze prywatnym i kapitalistyczno-podobnym przedsiębiorstw lokalnych a lud chiński wraca do kultu Mao, bardziej religijnego teraz niż politycznego. Mao z pewnością przewraca się w sarkofagu, widząc jak rozwija się szał konsumpcji, jak poważnie dyskutuje się nawet o masowej motoryzacji, a każdy Chińczyk właściwie swobodnie może wyjechać za granicę i przebywać tam ile chce. Rzeczywistość chińska jest z pewnością niejednoznaczna i kryje w sobie wielorakie możliwości dalszego rozwoju wydarzeń.

Dla każdego, kto zna trochę Chiny, jest dość oczywiste, że bardzo wiele pozornie ogólnych koncepcji nauk społecznych wypracowanych na Zachodzie w niewielkim tylko stopniu odnosi się do Chin. Teraz takim powszechnym w Europie przeświadczeniem jest, iż system komunistyczny skazany jest na wymarcie, że jest niereformowalny i że przejście do gospodarki rynkowej musi pociągać za sobą kryzys gospodarczy. W Chinach zaś widzimy, że system monopolistycznej władzy partii komunistycznej ma szanse przetrwania jeszcze przez długi czas, że może on koegzystować z gospodarką rynkową i umożliwić rozwój prywatnej przedsiębiorczości, a nade wszystko, że przechodzenie do gospodarki rynkowej przy utrzymaniu aktywnej roli państwa w gospodarce może dać rezultacie *boom*, a nie kryzys. W Europie armia była ostoją sił konserwatywnych w partii, w Chinach jest opoką reformatorów. W Europie siły społeczne zainteresowane w transformacji wolnorynkowej są na ogół słabe, nawet po obaleniu komunizmu, a w rezultacie reformy napotykają na opór społeczeństwa, co prowadzi do propagowania fanatycznego antykomunizmu mającego uzasadnić przemiany, podczas gdy w Chinach potężne siły społeczne prą do reform gospodarczych typu wolnorynkowego mimo zachowania władzy przez partię komunistyczną. Jak widać, należy zachować ostrożność z pochopnym uogólnianiem doświadczeń europejskich, gdyż świat jest dużo bardziej skomplikowany. Jak pokazują przykłady innych krajów, Japonii, Singapuru, Korei Południowej czy Taiwanu, który niewątpliwie służy teraz jako model rozwojowy, nawet demokracje wschodnio-azjatyckie są znacznie mniej demokratyczne od ich zachodnich siostrzyc, ale zapewniają szybki wzrost gospodarczy. Pewien wojskowy tak określił swą postawę: czy będziemy nazywać to, co się rodzi w Chinach socjalizmem czy kapitalizmem, jest to w gruncie rzeczy bez znaczenia, najważniejsze by ludzie żyli dostatnio. Trudno nie zadumać się nad tym, widząc jak wielkie trudności przeżywają eks-komunistyczne kraje Europy. W Chinach przywiązuje się tradycyjnie wielką wagę do nazw i pozorów, więc za cenę dobrobytu ludzie łatwo godzą się by partia nazywała socjalizmem wszystko to, co jaskrawo mu przeczy. Podobnie jak pozostawiono nazwę komun ludowych mało znaczącym biurom po rozdzieleniu ziemi chłopom i stworzeniu normalnej administracji państwowej. Nie odważyłbym się stwierdzić, rzecz jasna, że partia komunistyczna zachowa w Chinach swą okrojoną władzę przez dziesięciolecia, ale wykluczyć tego nie można. Na razie zmiany następują tam ewolucyjnie, a nawet nowe reformy gospodarcze zainicjowane w tym roku, jeśli rzeczywiście zostaną przeprowadzone i zaakceptowane przez XIV zjazd partii, zapowiadany na koniec 1992 roku zdynamizują rozwój gospodarczy i uwiarygodnią do pewnego stopnia społecznie jej władzę. Chiny wkraczają niewątpliwie w nowy okres fundamentalnych przemian, a czy uda się im nie zejść z ewolucyjnej drogi transformacji, pokaże czas. Z pewnością byłaby ona o wiele łatwiejsza niż rewolucyjna droga Wschodniej Europy.

*Krzysztof GAWLIKOWSKI*

# List z Londynu (25)

We wrześniu 1940 roku oficer kawalerii, Witold Pilecki, dał się pochwycić w warszawskiej łapance, by trafić do obozu w Oświęcimiu i stworzyć tam ruch podziemny. Przywieziono go za druty, stworzył „Związek Organizacji Wojskowej", oparł go o podziemne obozowe komórki polityczne, z napływem więźniów innych narodowości powstały ich podziemne grupy, dążono do utworzenia jednej, wspólnej organizacji. W dwa lata później przywieziono do obozu Józefa Cyrankiewicza, wybijającego się członka PPS. Był socjalistą, ale porozumiał się w obozie z małą grupką austriackich komunistów, znalazł kilku polskich i dnia 1 maja 1943 r. powstała podziemna *Kampfgruppe Auschwitz*. Pileckiego nie było już w obozie, kilkanaście dni wcześniej udała mu się ucieczka, dotarł do Warszawy i zameldował się u dowódcy Armii Krajowej.

Po Powstaniu Warszawskim Pilecki znalazł się w niemieckiej niewoli, po zakończeniu walk był w II Korupsie, wrócił do kraju, został przez bezpiekę pochwycony i w r. 1948 po pokazowym procesie zamordowany w więzieniu mokotowskim jako „płatny agent wywiadu Andersa". W tym samym czasie Cyrankiewicz był premierem w rządzonej przez Sowiety Polsce. Oczywiście jego okrzyczano twórcą oświęcimskiej podziemnej organizacji, jego wielki portret zawisł w obozowym muzeum.

W roku 1973 na londyńskim uniwersytecie obroniłem doktorską pracę o ruchu podziemnym w Oświęcimiu. Oparłem się na raporcie Pileckiego, napisanym we Włoszech, który znajduje się w Studium Polski Podziemnej w Londynie, na wielu publikacjach w różnych językach i na relacjach świadków, którzy obóz przeżyli. Objechałem całą zachodnią Europę, by ich odszukać. W odczuciu obozowego klimatu pomógł mi fakt, że sam przeszedłem przez tę fabrykę śmierci.

Praca ukazała się w formie książki w roku 1975, pod tytułem *Fighting Auschwitz* i miała 6 wydań angielskich, dwa amerykańskie (popularne w nakładzie 200.000 egz.), francuskie i polskie. Były też dwa wydania w kraju, w drugim obiegu, a teraz jest już na krajowym rynku normalne, jawne i pełne wydanie.

Wielki rozgłos książki sprawił, że nawet w komunistycznej Polsce musiano się z tym liczyć i portret Pileckiego ukazał się w oświęcimskim muzeum, ale daleko za Cyrankiewiczem. W październiku 1990 r. pojechałem do Polski po 47 latach, byłem oczywiście w Oświęcimiu, przyjęto mnie tam bardzo serdecznie, otwarto specjalnie muzeum, które jest teraz zamknięte, i przekonałem się, że nic się nie zmieniło. Cyrankiewicz i jego towarzysze nadal samotnie reprezentują obozowy ruch podziemny. Poruszyłem ten problem i nowy dyrektor muzeum, Jerzy Wróblewski, obiecał, że zajmie się tą ważną sprawą. Ja ze swej strony obiecałem zdobyć na ten cel konieczne pieniądze. Tak się złożyło, że akurat w tym czasie Wojskowy Sąd Najwyższy przeprowadził rehabilitację Witolda Pileckiego i jego sprawa stała się w kraju głośna.



Po roku pojechałem ponownie do Oświęcimia i przekonałem się, że muzeum nadal jest zamknięte i że nie dokonano w nim żadnych zmian. Wiem z korespondencji, że wcale się na to nie zanosi.

Kilka miesięcy temu wysłałem do dyr. Wróblewskiego list z informacją, że zdobyłem już pewne fundusze, będę w muzeum w niedługim czasie i spodziewam się podjęcia rozmów, a później prac związanych z nowym wystrojem muzealnych sal. W tym samym czasie wysłałem także list do amb. Władysława Bartoszewskiego, który stoi na czele Międzynarodowej Rady Oświęcimskiego Obozu, do której należą takie sprawy. Żadnej reakcji, cisza. Wiem, że w kwietniu odbyło się sympozjum żydowskich naukowców dotyczące wystroju oświęcimskiego muzeum z punktu widzenia dokonanego tam masowego mordu. Słusznie, ale muzeum musi reprezentować także prawdę o wspaniałym bohaterstwie.

●

W trzy miesiące po wyborczej klęsce Partia Pracy wybrała nowego przywódcę. Został nim Szkot, z zawodu adwokat, ale od lat polityk, John Smith. Jest umiarkowany, w sile wieku, choć cztery lata temu przeszedł ciężki zawał serca, potrafi przemawiać i argumentować, w „gabinecie cieni" był kanclerzem skarbu, na jego zastępcę wybrano kobietę, Margaret Beckett.

Smith, którego pensja jako lidera opozycji wynosi prawie £60.000, objął swą partię w dobrym stanie, bo jego poprzednik, Neil Kinnock, był dobrym przywódcą, choć dwukrotnie przegrał wybory i musiał ustąpić. On wydobył *Labour Party* z nonsensu sztywnej politycznej doktryny, doprowadził do odrzucenia niepopularnego hasła nuklearnego rozbrojenia, pozbył się krańcowych i prosowieckich demagogów, zaakceptował konserwatywne zwycięstwo nad panoszącymi się związkami zawodowymi, poniechał socjalistycznych dążeń do upaństwawiania przemysłu. Przegrał wybory, bo już samo słowo „socjalizm" odstrasza wielu ludzi, ale pozostawił partię unowocześnioną i zdolną do rządzenia. Czy Smith potrafi być równie konsekwentny i twardy?

●

Nasz kraj przeżywa wielkie trudności, polityka, ekonomia, nauka, kultura, wszystkie działy zbiorowego życia ledwo oddychają, ale jesteśmy wolni. Ponadto, po tylu latach nadziei, realna staje się nareszcie wizja wielu wybitnych Polaków, głoszących naszą przynależność do Zachodu. Z Rzymu przyjęliśmy chrześcijaństwo, dramat

rozbiorów pozbawił nas państwowości, w wyniku drugiej wojny światowej znaleźliśmy się w kleszczach wschodniej potęgi, ale zawsze czuliśmy się Europejczykami. I właśnie teraz idą lata, które mogą nam pozwolić na realizację marzeń naszych ojców i dziadów, na dołączenie do jednoczącej się zachodniej Europy.

Wydawałoby się, że ta oczywista prawda jest powszechnie rozumiana, a jednak nie. W polemice z moim artykułem na ten temat, w londyńskim *Tygodniu Polskim* ukazał się list z zupełnie odmienną tezą. Autor uważa, że moje spojrzenie na Wspólny Europejski Rynek jest nieprzemyślane, wejście doń pozbawi nas suwerenności, staniemy się słabym państwem kierowanym przez obcych. „Polska przestanie być Polską", a przecież może sama stać się silnym państwem, „Polska jest skazana na wielkość". Po tym liście ukazał się drugi, dłuższy i jeszcze bardziej krańcowy, uzasadniający naszą mocarstwowość już panowaniem Mieszka I.

Ileż w takich poglądach sympatycznych, oczywiście popularnych, marzeń i jaki zupełny brak realizmu.

●

Masowe środki przekazu, głównie telewizja, doprowadziły do tego, że nie ma już żadnych tajemnic, wszystko musi być rozgrzebane, rozpaskudzone i pokazane. Do niedawna dotyczyło to życia gwiazd filmowych i rodzin panujących (z wyjątkiem tutejszej królowej), teraz dobrano się do spraw państwowych...„Ludzie płacą podatki, żołnierze giną na wojnie, obywatele muszą wszystko wiedzieć" — taką argumentacją przełamywano bariery tajemnic państwowych chronionych od tysięcy lat.

W mowie tronowej, którą odczytała królowa, ale którą napisał premier, nie wysunięto tego problemu na czoło, ale w swoim pierwszym wystąpieniu w nowym Parlamencie John Major podał do publicznej wiadomości, że szefem wywiadu (M16) jest Sir Colin McColl, a jego biura znajdują się w 20-piętrowym budynku w londyńskiej dzielnicy Lambeth. Pracuje tam 2.000 ludzi, przychodzą tam tajni agenci pracujący dla wywiadu w różnych częściach świata, teraz bez trudu można ich obserwować, nawet fotografować.

W czasie wojny byłem Szefem Wydziału Bezpieczeństwa Komendy Głównej AK, przeszedłem śledztwo Gestapo i wiem, że każda niedyskrecja, każdy błąd to ułatwienie wrogom ich pracy. I czym się mniej wie, tyle tylko ile trzeba, tym lepiej. Wiele lat temu amerykański agent, który wiedział za dużo, przeszedł na sowiecką stronę i wydał szereg swoich kolegów, między innymi głośnego polskiego szermierza i mistrza olimpijskiego, Jerzego Pawłowskiego (już jest na wolności).

Tuż po ujawnieniu siedziby i kierownictwa M16 rząd podał do wiadomości, że walkę z irlandzkimi terrorystami przejmuje od policji M15 (kontrwywiad). Nie jest to konsekwentne, bo Brytyjczycy irlandzkich zamachowców uważają za kryminalistów i tak ich traktują, mimo że tamci uważają się za podziemnych żołnierzy, walczących o prawa swego kraju, i po pochwyceniu domagają się praw więźniów politycznych. Nie wchodząc tu w ten trudny problem trzeba stwierdzić, że sam fakt przeniesienia spraw irlandzkiego terroru z rąk policji do kontrwywiadu, już jest pośrednim uznaniem tych praw, bo M15 zwalcza wyłącznie politycznych i wojskowych wrogów swego państwa.



Warto tu dodać, że na czele M15 po raz pierwszy w historii stoi kobieta, Stella Rimington. Gdyby utrzymała się Margeret Thatcher cały kraj byłby kierowany przez kobiety. Królowa, premier, speaker Izby Gmin (Betty Boothroyd) i szef M15, bezpieczeństwa kraju.

●

W pogoni za zmianami i unowocześnieniem wychowania młodego pokolenia, Ministerstwo Oświaty postanowiło, że w brytyjskich szkołach, w programie nauki języka angielskiego i angielskiej literatury, znajdą się popularne telewizyjne seriale. Idą one tutaj od lat, ich tytuły: *Allo, Allo, Neighbours* (Sąsiedzi), *Monty Python, Coronation Street*.

Pierwszy to kpiny z niemieckich okupantów Francji, drugi to australijska rodzinna miniaturowa saga o bardzo codziennych sprawach, trzeci to wynaturzone nonsensy o koniach o pięciu nogach, ludziach biegających tyłem itd., czwarty to ulica na londyńskim wschodnim przedmieściu i tamtejsze codzienne, banalne sprawy. Mają one znaleźć się obok angielskich klasyków, obok Shakespeare'a, Dickensa, Tennysona, Jane Austin i innych.

Oczywiście pomysł ten wywołał protesty nie tylko dlatego, że filmy te są czysto rozrywkowe i nie mają żadnej ani literackiej ani historycznej czy innej wartości. Mogłyby być wykorzystane, gdyby dzieci miały się na nich uczyć różnorodnych rodzajów filmowej sztuki, w zestawieniu z wielką literaturą są po prostu śmieszne.

Obrońcy pomysłu twierdzą, że wprowadzenie tych filmów ułatwi młodzieży zrozumienie trudnych tekstów wybitnych pisarzy. Serial o „Sąsiadach" ma ułatwić rozumienie tekstów Eliota i symbolistów, *Allo, Allo* ma przybliżyć sens doskonałego, ale kontrowersyjnego filmu, *Tumbledown*, o wojnie o Falklandy, oraz autorów piszących o wojennych zmaganiach. Wymieniono Shakespeare'a i Tennysona. Kilka razy próbowałem patrzeć na tę farsę. Niemców okupujących Francję przedstawia się jako kompletnych idiotów, Francuzów, jako wodzących Gestapo za nos, wesołych kpiarzy. W jaki sposób ma to ułatwić dzieciom zrozumienie grozy wojny i poważnych, piszących o niej autorów?

Inna była motywacja, ale trochę to podobne do lektur szkolnych w Polsce, w minionym na szczęście okresie, gdy uczniowie, obok klasyków, musieli czytać partyzanckie wspomnienia Mieczysława Moczara, *Barwy walki*. Czy jednak na pewno usunięto już ze

szkół tego rodzaju lekturę? Doświadczenie z Dybciakiem i fakt, że jego *Panorama literatury na Obczyźnie* znalazła się w szkołach bez konsultacji Związku Pisarzy, który od prawie pół wieku istnieje i działa w Londynie, nie wzbudza optymizmu.

●

Koło Byłych Żołnierzy Armii Krajowej należy do najstarszych polskich organizacji kombatanckich powstałych poza krajem po drugiej wojnie światowej. Byłem sekretarzem Komitetu Organizacyjnego, który sformował się w grudniu 1945 roku. Emigracja rozprzestrzeniła się na kilka kontynentów, jedynie Stowarzyszenie Polskich Kombatantów posiada szerszą siatkę terenową, ale otrzymało ono ponad milion funtów powojskowych pieniędzy, a Koła nikt nie finansował. Mimo ubytków naturalnych jeszcze dziś posiada 36 oddziałów, od Nowej Zelandii do Kanady. Zapoczątkowany przeze mnie *Biuletyn Informacyjny*, nawiązujący do głośnego pisma Armii Krajowej, miał swoje odpowiedniki w wielu krajach i zebrał wielki materiał historyczny. Fundusz Inwalidów rozprowadził ponad 150.000 funtów. Koło z natury rzeczy było najbliższe walkom i przemianom w kraju. Na czele jego rady stał gen. Bór-Komorowski, b. dowódca AK i Naczelny Wódz.

Ta mocna i niezależna pozycja Koła musiała drażnić jakichś ludzi i po śmierci gen. Bora różne manewry doprowadziły do osłabienia roli AKowskiej organizacji. Doszło do tego, że gdy w Warszawie przekazywano insygnia prezydenckie, dla reprezentanta Koła AK zabrakło miejsca. A przecież przez ponad czterdzieści lat utrzymywało ono tradycję 300-tysięcznej Armii Krajowej, największej po wrześniu polskiej formacji bojowej.

Gdy manewr ten powtórzono przy wizycie w Londynie Ministra do spraw kombatanckich, zajęła się tym Rada Naczelna Koła i w swej uchwale przypomniała o ignorowaniu jego istnienia z jednoczesnym poleceniem, by uchwała została opublikowana w polskiej londyńskiej prasie.

Minęło szereg miesięcy, cisza, uchwały nie opublikowano. Przeciwne Kołu siły muszą być znaczne, skoro uchwały nie potrafił opublikować głosujący za nią nowy prezes Rady, który kieruje Polską Fundacją Kulturalną i jej dwoma pismami, *Dziennikiem* i *Tygodniem Polskim*.

*Józef GARLIŃSKI*

# *Kraj*

## Trudny rok 1992

1. Dlaczego powstał rząd Hanny Suchockiej, rządu zaś Waldemara Pawlaka sformować się nie udało — nigdy nie zostało publicznie wyjaśnione. Pytanie to uważam za istotne dla dalszego ciągu wydarzeń politycznych w Polsce, postaram się więc najpierw zastąpić milczących ojców chrzestnych nowego gabinetu. Były trzy racje, dla których mała koalicja (UD-KLD-PPG) wolała kontrakt z ZChN i jego sojusznikami niż z PSL. Wymienię je, od najmniej ważnej.

Najmniej ważna (choć coś dokładnie odwrotnego sugerowano komentatorom) była obawa przed nadmiernym wpływem Wałęsy na Pawlaka. Owszem, Pawlaka „wymyślił" Belweder, a Suchocką Jan Rokita z kierownictwa Unii Demokratycznej, ale w gruncie rzeczy nie widać żadnych powodów, dla których przywódca największej partii chłopskiej miałby być uleglejszy wobec prezydenta niż świeżo awansowana posłanka z dalszych rzędów UD. Udział prezydentury w sprawowaniu władzy niewątpliwie wzrósł, ale to już było przesądzone przed ostatecznym doborem premiera. W obu gabinetach, i tym niedoszłym, i tym zrealizowanym, obsada resortów „prezydenckich" — MON, MSW, MSZ — była taka sama, tekst zaś małej konstytucji, przyjętej w Sejmie głosami zarówno nowej koalicji rządowej jak i PSL, okazał się niezależny od perypetii gabinetowych.

O drugiej z zapowiedzianych racji stanowiła różnica w charakterze ceny, którą za kompromis musiała zapłacić mała koalicja. ZChN, mianowicie, zgodził się odstąpić w bazie, aby zyskać w nadbudowie; PSL na taki kontrakt pójść nie mogło, ponieważ jest to stronnictwo całkiem przyziemne, na nadbudowie w ogóle mu nie zależy. Henryk Goryszewski jako wicepremier z ZChN jest wprawdzie najszczęśliwszym człowiekiem w państwie — wprost przyjemność patrzeć, jak promienieje od dnia nominacji — ale jego rola w prowadzeniu spraw gospodarczych jest czys-

to figuratywna. Gospodarką rządzi wyłącznie ekipa z małej koalicji, ZChN ma natomiast rząd dusz. Nie muszę wyjaśniać, że jest to układ, którego wstydzą się trochę obie strony i stąd tyle przemilczeń i wykrętów: jeszcze jednym świadectwem niedojrzałości polskiej demokracji jest nieumiejętność rzetelnej publicznej obrony trudnych kompromisów, brak swoistej odwagi cywilnej. Bowiem kierownictwa polityczne zarówno UD jak ZChN miały sporo dobrych powodów, by taki właśnie kontrakt zawrzeć, ale nie starcza im odwagi i rozmachu, by za nim publicznie stanąć i agitować. Niezadługo przyjdzie im za to płacić pęknięciami i wyłomami we własnych szeregach.

Wreszcie o racji trzeciej, najistotniejszej. Dotyczy ona istoty polityki, stabilności państwa.

Aktualna koalicja rządowa powstała jako kontrakt pomiędzy „siłami solidarnościowymi"; rzecznicy tego rozwiązania, jak Aleksander Hall, tym głównie tłumaczyli jego wyższość nad wariantem z PSL. Bogdan Borusewicz i zwłaszcza Jan Rulewski z klubu parlamentarnego NSZZ „S", oficjalnie fetowany jako „mediator", uwierzytelniali symbolicznie tę interpretację; symbolicznie, gdyż w istocie związkowa mediacja była tylko sympatycznym ozdobnikiem jak pradziadziuś na weselu; kontrakt ślubny z intercyzą i tak kto inny wynegocjował i spisał. Otóż w trzy lata po czerwcu 1989 epoka Solidarności i Okrągłego Stołu jest już skończona. Podkreślam to łączne nazwanie również dlatego, że o strategii okrągłego stołu byłem od początku krytycznego zdania; nie można jednak negować, że stanowiła ona konsekwentne rozwinięcie i zwieńczenie założeń i dziesięcioletniej praktyki Solidarności. Nie warto już chyba się zastanawiać, czy ta epoka nie skończyła się zbyt prędko. Proces historyczny, który był jej treścią, dokonał się bowiem tylko w swej negatywnej fazie: realny socjalizm został obalony, ale na gruzach i pustym polu stoją dopiero rusztowania dla nowej konstrukcji, a i to niektóre się sypią. Więc może gdyby nie nieszczęsna wojna na górze, gdyby nie łapczywość ćwierć-, pół- i całych kombatantów, gdyby nie arogancja władzy... Nie warto... Bo może jest i tak, że ten sam ruch i w tym samym porywie nie potrafi zarazem niszczyć i tworzyć. Co jednak nie zmienia wcale faktu, że po skończonej epoce Solidarności pozostała pustka i że próżnia ta w sposób oczywisty zagroziła w 1992 roku stabilności sceny politycznej i jej podstawy, stabilności państwa.

Jest bardzo trudno „wymyślić epokę", to znaczy zastąpić skończoną grę polityczną — nową, z inną planszą, innymi figurami, innymi regułami i inną stawką. Wystarczy popatrzeć, jak rachityczne są nasze partie polityczne i jak nikłe jest, badane w sondażach, poparcie dla nich ze strony wyborców. Aż tak nikłe, że konstytucjonaliści poważnie zastanawiają się nad możliwymi konsekwencjami pięcioprocentowego progu wyborczego, którego nie zdołają pokonać więcej niż 3–4 partie, a wtedy większość głosujących nie uzyskałaby żadnej reprezentacji.



Kiedy rozumowi trudno, budzą się demony. Przemawiając w Poznaniu, w miesiąc po swej inwestyturze, premier Suchocka wystąpiła z tezą, że na polskiej scenie coraz wyraźniej zaznacza się „podział na ludzi, którzy poczuwają się do odpowiedzialności i chcą budować silne państwo, oraz na tych, którzy chcą je anarchizować i wprowadzać destrukcję". Hanna Suchocka nie jest, oczywiście, pierwszym politykiem, który, atakowany z różnych stron, odwołuje się do takiego właśnie przeciwstawienia jako zasady porządkującej. Istotnie, „wymyślający" nową posolidarnościową epokę i nową grę Olszewski i Macierewicz, Romaszewski i Kaczyński, Parys i Szeremietiew, Lepper, Jurczyk, Moric i zrozpaczony aktyw związkowy wielkich przedsiębiorstw państwowych — wszyscy oni, każdy po swojemu, anarchizują i wprowadzają destrukcję, choć szkoda, że pani premier nie zdecydowała się wskazać palcem nikogo poza organizatorami „strajków politycznych". Ale prawdą jest również, że nawoływanie do świętej zgody i próba wykorzystania martwego już mitu epoki właśnie skończonej niewiele w tej polemice rządowi pomagają.

„Solidarnościowość" jako legitymacja do rządzenia była trzecią, zasadniczą racją powstania rządu Hanny Suchockiej. Jest to legitymacja iluzoryczna, co pokazały następne tygodnie.

2. Pęknięcie strajkowe. Najpierw rząd próbował udawać, że nie jest stroną w sporach, mimo że o nierozwiązywalność konfliktu w bezpośrednich rokowaniach załóg z dyrekcjami decydowała wprost polityka gospodarcza centrum (presja fiskalna, tryb prywatyzacji etc.).

Liberalnie nastawieni komentatorzy, od *Polityki* do *Gazety Wyborczej*, basowali rządowi i niedwuznacznie doradzali pani Suchockiej, żeby się przymierzyła do roli polskiej Thatcher. W tej atmosferze nietrudno było Andrzejowi Machalskiemu, prezesowi rady nadzorczej miedziowego kombinatu (jedna z najdziwniejszych karier z nominacji Ministerstwa Przekształceń Własnościowych za poprzedniej kadencji liberałów), wpaść na pomysł odwetowego *lockout*'u w Lubinie. Pomysł wprawdzie niewykonalny i nielegalny, ale aż nadto prowokacyjny... Wypada przyznać rządowi, że się jednak szybko zreflektował. Prowadzenie przejął minister pracy, Jacek Kuroń, a zarząd kombinatu otrzymał od ministra Lewandowskiego... przymusowy urlop. Posypały się propozycje i obietnice paktów przemysłowych i socjalnych, zwiększenia udziału załóg w radach nadzorczych (do 30%) i w kapitale prywatyzowanych przedsiębiorstw... Kuroń nie ukrywa, że takie bardziej długofalowe korzyści są wszystkim, co rząd

może teraz zaoferować załogom. I rzeczywiście, postulaty płacowe zgłaszane w niektórych zrewoltowanych zakładach (jak np. FSM Tychy) są najzupełniej nierealne. Niepodobne jednak nie przypomnieć, że kto sieje wiatr, zbiera burzę. W szczególności polityka prywatyzacji, niezrozumiała i nieakceptowana przez pracowników, oraz ślamazarność oficjalnych związków, NSZZ Solidarność, lecz również OPZZ, stworzyły w zakładach otwarte pole dla każdej demagogii. Piszę niniejsze 10 sierpnia; właśnie rozpoczyna się decydujący tydzień. Jest szansa, że załogi uwierzą Kuroniowi i dadzą rządowi Suchockiej owe 2-3 miesiące, o które zabiega, by przedstawić, przenegocjować ze związkami zawodowymi i przeprowadzić przez parlament pakiet najpilniejszych ustaleń. Ale jest też więcej niż prawdopodobne, że po letniej fali strajkowej 1992 obraz polityczny i organizacyjny polskiej wielkoprzemysłowej klasy robotniczej (prawda, jak to prowokacyjnie brzmi?) nie będzie już taki sam: tam także skończyła się epoka solidarności i okrągłego stołu. Zabawna zemsta dialektyki: wraz z tą epoką odchodzą też ze swych wyróżnionych pozycji obaj „wrodzy bracia", NSZZ „S" i OPZZ, stają się związkiem jak inne. Ale niepodobna przewidzieć, czemu ustąpią miejsca: anarchii, martwocie czy może jednak kolejnej próbie samoorganizacji?

Na spotkaniu 5 sierpnia Rady OPZZ z przedstawicielami zakładowych organizacji związkowych Jacek Kuroń skonstatował: — „Niestety, przez trzy lata prowadzono politykę nad ludźmi, poza ludźmi. Tak się nie da (...) pakt jest programem uczestnictwa w przemianach. Związki powinny czuć się jak współwłaściciel" — mówił minister. Przestrzegał, że w przeciwnym razie grozi nam XIX-wieczny kapitalizm". Cytuję za *Trybuną* z 6 sierpnia. Jako jedyna gazeta warszawska zamieściła te uwagi ministra w swym sprawozdaniu. Gdzie indziej eksponowano wyłącznie spór ministra ze związkowcami, że chcą tylko wyrwać płace i że rząd jest po to, aby rządzić, a nie po to, aby jeździć po kraju. W *Gazecie Wyborczej*, w której dziale ekonomicznym pani Thatcher jest przedmiotem adoracji nieustającej, z wystąpienia Kuronia nie zostało nic poza pyskówką.

Takie to bywały w Warszawie spory w one lato. Na jesień zaś miało być po katastrofalnej suszy nieuchronnie trudniej. Spadek produkcji rolnej o bez mała jedną czwartą nie może nie pogłębić deficytu budżetowego. Stąd zapowiedź przyspieszonego wzrostu czynszów oraz innych opłat jeszcze dotowanych i ograniczenia świadczeń socjalnych do postaci „pakietów minimum", co już i tak było w programie. Pytanie, czy rząd to wytrzyma, powróci nieuniknienie. Bo naród wytrzyma na pewno, cóż ma robić.



3. Opozycja rządu Hanny Suchockiej nie obali. PSL może go nawet wesprzeć, SLD zechce być raczej opozycją lojalną, KPN walczy teraz z konkurencją „olszewików". PC jest głęboko zdemoralizowane, przywództwo Jarosława Kaczyńskiego zostało zakwestionowane, a Lech Kaczyński w NIK-u próbuje wprawdzie wznowić kampanię antyaferową, ale będzie musiał uważać na każdy krok. Wiarygodność Porozumienia Centrum jako pogromcy aferzystów jest na żałosnym poziomie, a całkiem „odlotowe" teksty w rodzaju oświadczenia Anatola Lawiny z departamentu analiz systemowych NIK-u, jakoby niewymienione siły proponowały miliard (?) dolarów za zwolnienie z aresztu głównego podejrzanego w aferze FOZZ, ośmieszają samą instytucję kontroli. We wrześniu dojść ma do swoistej próby sił wokół raportu NIK o Ministerstwie Przekształceń Własnościowych: na ringu stanie głównie PC przeciw liberałom. To, oczywiście, smutne, pisać w takiej tonacji o tak potrzebnej jak NIK instytucji, zwłaszcza że korupcja istotnie nas zalewa, ale po trzech latach nieustannej wojny polityków o prezesurę NIK trudno, by ktokolwiek wierzył, *prima facie*, w obiektywność jego wystąpień.

Jedyną dynamiczną obecnie formacją opozycyjną, która nie ukrywa bezpardonowej wrogości wobec rządu i która gotowa jest uczynić bardzo wiele, by go „przysposobić do upadku", jest Ruch dla Rzeczypospolitej Jana Olszewskiego i grawitujący wokół niego politycy — Jan Parys, Zbigniew Romaszewski, Romuald Szeremietiew, Antoni Macierewicz, Przemysław Hniedziewicz wraz z odpryskowymi grupkami chadeków (tych nigdy nie potrafię się doliczyć). Nawet jednak RdR nie jest jeszcze gotów do frontalnego ataku. Przede wszystkim, kierownicza grupa rozszerzonego RdR nie ukształtowała się jeszcze na dobre, ambicje osobiste tych ludzi są bezmierne, nieraz mają wymiar skazy charakteru: nie wróżyłbym tej formacji przyszłości. Po drugie zaś RdR zamierza się dopiero rozrosnąć tak, aby wchłonąć lub przynajmniej wciągnąć na satelicką orbitę i ZChN, i KPN, i nawet PC, co, oczywiście, wymagałoby uprzednio odpowiedniego „przycięcia" kierownictw tych ugrupowań. Tacy ludzie jak Chrzanowski, Moczulski czy Kaczyńscy musieliby zniknąć.

10 sierpnia RdR i jego koalianci wystąpili z „deklaracją współdziałania", w której stwierdziwszy na wstępie, że „wśród milionów Polaków, którzy tworzyli ruch Solidarności, lub z nim sympatyzowali, panują nastroje zniechęcenia, frustracji i apatii, przerywanej wybuchami protestu" — sygnatariusze winią za taki stan rzeczy „nieprzezwyciężony do dziś postkomunistyczny układ, który przetrwał w prawie wszystkich istotnych dla funkcjonowania państwa i społeczeństwa miejscach: gospodarce,

finansach, administracji, środkach przekazu, wymiarze sprawiedliwości, wojsku i resorcie spraw wewnętrznych (...) Każda próba rozwiązania tych problemów napotyka na zdecydowany opór sił postkomunistycznych i chroniących je grup wywodzących się z dawnej opozycji". Niczego więcej dziennikarze się nie dowiedzieli, ale odesłano ich na październik. „Zespół koordynacyjny" będzie tymczasem pracował nad projektem nowej konstytucji. „Niekoniunkturalnej". Jest skądinąd zdumiewające, że formacja o takich ambicjach politycznych — Wałęsę też przecież należałoby wysadzić z prezydentury — ma tak mało do zaoferowania wyborcom. Stronnictwo Jana Olszewskiego, z tego punktu widzenia, przypomina pannę na wydaniu: bez posagu, dwie prawe nogi — i afiszowana czystość dziewicza jako jedyny walor.

Eksponowaniu owej czystości służą naturalnie wszystkie deklarowane już za premierostwa Olszewskiego zamiary czystek i lustracji. Wpadka Macierewicza w niczym nie osłabiła tej tendencji. Przeciwnie, inicjatywa senacka („*lex* Romaszewski") znakomicie rozszerza zakres pierwotnej uchwały sejmowej, co pozwala również lepiej rozpoznać polityczny sens operacji. O nim też kilka słów; pozostawiam więc całkiem na uboczu stronę techniczną senackiego projektu, jego wykonalność i skuteczność.

Założeniem wyjściowym jest manichejskie widzenie minionego półwiecza: komunizm i PRL jako jego polska realizacja był to tylko system, jeden i niezmienny, nie zaś dzianie się historyczne. Oto charakterystyczne dla tego założenia ujęcie, którego żaden z rzeczników ustawy nawet nie dyskutował: dyskwalifikacja kadrowa wskutek sprawowania określonych funkcji w systemie komunistycznym czyli wskutek tzw. przeszkody następuje niezależnie od daty i czasu trwania tejże. Czy ktoś był np. sekretarzem przez tydzień czy przez dwadzieścia lat, czy w r. 1945, 1956, 1968, 1982 — to wszystko jedno. Nieważne również, czy z komunizmem zerwał i czy z nim potem walczył (nie ośmieliłbym się nawet pytać sen. Romaszewskiego, czy motywacje i warunki, w jakich ktoś komunistą zostawał, nie mają znaczenia w ocenie kadrowej...). Jest skalany. Przedawnienie, czas pokuty biegnie również dla wszystkich tak samo: przez dziesięć lat od wejścia ustawy w życie, obojętnie czy od ustania przeszkody upłynęło lat dwa czy czterdzieści.

Można różnie interpretować psychologicznie tę zaciekłość projektodawców, ale w skutkach politycznych nie chodzi tu ani o prawo ani nawet o sprawiedliwość, lecz o odepchnięcie i dyskryminację, o kreowanie pokaźnej warstwy „liszeńców". I warto zwrócić uwagę, że autentycznych stalinowców dotyczy to w najmniejszej mierze: w znakomitej większości nie żyją lub są w wieku, w którym nie szuka się już żadnych posad.



Dlaczego zatem obrano taktykę tak politycznie kosztowną? Suponuję, że doszły w tym do głosu stary konflikt i stara obsesja, które dają o sobie znać przez całe bez mała powojenne czterdziestolecie: obsesja rywalizacji z lewicową czyli nie całkiem patriotyczną, niecałkiem polską i, ostatecznie, niecałkiem prawdziwą opozycją — rewizjonistyczną, marcową, lewicowo-laicką, korowską... Ta bowiem, zdaniem rywali, wywodzi się wprost z rozczarowanych ale nieuleczalnych w istocie komunistów i rzeczywiście przez wiele lat starała się socjalizm uleczyć, a i potem wierzyła jeszcze, że można z niego coś uratować i że zatem nie jest on całkiem dzieckiem diabła. Była to więc wprawdzie obsesja, ale wiązał się z nią problem całkiem autentyczny, głęboko uwikłany w historię, polską i europejską. Być może, problem nierozwiązalny, obcość nieusuwalna.

Politycznie, prawdziwym celem, w który mają uderzyć projekty lustracyjno-dekomunizacyjne, nie są eks-komuchy, ale ich domniemani obrońcy i potomkowie z „lewicy", przede wszystkim z Unii Demokratycznej, owi „Michniki, Kuronie, Geremki i Mazowieccy, szabes goje gorsze od Żydów" (cytat z autentycznego „listu czytelnika"). Innymi słowy, konkurenci do władzy, którzy nie mogą się teraz nie „zdemaskować".

Wszystkie projekty lustracyjne — jest ich w tej chwili pięć, wraz z senackim — będą debatowane na jesiennych posiedzeniach Sejmu obok takich tekstów jak ustawa antyaborcyjna. Są to wszystko, jak słychać, tematy, co do których rząd się nie wypowiada, pozostawiając parlamentowi „walkę polityczną i spory ideologiczne". Jeszcze jedna formułka unikowa, nielepsza niż cytowana uprzednio, że rząd nie jest stroną sporów o płace. W każdej z takich debat oba człony koalicji rządowej będą sięgać po pomoc do opozycji, lewej i prawej, i w ten sposób powstanie układ samopotwierdzających się oskarżeń wzajemnych: Unia Demokratyczna głosująca z PSL i SLD ukaże „dowodnie" swą komuchowatą i niechrześcijańską duszę, ZChN zaś pod przewodem „olszewików" z RdR pomaszeruje prosto do zaścianka, w przeszłość, przeciw Europie.

Symetria, oczywiście, nie jest całkowita, gdyż Unia Demokratyczna i jej mała koalicja jest z definicji bardziej chwiejna i niepewna swego. Już w debacie antyaborcyjnej w Sejmie, kiedy tekst przygotowany przez unijną większość a konkurencyjny wobec ZChNowskiego nie został nawet przekazany do komisji, wynik głosowania świadczył o dezercji bardzo wielu deputowanych z małej koalicji. W senacie przy głosowaniu nad ustawą lustracyjną (41:38) na wagary udała się pod przewodem Edwarda Wende kilkuosobowa grupa senatorów, którzy uprzednio zobowiązali się wobec swych kolegów do głosowania przeciw.

Mała koalicja płaci więc w takich debatach i głosowaniach cenę

za brak dyscypliny politycznej. Lecz i za coś więcej. Przedtem napisałem, że kierownictwa polityczne zarówno UD jak ZChN miały sporo dobrych powodów, by zawrzeć swój kontrakt rządowy. Teraz jednak wypada dopowiedzieć, że jest to kontrakt nie dość precyzyjny. Nie wiadomo, co właściwie obejmuje ów rząd dusz pozostawiony ZChN: czy tylko teki ministerialne ze sfery nadbudowy czy również ów brak dyscypliny politycznej, który opozycji z prawa otwiera drogę do skutecznej dywersji aż w głąb obozu rządowego. RdR, który nie może liczyć na więcej niż dwudziestu kilku deputowanych, liczy właśnie na te możliwości, by rząd przysposobić do upadku.

Wątpię czy pani premier będzie mogła długo udawać, że jej to nie dotyczy. Pani Thatcher, w każdym razie, już by rozpuściła buzię...

Warszawa, 10 sierpnia 1992

*Krzysztof WOLICKI*

# Panowie w stolicy gadają...

Panowie w stolicy gadają, a w Tuszynie życie biegnie swoim torem. Dla niewtajemniczonych: Tuszyn jest małą miejscowością, administracyjnie należącą do województwa piotrkowskiego, ale dziś, jak w dziewiętnastym wieku, żyjącą w ścisłej symbiozie z Łodzią. To tutaj ciągnęli i ciągną nadal zamożni łodzianie, by w miarę swoich możliwości budować okazałe wille czy letniskowe chałupki. Wszystkie wtopione we wspaniałe lasy, z dostępem do czystej źródlanej wody, korzystają ze spokoju, którego tak brakuje w obdrapanej, hałaśliwej i zakurzonej Łodzi. Prawdę powiedziawszy dymów w niej coraz mniej, w miarę jak przybywa bezrobotnych. Każdego dnia kłębią się przed Urzędami Zatrudnienia, każdego dnia coraz bardziej zdenerwowani i przerażeni brakiem pracy i jakiejkolwiek perspektywy.

Letniskowo-kuracyjny charakter Tuszyna, z nielicznymi pozostałościami budownictwa z początku wieku, którego urocze werandki idą w parze ze sraczykami i studniami na podwórzach, powoli ulegał zmianie. O zamożności Tuszyna, a ponoć należy do bogatszych gmin w Polsce, dawno już przestali decydować łódzcy działkowicze; stanowią o niej miejscowi rzemieślnicy. Od lat siedemdziesiątych, początkowo nieśmiało, prawie w ukryciu, a



potem coraz odważniej, zaczęły powstawać warsztaty krawieckie i dziewiarskie. Prawdziwy *boom* przypadł na lata 89-92. Co krok na okazałych kamieniczkach i eleganckich willach można zobaczyć szyldy: kurtki — spodnie; odzież niemowlęca; bluzki i suknie; kurtki i *jeans*; suknie ślubne itd., itd. Na ogół wszystko przeznaczone na sprzedaż hurtową. Obok podstawowej gałęzi produkcyjnej rozwinęła się w Tuszynie cała sieć zakładów usługowych: budowlane, szklarskie, ślusarskie, zobaczyłam nawet tchnącą świeżością zmechanizowaną piekarnię, dostarczającą na łódzki rynek elegancko opakowane, już pokrojone pieczywo. Wiele nowych sklepów, na ogół nieźle zaopatrzonych. Można żyć w Tuszynie. Nic więc dziwnego, że w ostatnich pięciu latach zbudowano wiele nowych domów. Obok biednych, nieskanalizowanych domków stanęły wytworne wille, otoczone solidnymi parkami, z ładnie utrzymanymi ogrodami, każda z garażem i oczywiście z „talerzem" do odbioru telewizji satelitarnej. Po Tuszynie jeżdżą różne samochody (przez dwa tygodnie pobytu raz jeden widziałam chłopski wóz zaprzągnięty w dwa siwki) ale wiele okazałych i drogich. Ciągle jeszcze i zapewne na długo marka samochodu będzie wykładnią majątkowego i społecznego awansu.

W Tuszynie pracuje się ciężko. Od świtu do późnego wieczora. Pracuje się oficjalnie i nieoficjalnie. Nierzadko bezrobotni zarejestrowani w Łodzi szyją w domu, dla tuszyńskiej rodziny czy znajomych. Nawet nieźle zarabiają ale zajęcie niepewne, bo w każdej chwili robota może się urwać. Co prawda na szwaczki jest ciągle duże zapotrzebowanie. Jedyne oferty pracy wśród długiej listy poszukujących pracy.

Tuszyńscy producenci daleko ze swym towarem nie jeżdżą. Tuż przy szosie, na leśnej polance, wpierw samorzutnie, a od niedawna pod kontrolą gminy, utworzyło się największe targowisko hurtowe w Polsce. Z całego kraju, głównie ze Śląska, zjeżdżają właściciele sklepów i drobni hurtownicy, by zaopatrzyć się w towar tuszyńskich producentów. Różnie on wygląda. Od całkowicie przyzwoitych rzeczy, porządnie wykonanych, wręcz eleganckich, do tandety. Gdzieniegdzie stoiska z odzieżą zagraniczną, często rodem z egzotycznych krajów, która w tym bazarze-hurtowni nierzadko wygląda znacznie gorzej od polskich towarów, ale za to błyszczy i jest ciut tańsza. Ceny o połowę niższe niż w sklepach, ale też niechętnie sprzedaje się detalicznie. Od poniedziałku do soboty ciągnie sznur samochodów. Kupcy przyjeżdżają, przebierają, wybierają, zjadają gorącą kaszankę domowego wyrobu lub pachnący bigos w baro-busie i z wypełnionymi samochodami ruszają z powrotem do siebie. I tak dzień po dniu, tydzień po tygodniu. Gdy widzi się tę hurtownię pod gołym niebem (wybudowana przez gminę kryta hala nie cieszy

się już takim powodzeniem), gdy widzi się ten ruch, gdy wie się, że każdego dnia setki milionów przechodzą z ręki do ręki, bez czeków, bez pokwitowań, gdy słyszy się spokojnie wypowiedziane zdanie „dziś znowu mój czysty dochód przekroczył baniaka" (tj. milion), to inaczej się patrzy na polski kapitalizm i na gadających panów w Warszawie.

W tuszyńskim kapitalizmie pokazują się pierwsze rysy. Niektórzy już zamykają warsztaty, inni gwałtownie zmieniają profil produkcji, prawie wszystkim zmniejszają się dochody. Nawet ci z mercedesów, volvo i toyot zaczynają coraz głośniej sarkać i z coraz większym obrzydzeniem obserwować polityków i instytucje przez nich reprezentowane.

Rzemieślnicy wedle normy polskiej, a drobni przedsiębiorcy wedle zachodniej (oficjalnie zatrudniają od trzech do pięciu pracowników, a Bóg raczy wiedzieć, ilu na czarno) są rozgoryczeni i rozczarowani polityką gospodarczą kolejnych ekip rządowych, a właściwie jej brakiem. Ich największym oskarżeniem jest brak zainteresowania rządu dla polskich producentów. I faktycznie małe zakłady padają, tak samo jak państwowe mastodonty. Przy czym często są to zakłady do niedawna prosperujące i cieszące się uznaniem klientów. Padają, bo mają za mało kapitału, a boją się wysoko oprocentowanych kredytów bankowych. Padają, bo nie są w stanie wytrzymać czynszów, które właściciele podnoszą bez liczenia się z polską rzeczywistością, natomiast z argumentem, że za taki sam lokal w Paryżu, Londynie czy Nowym Jorku płaci się o wiele więcej... Padają bo nie wytrzymują konkurencji, bo nie ma już siły do walki. Wedle oficjalnych danych zniknęło 30 tys. zakładów rzemieślniczych na ogólną liczbę 50 tys. Zakłady produkcyjne padają, ale mnożą się firmy doradcze, biura badawcze i reklamowe. Ze statystyki wynika nawet, że więcej zakładów powstaje niż zamiera, niech więc żyje statystyka!

W dyskusji nad stanem drobnych producentów często ze strony neofitów liberalizmu pada argument, że ich upadek jest wynikiem zacofania technicznego i przyzwyczajenia do przywilejów z czasów komunistycznych. Zapewne jest w tym cząstka prawdy, jak w argumencie, że recesja dotyka wszystkie sektory. Ale trudno przyjąć, że wszyscy producenci, którzy zamknęli warsztaty, byli nieudacznikami, że wszyscy produkowali marne towary, że nie umieli się dostosować do nowych warunków gry. Trudno przyjąć takie założenie, bo byłoby w jaskrawej sprzeczności z faktami. Bardziej niż niewidzialna ręka rynku zmiotła ich polityka podatkowa i brak jakiegokolwiek zainteresowania ze strony rządu. Nie chodzi o żadną pomoc finansową ze strony państwa, lecz o równe traktowanie inwestora zagranicznego z polskim. A tego zabrakło, jak zabrakło wielu innych rzeczy.

Na całym świecie wszyscy oczywiście narzekają na podatki,



wszyscy są przekonani, że płacą państwu o wiele za wiele i wszyscy chcieliby z państwa korzystać, niewiele co mu dając w zamian. Jeśli jednak płaci się coraz większe podatki, a świadczenia socjalne państwa ulegają ograniczeniu, natomiast widzi się i słyszy o rozrzutności elity politycznej, jeśli każdy handlarz, każdy hurtownik jest w o wiele lepszej sytuacji podatkowej od jakiegokolwiek producenta, jeśli inwestycje produkcyjne nie są uwzględniane w podatkach, jeśli każdy inwestor zagraniczny dostaje ulgi, o jakich nie może marzyć polski, jeśli z banku łatwiej dostać pożyczkę na Hawaje niż na inwestycję, to można zadać sobie pytanie: czy państwu zależy na producentach i jaki kapitalizm w Polsce chce się zbudować? W tych warunkach prowadzenie warsztatu czy fabryczki wymaga nie tylko dobrej woli, hartu i kapitału, ale i pewnej postawy etycznej. Często słyszałam zdanie: jak mogę z dnia na dzień zamknąć warsztat, jeśli u mnie pracują ludzie? Ale w końcu racje ekonomiczne zwyciężają i warsztaty się zamykają; pieniądze wkłada się do banku i żyje z procentów, inwestuje się w handel, który ciągle jeszcze jakoś egzystuje lub też inwestuje się posiadane kapitały za granicą. A bezrobocie rośnie.

Najwięcej bezrobotnych pochodzi z dużych państwowych przedsiębiorstw, ale wielu, np. w województwie piotrkowskim, jeszcze do niedawna pracowało u prywatnych producentów. Dla małych województw bankructwo dużego, często jedynego przedsiębiorstwa jest początkiem śmierci całego regionu, natomiast samolikwidacja, bankructwo drobnych producentów, a następnie zamykanie się sklepów jest tej śmierci przypieczętowaniem. Polska jest dzisiaj krajem, w którym ani duże (państwowe zakłady) ani małe (prywatne, drobne przedsiębiorstwa) nie jest piękne. Oczywiście są duże i małe zakłady, które pracują i przynoszą dochody, a ich pracownicy godnie zarabiają; oczywiście są przedsiębiorcy, którzy inwestują i na inwestycjach zarabiają, ale wbrew zadowoleniu byłego premiera Olszewskiego i cytowanym przez niego statystykom recesja się pogłębia, a zubożenie ludności rośnie. Wraz z pogarszaniem się sytuacji gospodarczej marzenia o emigracji stają się coraz powszechniejsze.

Polscy drobni kapitaliści, faktyczni przedstawiciele klasy średniej, o której wiele się pisze ale faktycznie mało wie, zadają retoryczne pytania: o jaki tu kapitalizm chodzi? Kto i jakimi środkami ma go budować? Urzędnik, który ani z bliska ani z daleka nie widział fabryki, a z warsztatów zna wyłącznie samochodowe? Ekspert zagraniczny przyjeżdżający z furą olśniewających pomysłów, mało mających związku z realną sytuacją Polski, i nad którymi dyskutują wyłącznie urzędnicy i politycy? Politycy w większości wychowani na romantycznej literaturze i bibule antykomunistycznej, i dla których symbole, hasła i gesty liczą się

stokroć bardziej niż gospodarka? Podczas debaty sejmowej nad nową ustawą podatkową Sejm świecił pustkami. Oczekiwana manna dolarów na Polskę nie spadła. Czy stworzono warunki, by spadła? Trudno za takowe uważać podsycaną z prawa i z lewa niechęć do obcego kapitału i Zachodu. Przykładem tego mogła być dyskusja w Sejmie nad ratyfikacją układu z EWG. Sądząc po wypowiedziach niektórych posłów można by przypuszczać, że to EWG zabiega o względy Polski, a nie odwrotnie, a kapitał zagraniczny o niczym tak nie marzy, jak o jej gospodarczym i politycznym podporządkowaniu.

Więc gadają panowie w Warszawie o tym i o owym, ostatnio o teczkach i agentach, a tłum bezrobotnych wzrasta, a w Tuszynie kapitaliści zastanawiają się, jak długo jeszcze gospodarka nierządem będzie stała. Dla tych na dole nic nie jest przejrzyste: reprywatyzacja, prywatyzacja, podatki, cło. Jednego dnia mówi się jedno, drugiego zupełnie coś przeciwnego, jeden minister mówi jedno, drugi zupełnie co innego i obaj zasiadają w rządzie. Nic więc dziwnego, że dla tych na dole każda decyzja jest wiatrem podszyta. Dziś jest tak, jutro może być inaczej. Wpierw się dozwala bez jakiegokolwiek sensu na rozwój kasyn i domów gry, jak Polska długa i szeroka z udziałem kapitału zagranicznego, następnie Sejm uroczyście go eliminuje z gry, Senat odrzuca uchwałę sejmową, posłowie swoje, rząd wydaje rozporządzenia podtrzymujące udział kapitału zagranicznego i zabawa trwa. Najpierw Sejm i kolejne rządy udzielają wakacji podatkowych firmom zagranicznym, po czym, przy udzielaniu koncesji na handel paliwami, eliminuje się ESSO, bo nie płaci podatków. Itd., itd...

I nie ma się do nikogo zaufania. Jak powiedział jeden z moich rozmówców: namawiają mnie, bym wziął kredyt w dolarach, ale kto mi zagwarantuje, że za tydzień, za kwartał kolejny minister finansów nie zmieni odgórnie kursu walut, bo tak będzie wynikało z jego polityki, a ja zostanę z kupą długów. Przecież oni mają głowy jak gejzery. Każdego dnia strzelają pomysłami, jeden lepszy od drugiego, a prawie każdy ma nikły związek z naszym życiem.

Nieprzejrzystość, a zacytowałam dwa tylko przykłady, głośne z ostatnich dwóch tygodni, rodzi podejrzenia o prowadzenie ciemnych interesów, o prywatę, o szkodzenie państwu. Każda sprawa jest rozdmuchiwana i w każdej wietrzy się aferę. Lecą nazwiska nowowzbogaconych, miejscowych i krajowych multimilionerów, którzy jeszcze trzy lata temu byli golcami, ale za to mają jakieś powiązania z ekipami rządzącymi. Trudno się połapać, co w tym gadaniu jest prawdą, a co zmyśleniem. Do upowszechnienia podejrzliwości przyczyniają się walnie niektóre gazety wraz z niektórymi politykami. Mnożą się więc szeryfowie



i mnożą się afery. Rzucić na kogoś podejrzenie bez żadnego udokumentowania, obsmarować kogoś w gazecie, bo tak wynika z politycznych przesłanek, jest dzisiaj w Polsce bardzo łatwo. Czasem pojawiają się jakieś sprostowania, jakieś wymamrotane przeproszenia, ale z natury rzeczy mało kto na nie zwraca uwagę. W tej atmosferze ogólnej podejrzliwości, którą niewątpliwie pogłębi sposób, w jaki realizuje się ustawę lustracyjną, musi narastać brak zaufania do polityków i do instytucji państwowych, czego wyniki sondaży byłyby dowodem. W końcowym wyniku państwo jest coraz bardziej osłabione, co może grozić nieobliczalnymi skutkami.

Nie ma się zaufania, bo praktycznie nie ma żadnej komunikacji między klasą polityczną a społeczeństwem cywilnym. Im głośniej i częściej słychać przemówienia w stylu: to my reprezentujemy społeczeństwo, to my wiemy, co społeczeństwo myśli, to my robimy to, czego społeczeństwo oczekuje, tym większe niezadowolenie na dole, tym większa obojętność. Z nami wszyscy chcą się spotykać przed wyborami — mówili mi moi rozmówcy. Wiadomo, o co wówczas chodzi — o forsę na wybory. Potem cisza. Posłowie i ministrowie plecami odwracają się do nas i naszych problemów. Prawie tak samo wypowiadali się na łamach prasowych przedstawiciele wielkiego kapitału. Z nimi także nie prowadzi się żadnych dyskusji. Np. poseł Goryszewski z ZChN, przewodniczący sejmowej komisji budżetowej — to on właśnie podczas sejmowej dyskusji o stowarzyszeniu się z EWG widział Polskę otoczoną wilkami czyhającymi na jej cześć i majątek — nie pofatygował się na dyskusję o budżecie z przedstawicielami Stowarzyszenia Przemysłowców, bo i po co. Polityk wie lepiej. Nie prowadzi się również żadnych poważniejszych dyskusji z kadrą przemysłową. Memoriały NOTu — raz lepsze, raz gorsze — wrzuca się do kosza. Bo i po co rozmawiać z „czerwonymi pająkami", z przeżytkami komunistycznej nomenklatury? Co oni mogą nam powiedzieć? — słyszy się na korytarzach ministerstw. Nierzadko mówią to działacze „S", których jedynym doświadczeniem życiowym nim zostali politykami i urzędnikami było kręcenie korbką przy powielaczu, siniaki po pałce ORMowca i stypendium zagraniczne. Odnosi się nieodparte wrażenie, że politycy nie rozumieją gospodarki, a ponieważ sprawia im coraz większe kłopoty, znajdują tematy zastępcze. Ostatnio teczki agentów. Pogoń za agentami rozpoczęta na łapu capu jest właśnie tym, co ma Polskę zbawić.

Panowie więc w stolicy gadają, gorączkują się, obwiniają, wzajemnie się oskarżają, a w Tuszynie... Całe szczęście, że istnieją w Polsce Tuszyny, ale jak długo jeszcze?

Paryż, czerwiec 1992

*Grażyna POMIAN*

## *Sprawy i troski*

# O jednym aspekcie zdziczenia obyczajów intelektualnych

„W dzisiejszych czasach nikt niczego nie czyta.
Jeśli czyta — nie rozumie.
Jeśli czyta i rozumie — natychmiast zapomina".

„To powiedział Stanisław Lem w wywiadzie telewizyjnym, a ja spadłem z krzesła z zachwytu" — to zapisał Tadeusz Konwicki we *Wschodach i zachodach księżyca*. Na szczęście po zapisaniu tego podniósł się z podłogi i dokończył książkę; na przekór formule autora *Dzienników gwiazdowych* napisał jeszcze kilka od tego czasu.

Przypomnijmy inny cytat: „Paweł został sam. Zdjął marynarkę i rozwiązał krawat. Ogarnęła go senność, usiadł na łóżku i ziewając rozejrzał się po pokoju. Rozpoznawał grzbiety znajomych książek: dwa tomy wybranych pism Lenina, *Krzyżacy*, *Lalka*, *Opowieść o prawdziwym człowieku*... «Dużo czyta» — pomyślał z szacunkiem. Ściągnął buty i poszukał wzrokiem swojej walizki; stała pod ścianą. Paweł rozwiązał sznur i położył ją płasko na posadzce. Z dna, spod bielizny, wygrzebał książkę w sztywnej, szaroniebieskiej okładce. Był to *Krótki kurs historii WKP(b)*. Przewrócił kilka stron, zajrzał do rozdziału o materializmie dialektycznym i mrucząc sennie pod nosem, schował książkę na dno walizki" — to jest fragment z *Obywateli* Kazimierza Brandysa. Przynajmniej przez pewien czas kanon lektur obowiązkowych bohatera pozytywnego prozy polskiej ulegał rozszerzeniu.

Wcale nie tak dawno należało do dobrego tonu w kręgach zbliżonych do tzw. opozycji demokratycznej nie tylko posiadanie większej ilości antysocjalistycznych gadżetów do wpinania w klapy, przypinania do kluczy i kluczyków, naklejania na szyby i ściany. Dobrze widziane było także obłożenie się tomami oficyn



niezależnych, emigracyjnych, było tu miejsce i dla druków rosyjskojęzycznych opatrzonych m.in. sygnaturą Overseas Publications Interchange. Jeżeli nawet owe książki bywały redukowane wyłącznie do roli fetyszy, zaś samo zjawisko nosiło wszelkie znamiona snobizmu, to mniemam, że nie była to najgorsza forma snobizmu. Nazwiska Ciołkosza, Mieroszewskiego, Mackiewicza, pseudonimy: Leopolita czy Poleski usłyszeć można było dość często, niekiedy nawet dyskutowano o konkretnych tekstach — i to dyskutowano poważnie.

Dzisiaj *Wschody i zachody księżyca* należą praktycznie do zamierzchłej przeszłości; jeżeli mówi się o książkach Tadeusza Konwickiego, to z założenia źle, nawet nie przeczytawszy ich uprzednio. O *Obywatelach*, podobnie jak o *Krótkim kursie historii WKP(b)* zapomniano już dawno, nie wiadomo dokładnie, czy przystoi przypominać te książki, a także wiele innych. Tzw. opozycja demokratyczna osobliwie nam się przepoczwarzyła, gadżety powędrowały do lamusów. Książki, rozrzucane w przemyślnym nieładzie na przyjęcia zaufanych gości, gdzieś przepadły, nazwiska nie tak dawno przywoływane z obłędem w oczach zostały zapomniane. Przynajmniej stwarza się pozory, że nie miały one większego znaczenia.

Wyostrzając problem powiedzieć trzeba: książki jeszcze są, coraz więcej coraz głupszych książek pojawia się w Polsce, ich lektura natomiast znajduje się w coraz większej pogardzie. Przyznam się, że w tej sytuacji tylko zdziwiło mnie wyznanie jednego z przedstawicieli Kongresu Liberalno-Demokratycznego, powiadającego, iż „dzisiaj jest czas na weksle, nie na książki". Ostatecznie o „wekslach" wiedzieć on mógł przede wszystkim z książek, nie podejrzewam, by całą swoją wiedzę zawdzięczał wyłącznie filmom typu *Capital City* i spontanicznej obserwacji kilku lombardów.

Otóż dzisiaj do dobrego tonu należy stwierdzenie, iż nic się nie czyta, gdyż nie ma na to czasu, o rozumieniu i pamiętaniu w ogóle nie ma co mówić. Gdy nieco czasu się wygospodaruje, to publikuje się własną książkę — ot: kilka plotek, sporo zakłamanych czy niedokładnych wspomnień — z osobliwym przeświadczeniem, że ta książka właśnie przeczytana być musi. W odróżnieniu od wszystkich innych książek, których nie miał czasu przeczytać autor czy tylko współautor.

Brak czasu stał się koronnym argumentem na usprawiedliwienie ignorancji i niekompetencji.

Zastanawiam się nad jednym: gdyby samorodne talenty polityczne poświęciły nieco więcej czasu nauce zawodu, do którego czują powołanie, nieco zaś tylko mniej twórczości memuarystycznej, być może nieco inaczej wyglądałoby nasze życie polityczne. Ale to tylko moja prywatna wątpliwość.

Brakiem czasu usprawiedliwiają swoją nieznajomość literatury współczesnej studenci polonistyki wszystkich lat — ponoć są tak przeciążeni lekturami obowiązkowymi, że nie mają kiedy czytać nowych tomików Miłosza czy Herberta (starych także nie mieli kiedy przeczytać). Brak czasu uniemożliwia pracownikom naukowym zapoznawanie się z pracami naukowymi. Rozumie się samo przez się, iż uzyskanie statusu tzw. samodzielnego pracownika naukowego automatycznie zwalnia z obowiązku publikowania czegokolwiek, a przede wszystkim czytania czegokolwiek. Taka w Polsce funkcjonuje od dawna niepisana reguła. Wyjątkowo pracowici starają się przynajmniej przeglądać indeksy nazwisk — mniemam, że w poszukiwaniu własnego. Brak czasu utrudnia recenzentom gazetowym zapoznawanie się z recenzowaną przez nich książką, niektórzy nawet mają odwagę przyznawać się do tego otwarcie. „Pegaz" — czyli tzw. magazyn kulturalny programu I telewizji polskiej — poprzestaje na eksponowaniu okładek nadesłanych książek, niekiedy tylko uzupełniając tę migawkę głosem lektora, odczytującego sprawnie notkę reklamową, zamieszczoną na okładce. Dziennikarze odpowiedzialni za dział kulturalny swoich redakcji nie mają czasu na lekturę książek, gdyż albo muszą przygotowywać się rzeczowo do spotkania z pisarzem, którego mają zamiar kompletnie zaprezentować, albo po prostu przygotowują się do wymarzonej roli komentatora politycznego — skąd już prosta droga do zostania rzecznikiem prasowym kolejnego rządu.

Publikacji kolegów, znajomych i przyjaciół nie czyta się z założenia; nie ma sensu lektura publikacji wrogów, oponentów i nieprzyjaciół — znakomicie ułatwia to gospodarkę czasem, którego przecież jest tak mało. Absurdalny może się wydawać fakt, iż zespół redakcyjny pisma, tygodnika czy gazety nie czytuje swojego własnego organu — to jednak zrozumiałe, zważywszy na brak czasu. Nie czytając pisma przez siebie redagowanego trudno znaleźć czas na lekturę pism redagowanych przez innych ludzi. Jeżeli jest to organ redagowany przez znajomych i przyjaciół — nie warto, jeżeli jest to organ innej partii lub stronnictwa politycznego — tym bardziej nie warto. Otóż zadawszy sobie sporo trudu, przejrzawszy niemało periodyków nie zdołałem znaleźć niczego, co by zasługiwało na miano rzeczowego przeglądu prasy i czasopism, cytowanie niefortunnych wypowiedzi na konferencjach prasowych moim zdaniem nie ma z tym nic wspólnego.

I pora już chyba na czysto prywatną impresję. Onego czasu brałem udział w dyspucie nad pewną książką, zorganizowaną przez uczelnię nieźle znaną w Polsce i w Europie — jej nazwę przez litość pominę. Praktycznie tłukłem się pociągiem na drugi koniec kraju po to, by usłyszeć, iż większość dyskutantów nie



miała czasu na uważne przeczytanie książki, niektórzy przejrzeli, niektórzy przekartkowali, jeszcze inni nie zdążyli po nią sięgnąć, aliści wszyscy na tej książce jeździli jak po łysej kobyle. W zasadzie wypadałoby wzruszyć ramionami, ale przecież nie w tym rzecz. Może istotnie nie mieli czasu, zastanawiam się jednak nieco naiwnie: jakim prawem w ogóle wypowiadali się na temat książki, której nie znali. Pociecha, że w ogóle coś mówili z powodu książki, nie zaś z powodu dotkliwej sytuacji ekonomicznej, przynajmniej dla mnie niewielka.

Myślę, że mogę już przerwać to wyliczanie, kolejne przykłady naprawdę niewiele by tu zmieniły. Problem przecież nie w mnożeniu przypadków, nie mieszczących się w głowie cywilizowanego człowieka.

Praca umysłowa, inteligencja, oświata, nauka, kultura są dzisiaj w Polsce przedmiotem wyjątkowego lekceważenia, chyba nawet pogardy. Jestem przekonany, że krótkowzroczna polityka chociażby kolejnych nieodpowiedzialnych ministrów edukacji narodowej rychło wyda owoce: po prostu nie będzie chętnych do pracy w szkołach, i to ani w prywatnych, ani państwowych. W miarę przedsiębiorczy ludzie porzucą pracę na uczelniach o skostniałych, by nie rzec sklerotycznych strukturach. Wtedy będzie można albo bić na alarm, albo wydać ustawę o obowiązku pracy w szkołach, na uczelniach — wszystkiego jednak zamknąć się nie da. Kilka szkół podstawowych, jedna średnia baletowa, ze dwie uczelnie wyższe chyba pozostaną. Na razie trwa proces dewastacji administracyjnej polskiego życia umysłowego. Proces moim zdaniem niesłychanie szkodliwy. Ale rzecz w tym, że tu już nie idzie o kwestie administracyjne, o niepoważne zarządzenia, głupie wypowiedzi publiczne urzędników. Urzędnika można przecież zmienić, zarządzenie odwołać, wydać nowe, można nawet podnieść o sto tysięcy czy nawet pół miliona złotych żałosne pensje nauczycieli — to są naprawdę kwestie drugorzędne. W stosunkowo krótkim czasie dokonało się coś znacznie poważniejszego, czego już nie zdoła odrobić nawet zarządzenie czy ustawa z mocą dekretu o powszechnym obowiązku czytelnictwa w Polsce. Proszę mi darować dosadne określenie, ale po prostu splugawiona została sama istota pracy umysłowej — świadectwem tego są wymienione przeze mnie przykłady, wybrane bynajmniej nie w złej woli, lecz po prostu składające się na naszą codzienność.

Leszek Kołakowski pisał jeszcze w roku 1973: „[...] hasło «przechować kulturę narodową» jest dwuznaczne. Kultura narodowa nie jest wszakże złotą sztabą, którą można w ziemi zakopać i po latach nietkniętą wydobyć, nie jest także zabytkiem muzealnym albo biblioteką chwilowo nieczynną. Jest formą aktualnego trwania narodu. Przechować ją można tylko jako

kulturę żyjącą, a więc tylko w oporze przeciw degradacji mowy publicznej, przeciw redukcji życia do prywatności powszedniej, przeciw próchnieniu wszystkich spontanicznych krystalizacji życia zbiorowego, nie dekretowanych nakazem. A to wszystko jest karalne lub podejrzane. Kultura narodowa nie przechowania wymaga, ale obrony czynnej i w złej wierze żyje ten, kto powiada, iż nie wie, co to znaczy".

Ni mniej, ni więcej tylko stała się rzecz straszna. Otóż owe skarby kultury narodowej, przez lata troskliwie przechowywane i chronione, okazały się po prostu zbytecznym balastem utrudniającym m.in. funkcjonowanie instytucji państwa, kłopotliwym również w życiu prywatnym. Nie znaleziono nawet czasu na to, by owe sztaby dobrze schowane na światło dzienne wydobyć, patynę i śniedź z nich zetrzeć, sprawdzić prawdziwość próby.

Wszelkie rozmowy w Polsce pojałtańskiej toczyły się w nienormalnych warunkach, niemożliwe były po prostu autentyczne spory o „sprawy z ważnych — najważniejsze". Jednak, mimo rozmaitego rodzaju zakłóceń, trwał jakiś dialog, z wypowiedziami głupców nie liczono się szczególnie, krytycyzm i zdrowy rozsądek umożliwiały wydobycie prawdy z miału pozbawionych sensu słów. Otóż dzisiaj zauważyć można zerwanie wszelkich rozmów, naruszenie samej zasady trwałości. Kulturę nieautentycznego dialogu zastąpiła kultura nadętych, napuszonych monologów, nie odwołujących się bezpośrednio do niczyich słów. Jak o tym już była mowa — każdy autor czy współautor kolejnych żałosnych memuarów żywi iście irracjonalne przeświadczenie, że tylko jego książka zasługuje na uwagę. Niesłychanie łatwo ludzie odpowiedzialni ze weryfikację wartości — dziennikarze, publicyści, humaniści, pracownicy naukowi — zrezygnowali ze swoich elementarnych obowiązków, „brak czasu" stał się powszechnym usprawiedliwieniem wszelkiej niekompetencji. To prawda, że inteligencja polska znalazła się obecnie w sytuacji szczególnego upodlenia, także materialnego; przynajmniej dla mnie jest rzeczą nie do pojęcia łatwość, z jaką to upodlenie zostało zaaprobowane przez samych zainteresowanych, a także skwapliwość, z jaką jest pogłębiane w wymiarze intelektualnym. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby cytatowi z artykułu Kołakowskiego towarzyszyło aroganckie pytanie: „a któż to taki", ewentualnie szczere wyznanie: „mam dwie jego jakieś książki, ale jakoś nie było czasu, żeby je przeczytać". To, że bym się nie zdziwił, a cóż dopiero mówić o oburzeniu, najlepiej chyba świadczy o tym, iż ów osobliwy proces samoupodlania toczy się pełną parą. I za to już chyba nie przystoi obwiniać komunistów. Paradoksalnie to ich zakazy sprawiały, że znajdowano czas na lektury i rozmowy o przeczytanych książkach, artykułach, rozprawach; pod ich rządami było co najmniej niestosownością przyznawanie się do własnej niekompetencji, ignorancji czy zwykłej głupoty, analfabetyzm funkcjonalny nie bywał powodem do chluby.



Jeżeli w polskich środkach masowego przekazu od dość dawna wypowiadają się publicznie ludzie przyznający się otwarcie, że nie mieli czasu, by jakąś tam książkę czy jakiś tam artykuł przejrzeć, a wypowiadają się nader autorytatywnie o sprawach istotnych dla biologicznej egzystencji bez mała czterdziestu milionów ludzi, to sądzę, iż cywilizacja, w której praktycznie nikogo to nie dziwi, zasługuje na chociażby chwilę namysłu. Cywilizacja, która wszelkimi możliwymi sposobami chce się pozbyć swojej tradycji kulturowej — to chyba jednak osobliwy fenomen — przynajmniej na kontynencie europejskim pod koniec XX wieku.

No cóż: *„Aleksandr Makiedonskij gieroj, no zaczem że stulja łamat'?"*.

Mógłby mi ktoś zarzucić patos, rozdzieranie szat, skłonność do tonacji kassandrycznej. Byłby to naprawdę zarzut bezpodstawny, Kassandra przecie mówi przed — nie zaś po fakcie. Mnie interesuje to tylko, co stało się w Polsce w stosunkowo krótkim czasie. Nie ja przecież wymyśliłem aroganckich polityków, starających się stworzyć wrażenie, iż praktycznie od nich się wszystko zaczęło; niekompetentnych dziennikarzy szczycących się swą niekompetencją; pracowników naukowych dumnych z tego, do czego nie ma prawa przyznać się uczeń szkoły podstawowej — przynajmniej jemu nie wypada zanadto chlubić się tym, że nie odrobił lekcji.

Przytoczona za Tadeuszem Konwickim wypowiedź Stanisława Lema pochodzi sprzed wielu, wielu lat. Dotyczy ona jednego tylko aspektu pogardy dla ludzkiej myśli, dla kultury, dla elementarnych wartości. Owa pogarda stała się integralnym elementem cywilizacji polskiej. Podejrzewam, że jest to proces nieodwracalny. Zakładam jednak, że jest to proces godny analizy, refleksji skupiającej się na tym chociażby, jak do tego doszło.

Jeżeli jednak rację miał Stanisław Lem, jeżeli powyższa diagnoza — mimo pewnych przejaskrawień — jest zasadniczo prawdziwa, to zdaję sobie sprawę, iż znalazłem się w osobliwym błędnym kole. Zawsze jednak pozostaje pociecha, że po prostu nie nadążam za przemianami zachodzącymi w tym kraju, który uznał za słuszne wyprzeć się swojej tradycji.

*Marek ADAMIEC*

# Kochaj bliźniego swego

Dyskusja wokół problemu aborcji wydaje się być starciem różnych koncepcji miłości bliźniego, różnych systemów etycznych, odmiennych pojęć na temat jednostkowej odpowiedzialności.

W dyskusji zwraca uwagę fakt, iż nie słychać głosów zwolenników aborcji. Bodaj wszyscy dyskutanci wydają się zgadzać co do tego, że chirurgiczne przerwanie ciąży jest złem. Część dyskutantów kwalifikuje to zło jako morderstwo z premedytacją, popełniane dla wygody lub z chęci zysku; część uważa, że w pewnych przypadkach aborcja jest złem mniejszym, pozwalającym zwalczyć zło większe; obydwie strony zgadzają się jednak, że jako metoda planowania rodziny aborcja jest złem społecznym.

Okazuje się, że zgoda co do tego, że aborcja jest złem bynajmniej nie przybliża dyskutantów. Odnosi się wrażenie, że spór toczy się nie o kwestię aborcji, że nie jest to bynajmniej poszukiwanie skutecznego ograniczenia pewnej plagi społecznej, a spór o światopogląd.

Jestem człowiekiem religijnie obojętnym z cywilizacji chrześcijańskiej. Ta prezentacja jest istotna, bowiem nawet jeśli religia nie odgrywa w moim życiu tego znaczenia, które odgrywa w życiu ludzi głęboko religijnych, łączą nas te same wartości cywilizacyjne, tradycja stanowiąca podstawę wszelkich poszukiwań etycznych.

Od wczesnej młodości uczono mnie, że pojęcie bliźniego jest dla naszej cywilizacji kluczowe. Porównując chrześcijaństwo z judaizmem, islamem, hinduizmem czy buddyzmem wydawało mi się, że unikalność chrześcijaństwa ukrywa się właśnie w owej koncepcji bliźniego, wykraczającej poza klan, naród, a nawet poza wspólnotę religijną. Nieprzyjaciel nie przestaje być bliźnim.

Nakaz miłości bliźniego rozumiałem zawsze jako nakaz miłości współczłowieka, niezależnie od tego czy jest to krewny, sąsiad, rodak, chrześcijanin, czy też człowiek obcy. Taką interpretację podsuwała przypowieść o Samarytaninie, taką interpretację wydają się narzucać słowa Jezusa przytaczane w Ewangelii św. Mateusza: „Słyszeliście, że powiedziano: Będziesz miłował swego bliźniego, a nieprzyjaciela swego będziesz nienawidził. A Ja wam powiadam: Miłujcie waszych nieprzyjaciół..."

Wydawało mi się, że chrześcijański nakaz „nie zabijaj" ma wartość uniwersalną. Wszelkie zabójstwo jest grzechem, aczkolwiek w pewnych okolicznościach, określanych w terminologii prawnej jako obrona konieczna, odpuszczenie tego grzechu jest niemal oczywiste.



Zwolennicy zniesienia dopuszczalności aborcji często powołują się na nakaz miłości bliźniego. Sprawa interpretacji tego nakazu jest w tym sporze fundamentalna. Stąd również fundamentalna jest kwestia definicji samego bliźnego, pytanie czy plemnik lub zarodek to już bliźni, czy też dopiero potencjalny bliźni? Czy płód staje się bliźnim w szóstym tygodniu ciąży, czy dopiero z chwilą urodzenia się żywego dziecka?

Ośmielam się twierdzić, że spór toczy się nie o aborcję (czyli chirurgiczne przerywanie ciąży) a o planowanie rodziny, o wszelkie rodzaje zapobiegania ciąży przy pomocy nowoczesnych środków medycznych.

Kościół katolicki akceptuje wyłącznie tzw. „naturalne planowanie rodziny" — niebywale zawodny kalendarz małżeński względnie wstrzemięźliwość seksualną. W efekcie, według informacji, które mogłem uzyskać od ginekologów, kobiety, które przestrzegają zaleceń swoich spowiedników, częściej poddają się aborcji aniżeli katoliczki lekceważące w tej kwestii nakazy Kościoła, względnie niekatoliczki. Od trzydziestu lat prowadzę wyrywkowe „badania". Pytam praktykujące katoliczki, jak sobie radzą przy spowiedzi z problemem środków antykoncepcyjnych. Większość odpowiada, że szuka „właściwego" spowiednika, część z tego właśnie powodu zrezygnowała z chodzenia do spowiedzi, w nielicznych przypadkach słyszałem odpowiedź — nie spowiadam się z tego, to moja prywatna sprawa.

Tego rodzaju pytania można stawiać niemal wyłącznie kobietom z inteligencji, jednak zmiana charakteru polskiej rodziny wskazuje wyraźnie, że analogiczne postawy istnieją we wszystkich warstwach społecznych. W Polsce dominuje obecnie rodzina z dwójką, trójką dzieci. Ponieważ kobieta w okresie rozrodczym może urodzić kilkanaścioro dzieci, wniosek z tego prosty, że ponad dziewięćdziesiąt procent kobiet w Polsce planuje swoją rodzinę, a co więcej zdecydowana większość nie ogranicza się do metod „naturalnych".

Zdaniem zwolenników dopuszczalności aborcji, dramatycznie wysoka ilość przypadków chirurgicznego przerywania ciąży w Polsce spowodowana jest przede wszystkim niedostatecznym uświadomieniem seksualnym, niedostępnością środków antykoncepcyjnych, pijaństwem i powszechnym brakiem odpowiedzialności. Nie są to moim zdaniem wszystkie przyczyny. Obawiam się, że plaga aborcji ma po części swoje źródło w podwójnych standardach moralnych. Kościół jako źródło norm moralnych hamuje rozpowszechnianie skutecznych środków antykoncepcyjnych, część wiernych akceptuje nakazy Kościoła, ale tylko do momentu gdy nie pojawia się niezaplanowana ciąża. Obawiam się, że bynajmniej tego nie chcąc, Kościół przyczynia się do tego, że aborcja w Polsce jest wykorzystywana jako jeden ze środ-

ków planowania rodziny, zamiast być metodą stosowaną wyłącznie w przypadkach skrajnych, gdy zachodzi konieczność ratowania życia matki, usunięcia uszkodzonego płodu lub ratunku w nadzwyczajnych okolicznościach społecznych, jak na przykład ciąża w następstwie gwałtu.

Każde chirurgiczne przerwanie ciąży jest dla kobiety dramatem. Wiedzą o tym doskonale ginekolodzy, wiedzą o tym zajmujący się tą problematyką psychologowie. Decyzje o aborcji bywają podyktowane motywami egoistycznymi. Nie znam polskich statystyk, nie wiem czy istnieją odpowiednie badania. W innych krajach prowadzi się takie badania. Decyzje o przerywaniu ciąży są z reguły odpowiedzią na pytanie: „Czy będę mogła zapewnić mojemu dziecku dach nad głową, pełną rodzinę, wykształcenie?"

Moja Matka poddała się aborcji w czasie okupacji. Ojciec był oficerem Armii Krajowej. Prawdopodobieństwo przeżycia całej rodziny było raczej niewielkie. Uznała, że powoływanie do życia jeszcze jednego istnienia byłoby w tych warunkach nieodpowiedzialnością. (Po gwałtownej wymianie zdań ze swoim spowiednikiem przestała chodzić do spowiedzi. Podejrzewam, że moja religijna obojętność oraz zainteresowanie problematyką planowania rodziny jest po części odległym echem tamtych wydarzeń). Siostra mojej znajomej zaszła w ciążę i lekarze stwierdzili czworaczki. Ze względu na stan zdrowia matki byli przekonani, że donoszenie tej ciąży jest niemożliwe, że wszystkie cztery płody będą musiały zginąć. Dzięki nowoczesnej medycynie możliwe było usunięcie trzech płodów i żywe urodzenie czwartego. Czy popełniono trzy morderstwa, czy uratowano jedno życie?

Bez trudu możemy zrekonstruować pytania, które współczesny człowiek stawia i będzie stawiał decydując się na dziecko. Z reguły nie są to wyłącznie kwestie dotyczące własnej wygody. Potencjalni rodzice (a w przypadku nieodpowiedzialnych mężczyzn samotne potencjalne matki) stoją przed pytaniem, jakie życie mogą ofiarować swojemu dziecku.

Aborcja jest bardzo złym sposobem planowania rodziny. Jeszcze gorszym sposobem regulowania wielkości populacji są głód, nędza, choroby i wojny. Owe „naturalne" sposoby regulowania wielkości populacji towarzyszyły ludzkości od zarania dziejów. Rozmnażanie się jest czynnością fizjologiczną, taką samą jak jedzenie czy wydalanie. Wielu czytelników może się w tym miejscu oburzyć. Warto jednak przypomnieć, że spożywanie darów Bożych jest również sakramentem, a proces trawienia nie mniejszym cudem natury jak proces zawiązywania się nowego życia.

Natura kontroluje procesy populacyjne w sposób okrutny — obdarza istnienia rozrzutną możliwością rozmnażania się „zakładając", iż tylko niewielka część poczętych i narodzonych dożyje do wieku dojrzałego i zapewni kontynuację gatunku. Im wyższa świadomość, tym większy bunt przeciw okrucieństwu rozrzutnej natury.



Kobieta między szesnastym rokiem życia a klimakterium może urodzić wiele śmierci i wiele cierpienia. Niobe miała siedmiu synów i siedem córek. Nasze babki rodziły po trzynaścioro, czternaścioro dzieci, umierały młodo, a przed śmiercią były wielokrotnie świadkami śmierci własnych dzieci. Kobieta, nawet ta, która nigdy nie siedziała przy swoim konającym dziecku, inaczej rozważa decyzję o powołaniu do życia nowego istnienia, aniżeli ktoś, kto zajmuje się tą kwestią wyłącznie teoretycznie. Obawiam się, że na spór o aborcję, czyli na spór o planowanie rodziny, patrzeć musimy z perspektywy świata — Afryki, Indii, Meksyku, Iranu, ale również Polski. Polska jest jeszcze krajem względnie zamożnym, względnie mało przeludnionym. (Piszę jeszcze, ponieważ uważnie studiowałem co się stało w Meksyku na przestrzeni ostatnich czterdziestu lat. Gwałtowna eksplozja demograficzna może względnie zamożny i względnie mało przeludniony kraj przemienić w ciągu kilku dekad w państwo o meksykańskim czy indyjskim krajobrazie). Ponieważ dyskutujemy o normach etycznych, należy postawić pytanie, czy jesteśmy przeciwnikami planowania rodziny przy pomocy nowoczesnych środków medycznych w Etiopii? Czy tym rozważaniom o etyce towarzyszy obraz kobiety trzymającej w ramionach dziecko konające z głodu? Czy stawianie znaku równości między zniszczeniem plemnika a zabójstwem człowieka nie prowadzi przypadkiem do lekceważącej postawy wobec ludzkiego życia?

Korea Południowa to obszar Wielkopolski i Pomorza Zachodniego. ludzi. Polityka gospodarcza jest w tym kraju ściśle powiązana z drastyczną kontrolą urodzin. „Barbarzyńskie" naciski na społeczeństwo doprowadziły do tego, że już dziś dzieci, które się rodzą, rodzą się do życia, a nie do szybkiej i koszmarnej śmierci. Aborcja, sterylizacja, środki antykoncepcyjne, wszystko to jest uważane za środki moralnie usprawiedliwione, by nie dopuścić do zdychania ludzi w rowach. Zbrodnicza polityka?

W Brazylii, której władze nie potrafią się zdobyć ani na porządne reformy gospodarcze, ani na propagowanie polityki planowania rodziny, jest „plaga" tysięcy bezpańskich dzieci. Te dzieci żywią się na śmietnikach, kradną, mordują. Policja urządza polowania na dziecięce gangi i strzela do tych dzieci jak do kaczek. Badania opinii publicznej wykazały, że znaczna część brazylijskiego społeczeństwa aprobuje te metody uznając, że jakoś sobie trzeba z tą „plagą" poradzić.

Szach Iranu uważał, że warunkiem skutecznych reform gospodarczych jest popularyzacja planowania rodziny. W latach sześć-

dziesiątych utworzył dobrze rozbudowaną sieć placówek medycznych i oświatowych popularyzujących nowoczesne środki antykoncepcyjne. Islamscy duchowni szczególnie gwałtownie krytykowali szacha za tę sieć i rozpoczęto kampanię pod hasłem: „Mnóżcie usta, które powtarzać będą — jeden jest Bóg, a imię Jego jest Allah". W rezultacie Iran zdołała osiągnąć największy przyrost naturalny na świecie. Ludność tego kraju wzrosła z 38 milionów mieszkańców w 1979 roku do 58 milionów w 1991. W 1991 roku mniej niż trzecia część dzieci w wieku szkolnym chodziła do szkół. Dwanaście milionów dorosłych mieszkańców Iranu było przed wybuchem wojny w Zatoce Perskiej bez pracy lub utrzymywało się z zajęć dorywczych.

Moda na „antyaborcję" wzbudza we mnie przerażenie, gdyż wyraźnie widać, że nie jest to walka o ograniczenie ilości przypadków chirurgicznego przerywania ciąży, a walka z nowoczesnym planowaniem rodziny. Dostrzegam w tych postawach gotowość machnięcia ręką na większe zło w imię „zasady". Obawiam się, że taka formuła obrony życia poczętego (a nawet jeszcze niepoczętego) jest formułą akceptacji cierpienia. Spór o planowanie rodziny wymaga przywołania przykładu Bangladeszu i Etiopii, amerykańskich slumsów, w których rodzące się murzyńskie dzieci mają znacznie większe szanse trafienia do więzienia niż do szkoły średniej, wielodzietnych rodzin polskich alkoholików, których dzieci tak często powtarzają losy swoich ojców. Warto w tej dyskusji przywołać również przykład rumuńskich sierocińców, o których jeden z dyskutantów pisał, że przyczyną straszliwego losu dzieci w owych sierocińcach nie był zakaz aborcji (czytaj niedostępność środków antykoncepcyjnych — A.K.) „ale to co było przyczyną nędzy we wszystkich krajach komunistycznych — komunizm właśnie". Komunizm jednak nie był jedynym producentem nędzy na świecie. Komunistyczne doświadczenia mogą łatwo wprowadzić pod tym względem w błąd. Wszędzie, gdzie przyrost naturalny jest większy niż przyrost dochodu narodowego, szybko dociera się do punktu, w którym życie jednostki staje się tak tanie, iż nikt już nawet nie zwraca uwagi na cierpienie innych, niż najbliższa rodzina.

Na Zachodzie obserwujemy również żywą dyskusję wokół problemu aborcji. Zwraca uwagę fakt, że Kościoły protestanckie wypowiadają się w tej sprawie bez zacietrzewienia. Bardzo zdecydowanie występują przeciw masowemu stosowaniu aborcji jako metody planowania rodziny, ale akceptują stosowanie środków antykoncepcyjnych. Protestantyzm dawno temu odrzucił filozofię „Bóg dał, Bóg wziął" czy lekkomyślne przekonanie, że „dał Bóg dzieci, to da i na dzieci", nakładając na jednostkę odpowiedzialność za jakość życia sprowadzanych na ten świat istot ludzkich.

Dla mnie zbrodnią jest nieodpowiedzialne sprowadzanie na



świat życia, a więc moja postawa jest zasadniczo różna od postawy ludzi, dla których zbrodnią jest przerywanie poczętego życia lub niedopuszczanie do jego poczęcia. Podobnie jak oni uważam, że aborcja jest złem. Uważam, że jest złem, które powinno być ograniczane do przypadków skrajnych, ograniczane przez stosowanie nowoczesnych środków antykoncepcyjnych, przez upowszechnianie możliwości takie planowania rodziny, które nie wymaga chirurgicznej ingerencji. Czy mamy prawo planować? Kto dał nam prawo stanowienia o życiu? Ten dylemat moralny pojawił się wraz z przsunięciem granic naszego poznania. Oto stanęliśmy przed pytaniem o różnicę między śmiercią kliniczną i biologiczną, znając tajemnicę procesu zapłodnienia mamy nagle kłopot z definicją człowieka, mamy wiele innych problemów, których nie miały poprzednie pokolenia. Równocześnie jednak nauka o moralności traktuje przede wszystkim o konfliktach wartości. Biblia dostarcza nam niezliczonych przykładów tego rodzaju konfliktów, dylematów ustawodawców szukających ucieczki przed dowolnością, przed moralnym relatywizmem. Poszukiwanie Boga jest również historią prawa i historią nieustannych prób ucieczki człowieka przed dowolnością. W czasach Oświecenia próbowano odkryć uniwersalne prawa natury. Okazało się, że ani religią, której tradycja poszukiwania Boga zawiera ponadczasowe odczucia o tym co moralne, ani „prawa naturalne", które próbowały łączyć mądrość pokoleń z oświeceniowym racjonalizmem, ani wreszcie demokracja, która każe się liczyć z głosami maluczkich — nic nie może nas wyzwolić z brzemienia odpowiedzialności za wybory dokonywane w sytuacji konfliktu wartości niepodważalnych.

Osobiście w tych wyborach opowiadam się za odpowiedzialnością, za pełną rodziną wychowującą swoje dziecko (lub dzieci) w miłości i szacunku. Opowiadam się za antykoncepcją i ten wybór podyktowany jest nakazem miłości bliźniego, marzeniem o tym, aby dla każdego dziecka, które się rodzi, było na tym świecie miejsce, aby rodzący się bliźni był oczekiwany.

Bardzo trudno jest kochać bliźniego w świecie, którym rządzą wilcze prawa, w którym ludzie muszą walczyć ze sobą o przetrwanie.

Rewolucja w dziedzinie antykoncepcji jest dla mnie znacznie więcej warta aniżeli wyprawy człowieka na księżyc, by nie wspomnieć o samochodzie, kolorowym telewizorze i innych cackach techniki. Rewolucja w dziedzinie antykocepcji pozwala częściowo odebrać naturze prawo regulowania ilości tych, których kochamy. Gdybym wierzył w Boga, podejrzewałbym, że to prezent od Niego, że dał nam rozum, byśmy mogli w bardziej ludzki sposób zapewnić przetrwanie gatunku.

Londyn, 7 sierpnia 1991 r.

*Andrzej KORASZEWSKI*

# „No win"

Ten amerykański termin oznacza sytuację, w której każde rozwiązanie jest niedobre.

Konwulsje wstrząsające od wielu miesięcy szczytami władzy w kraju to zgrzyty źle dopasowanego mechanizmu, w którym niektóre części są stare, inne nowe, zaś większość w podłym gatunku. Zwykli ludzie mało się tymi zgrzytami interesują. To już nie rok 1989. W podręcznikach historii pozostaną cierpkie wzmianki.

Niewątpliwie obecne zgrzyty blokują postęp bardzo już spóźnionych reform gospodarki i administracji, odstraszają inwestorów zagranicznych. Jednak nie w nich upatrywałbym główne zagrożenie dla miejsca Polski w przyszłym świecie. Sabat czarownic kiedyś się skończy. Problemy pozostaną. Najgroźniejsze dramaty rozgrywają się w ciszy.

Oto jeden z nich.

Jeśli Polska nie włączy się w trwającą od kilkunastu lat rewolucję naukową Zachodu, pozostaniemy krajem zacofanym na pokolenia. Będziemy w nieskończoność importować wytwory pracy mózgów i maszyn zagranicznych, eksportować surowce i pracę rąk na warunkach dyktowanych przez rynek światowy, czyli w praktyce przez bogate kraje Zachodu.

Kluczem do nowoczesnego świata jest oświata i nauka, zwłaszcza — lecz nie wyłącznie — badania podstawowe i stosowane w naukach ścisłych i technicznych.

•

W ubiegłym roku w Japonii osłabło tempo wzrostu gospodarczego. Rząd japoński zareagował natychmiast, wydzielając z budżetu dodatkowe środki na dofinansowanie badań rozwojowych w przemyśle prywatnym. Dlaczego?

Według teorii ekonomicznej, zapoczątkowanej w 1983 r. pracą Paula Romera na Uniwersytecie Chicago, a uzupełnionej konkurencyjną teorią Maurice'a Scotta z Oxfordu, wzrost gospodarczy osiąga się przy pomocy harmonijnej mieszanki trzech czynników:

1. Nakładem kapitału fizycznego, czyli inwestycji materialnych;
2. Pracą;
3. Nakładem kapitału ludzkiego, czyli wiedzą osiąganą drogą oświaty i badań naukowych, zaś przekładającą się po upływie czasu na język postępu technicznego.

Według najnowszych badań zachodnich nakłady na dwie pierwsze dziedziny dają w sumie nie więcej niż połowę uzyskanego w efekcie wzrostu gospodarczego. Natomiast nakłady na sam kapitał ludzki, czyli na oświatę i naukę, dają ponad połowę wzrostu. Są to przy tym inwestycje najtańsze w stosunku do osiąganych efektów.



Są to też inwestycje rentujące się najpewniej, choć w dłuższym okresie niż bezpośrednie inwestycje materialne.

•

Nie wolno przyrównywać obecnej polskiej rzeczywistości do rzeczywistości krajów bogatych, znanych milionom rodaków z licznych podróży na Zachód. Stwierdzenia typu „a w Japonii, Ameryce, Francji, to jest inaczej..." są bez sensu. Oczywiście, że jest i będzie inaczej. Gramy w innej lidze: oni w pierwszej, my w trzeciej. Według danych organizacji międzynarodowych (Bank Światowy, GATT itp.) jesteśmy w jednej grupie z Meksykiem, Wenezuelą, Malezją, jeśli chodzi o produkt krajowy brutto na jednego mieszkańca. Z tym, że te kraje właśnie wyprzedziły nas w wyścigu i zmierzają ku drugiej lidze. My możemy znaleźć się w czwartej. Powrót będzie trudny.

Nie wolno przyrównywać... jednak niektóre porównania są tak porażające, że warto o nich wiedzieć.

Niedawno profesor Andrzej Wyczański z Instytutu Historii PAN alarmował na łamach warszawskiej prasy: w 1987 r. ówczesna RFN wydawała na naukę, w przeliczeniu na jednego mieszkańca, równowartość 573 dolarów, Francja — 395 dolarów. Polska w ubiegłym roku — 15 dolarów, w budżecie na rok bieżący — tyle samo. Różnice są znacznie większe niż by to mogło wynikać z różnic w PKB między tymi krajami i Polską. Wyczański ostrzega: „Bez nauki nie będzie środków na leki, szkoły, emerytury, itd. Współczesne społeczeństwo nie może obejść się bez nauki", zaś „wyjątkowo trudno jest zbudować czy odbudować naukę, gdy się jej nie posiada lub się ją zniszczy. Nie pomogą tu w przyszłości nawet wielkie pieniądze".

•

Wszyscy chcemy awansu cywilizacyjnego Polski jak najszybciej. Lecz liczby są nieubłagane.

Według komputerowych symulacji wykonanych w ubiegłym roku przez prof. Daniela Cohena w paryskim ośrodku naukowym CEPREMAP, tempo wzrostu dochodu na mieszkańca w odbudowujących się europejskich gospodarkach postkomunistycznych może wynieść — w długim horyzoncie czasowym — od trzech do trzech i pół procent rocznie pod warunkiem zachowania stosunkowo wysokiego poziomu oświaty i nauki w tych krajach.

Ze statystyk międzynarodowych wynika, iż — o ile ten warunek będzie spełniony — Polska może zbliżyć się poziomem swego rozwoju gospodarczego do dwóch najuboższych obecnie krajów Europejskiej Wspólnoty, czyli do Grecji i Portugalii, już za około 20-25 lat. Portugalia jest w tej chwili najszybciej rozwijającym się krajem Wspólnoty.

Co będzie, jeśli warunek nie zostanie spełniony?

Niczym anegdota brzmiała wypowiedź ministra Jacka Saryusza-

Wolskiego na jednej z ostatnich sesji pięciu połączonych komisji sejmowych, rozpatrujących projekt układu z Europejską Wspólnotą. Do roku dwutysięcznego, mówił Saryusz-Wolski, będziemy potrzebować od ośmiuset do tysiąca wysoko kwalifikowanych specjalistów eurokratów z biegłą znajomością gąszczu przepisów Wspólnoty oraz znajomością od trzech do siedmiu głównych języków zachodnich. Z tego, co dzieje się w szkolnictwie, mówił Saryusz-Wolski, perspektywa wykształcenia takiej kadry w założonym terminie nie jest optymistyczna.

•

Pozostawmy na boku oświatę. Zakończmy autorytatywnym głosem na temat finansowania badań naukowych.

Krótkie wyjaśnienie. Na Zachodzie 2% PKB przeznaczane na badania naukowe w ciągu roku uważa się za próg przyzwoitości. W Polsce przeznacza się na naukę 0,7%, czyli jedną trzecią przyzwoitego poziomu, a i te limity budżetowe nie były w pierwszej połowie bieżącego roku wykorzystywane zgodnie z przeznaczeniem.

Słychać głosy, że nauka jest głodzona umyślnie, aby wymusić na niej reformę przestarzałych struktur, aby zapobiec ewentualnemu topieniu pieniędzy w podtrzymywanie instytucji nie dających nadziei na podjęcie nowoczesnych badań.

Zaprzecza tej pogłosce poseł Andrzej Smirnow, pracownik naukowy Politechniki Warszawskiej, zaś w Sejmie — przewodniczący Komisji Edukacji, Nauki i Postępu Technicznego. Mówi, że oskarżenie jest bezpodstawne: głodzone są wszystkie działy budżetowe, na tle innych działów nauka nie wypada źle. W budżecie na 1992 r. otrzymuje blisko osiem milionów złotych (czyli niemal dokładnie 15 dolarów na mieszkańca naszego kraju — JJ).

Andrzej Smirnow mówi: „To nie jest tylko problem pieniędzy. Japonia ma jasną doktrynę rozwoju nauki i ma wielki kapitał finansujący badania naukowe. Budżet państwa pełni tam rolę wspomagającą. My nie mamy kapitału i nie mamy doktryny. Mamy za to strukturę nauki ukształtowaną w okresie komunistycznym. Ani organizacja ani infrastruktura polskiej nauki nie przystają do potrzeb przyszłej gospodarki".

Czy osoby odpowiedzialne za przeżycie polskiej nauki wiedzą i wierzą, że nauka może być motorem wzrostu gospodarczego?

Andrzej Smirnow mówi, że generalnie tak powinno być, tak jest na Zachodzie. Lecz w Polsce związki z gospodarką są zbyt luźne, aby impuls wzrostu został osiągnięty. Obecnie, mówi poseł Smirnow, dział nauki u nas jest wciąż jeszcze nastawiony na przetrwanie personelu i przestarzałych struktur, nie pasujących do nowego modelu gospodarczego. Ten stan trzeba zmienić. To wymaga czasu. Ile czasu?

Tego nikt nie wie. Poza tym, tak czy owak, w budżecie nie ma dodatkowych pieniędzy.

A więc — *no win.*

*Jerzy JASTRZĘBOWSKI*

# *Wywiady „Kultury"*

## Jan Krzysztof Bielecki

ROZMAWIAŁA TERESA TORAŃSKA*

— *Ale pan urósł przez ten niecały rok premierowania.*

— Czy to pytanie?

— *Stwierdzenie.*

— Janusz Lewandowski niedawno powiedział mi to samo, więc nie jestem zaskoczony. Janusz jest moim przyjacielem, znam go dobrych dwadzieścia lat i przez te lata Janusz patrzył na mnie niezmiernie pogardliwie.

— *Jest starszy o miesiąc?*

— Młodszy o miesiąc i był niżej na studiach. Ale Janusz przyjechał na uniwersytet do Gdańska jako prymus z Lublina, później był jednym z najwybitniejszych studentów, w czasie studiów wykonał gigantyczną pracę nad sobą i kiedy spotkaliśmy się już jako asystenci uniwersytetu na wychowaniu fizycznym dla pracowników naukowych, asystent Lewandowski na asystenta Bieleckiego patrzył, łagodnie mówiąc, z przymrużeniem oka. Kiedy przestałem być premierem oświadczył mi, że przeskoczyłem siebie dziesięć razy, co potwierdza wprawdzie pani tezę, ale nienajlepiej świadczy o Polsce. Bo oznacza, że Polska jest krajem wielkich możliwości, ale i krajem bez konkurencji. Uczyć bowiem powinno się w szkole.

— *Nie wiem co powiedzieć, kokieteria to czy gorycz?*

— Ani jedno ani drugie. Problem w moim przypadku jest dość prosty. Są ludzie, którzy w trudnej sytuacji życiowej zaczy-

* Rozmowa miała miejsce przed paroma miesiącami.

nają ubolewać nad swoim losem. I są ludzie, którzy wtedy wznoszą się na swoje wyżyny, powiem tak ambitnie. Ja, broń Boże, nie mam wielkiego mniemania o sobie, ale cokolwiek robię w życiu, czy gram w piłkę, czy jeżdżę ciężarówką, staram się robić to jak mogę najlepiej i maksymalnie szybko się uczyć. Kiedyś, w 1987 r., zafascynowało mnie wystąpienie papieża na Westerplatte, które było dokładnie zgodne z ideologią, jaką mam na własny użytek. Papież powiedział, zwracając się do młodzieży i próbując odbudować jej zdrowie moralne, że każdy człowiek ma w życiu swoje Westerplatte, takie miejsce, taką sprawę, kiedy już nie może się cofnąć, kiedy nie bacząc na konsekwencje musi być po prostu... dobry, tak to nazwijmy.

— *Był pan?*

— Widzi pani, myślę, że jestem kolejnym przykładem człowieka, który okazał się średnio lub mało skuteczny w sprawach wewnętrznych, a niezwykle skuteczny na zewnątrz. Zewnętrzne sprawy udało się dość szybko załatwić, wewnętrzne — nie.

— *Po kolei. Najpierw miał pan być ministrem przemysłu w pierwszym rządzie Olszewskiego, montowanym przez niego w grudniu 1990.*

— Była taka propozycja.

— *I pan nie chciał?*

— Wydała mi się mało konkretna. Miałem zresztą wrażenie, że ludzie, formujący ten rząd bardzo chcą zdobyć władzę, ale nie było dla mnie do końca jasne — po co. Co zamierzają z nią zrobić. Teraz zresztą dokładnie to widać. Brakuje im programu.

— *A pan miał?*

— Proszę pani, po pierwsze: gdybym przez rok konsekwentnie zmierzał do zdobycia władzy, to jednak miałbym coś do powiedzenia, przynajmniej na początku; po drugie: liberałowie mieli wyraźny program — przychodziliśmy ze swoją definicją prywatyzacji, którą uważaliśmy za konieczną, rozumieliśmy problemy w mikroskali, w mikroekonomii, na poziomie przedsiębiorstwa. Przy Balcerowiczu, który był od makro, mogło to przynieść nawet nie najgorszą kombinację. A po trzecie: zostałem premierem przez przypadek.

— *Dlaczego pan?*

— Proszę spytać prezydenta.



— *Więc na jakich warunkach?*

— Nie było żadnych warunków.

— *O nie, po pierwsze: przyszedł pan na fali wielkich obietnic, złożonych przez Wałęsę. Wyliczyć?*

— Przyznam się, że obejmując tę funkcję nie myślałem w kategorii obietnic, ale w kontekście programu gospodarczego, przedstawionego przez Wałęsę w czasie kampanii wyborczej, który w jakimś stopniu współtworzyłem.

— *Po drugie: miał być pan zderzakiem.*

— (Uśmiech) rzeczywiście, Wałęsa miał taką koncepcję. teraz ją znowu przypomniał, mówiąc, że „rządy będę jak zderzaki zmieniać", czyli rząd Olszewskiego jest kolejnym takim „zderzakowym" przypadkiem.

— *O co chodzi, po polsku proszę.*

— Wałęsa wyobrażał sobie, że powoła rząd, którym będzie sterował, jego kierownicy będą przychodzić i odchodzić, Wałęsa będzie ich jak rękawiczki zmieniać. W moim przypadku to jednak nie nastąpiło.

— *Nie był pan pierwszą parą?*

— Do słów Wałęsy, proszę pani, nie należy w ogóle podchodzić emocjonalnie. Tylko ustalić na czym jego koncepcja polega, kto jaką ma suwerenność w procesie podejmowania decyzji. Ja zresztą głęboko wierzę, że on działa spokojnie i jest człowiekiem, który potrafi bardzo często nie tylko podejmować dobre decyzje, ale również poprawnie widzieć rozwój sytuacji. Mogę powiedzieć, że od samego początku miałem bardzo dużą swobodę i właściwie nie było żadnych prób ingerencji z jego strony w sprawach dla mnie istotnych.

— *A zostawienie Balcerowicza? To po trzecie.*

— Z mojego punktu widzenia usunięcie Balcerowicza w styczniu 91 r. było krokiem zupełnie niepojętym, bo gdy się wykonuje określony gest polityczny, to po nim powinny następować operacyjne ustalenia i racjonalizacja działań, czyli kto — zamiast co i jak. To jest oczywiste. Na te pytania nie znajdowałem odpowiedzi, więc zrezygnowanie z Balcerowicza byłoby pustym krokiem. W tym zgadzaliśmy się z prezydentem, bo Wałęsa też był zwolennikiem zostawienia Balcerowicza na stanowisku wicepremiera i ministra finansów.

— *Podobno pod naciskiem Waszyngtonu.*

— Nie było żadnych nacisków.

— *To po co Jan Nowak-Jeziorański przyjeżdżał wtedy do Polski?*

— Myślę, że za 10 lat będziemy mogli o tym porozmawiać i będzie to rozmowa o psychologii, a nie o polityce. Ja w każdym razie chciałem pracować z Leszkiem Balcerowiczem, podobnie jak ze Skubiszewskim. Proszę pamiętać, że przychodziliśmy z ulicy, nie z administracji państwowej, szczególnie wysokiego szczebla. Nominację otrzymałem niespodziewanie i nie uważałem, żebym do tej roli był najlepiej przygotowany. W pierwszym okresie musieliśmy się przyjrzeć, jak taki rząd w ogóle działa. Dla mnie więc Balcerowicz — po jednej stronie i Skubiszewski — po drugiej to były te dwa doświadczone filary, które — wydawało mi się, wtedy nie wiedziałem jeszcze, że niesłusznie — będą nadawać kierunek i tempo pracy tego rządu. Chociaż, oczywiście, zdawałem sobie sprawę z tego, że zinterpretowane to zostanie jako kontynuacja dotychczasowej polityki gospodarczej, a nie przełom, jak zapowiadał Wałęsa, co było dobre w odbiorze zewnętrznym, ale źle przyjęte w kraju.

— *Po kilkadziesiąt strajków dziennie, a każdy pod hasłem: precz z Balcerowiczem.*

— Wtedy jeszcze: precz z popiwkiem i nie było żadnego, nawet na sekundę, zatrzymania tej fali niezadowolenia, odbywającej się w ramach wielkiej bitwy o popiwek. A więc nie nastąpiło to, co było typowe dla Polski komunistycznej, że wystarczyło zmienić premiera, aby uzyskać jakąś ulgę.

— *Co mama powiedziała?*

— Mama? Nic. Była załamana.

— *Czym?*

— Tym, że taki kataklizm biorę na swoją głowę. Była przerażona.

— *Nie prosiła: nie bierz?*

— No wie pani! Moi rodzice, moja najbliższa rodzina nigdy w ten sposób ze mną nie dyskutowała. Wszystkie życiowe decyzje podejmowałem samodzielnie i nigdy ich nie żałowałem, a ponieważ biografię mam dość skomplikowaną — mój życiorys to ciągłe wędrowanie, albo wymuszone przez życie, albo wynikające ze świadomego wyboru — więc sytuacje, w jakich się znajdowałem, wymagały ode mnie wielu, bardzo wielu decyzji. Podejmowałem je często wbrew zdrowemu rozsądkowi, tylko w oparciu o własne przekonanie, że tak trzeba. Wszyscy więc właściwie przyzwyczaili się, że jakiekolwiek rodzinne dysputy na mój temat niczego nie dadzą i jedyne, co mogą zrobić, to mi nie przeszkadzać.



— *I od czego pan zaczął?*

— Za mnie, powiem tak mało odkrywczo, zaczęto. W kraju toczyła się wielka bitwa o popiwek, a poza krajem rozpoczęły się same szaleństwa, które powodowały, że czas biegł niezwykle szybko. Agresja sowiecka na Litwę

— *W przeddzień objęcia przez pana urzędu*

— potem wojna w Zatoce Perskiej,

— *5-tego dnia urzędowania*

— potem dramatyczna wizja wojny domowej w Jugosławii, wreszcie pucz w Moskwie. Taka sekwencja. I jeszcze nie do końca załatwione polskie sprawy, które musieliśmy finalizować natychmiast: redukcja naszych długów, zwolnienia wizowe z państwami europejskimi, stowarzyszenie z EWG, które wydawało się nam, że podpiszemy już w maju — to z Zachodem i wyprowadzenie wojsk sowieckich z Moskwą. Bardzo absorbujące. Można było dużo stracić i niewiele zyskać. Te sprawy odciągały uwagę od spraw wewnętrznych. Z perspektywy roku oceniam jednak, że w sumie były one najłatwiejsze, o tych z Zachodem mówię.

— *Bo z Moskwą?*

— To zawiła, długa opowieść.

— *Więc — łatwiejsze?*

— Z bardzo prostej przyczyny. Dlatego, że moja aktywność na zewnątrz i możliwości załatwiania zewnętrznych spraw były oparte na przejrzystości celów, jakie pragnąłem osiągnąć, konsekwentnych działaniach z naszej strony, by je osiągnąć i na normalnych warunkach, w jakich się poruszaliśmy.

— *Zderzyliście się z partnerem normalnym?*

— Właśnie, na przykład przy redukcji długu. Balcerowicz najpierw zażądał 80%. Rozpoczęliśmy negocjacje. Szybkie telefony po całym świecie. Budowanie lobbingu. Szukanie porozumienia

z ludźmi rozsądnymi. W Polsce porozumienie jest bardzo często pustym gestem, natychmiast łamanym. Tam, na świecie, wystarczy nieraz przez telefon porozmawiać, żeby dojść do rozwiązań, które będą później rzeczywiście realizowane. Myślę jednak, że najważniejszą dla mnie sprawą było to, że działając na zewnątrz, czułem się właściwie, może niesłusznie, ale czułem się człowiekiem, który ma siłę decyzji. Sytuacja pod tym względem była czysta, w przeciwieństwie do polskiej, cały czas niejasnej. Czyli jeżeli Balcerowicz powiedział 80%, a ja w końcu zgodziłem się na 50, a nie na 30 — jak nam sugerowano, czy 40 — do czego usiłowano nas złamać, oznaczało to, że decyzja była w moich rękach i ja czułem tylko odpowiedzialność moralną jako ten czynnik ograniczający. Postępowałem wtedy prawdopodobnie trochę antydemokratycznie, czy niedemokratycznie, bo być może nasze stanowisko negocjacyjne do rozmów o stowarzyszeniu z EWG — na przykład — powinno się przedyskutować nie tylko w rządzie, ale także bardziej wnikliwie w parlamencie, z komisją współpracy zagranicznej czy komisją zagraniczną. Tutaj na pewno można znaleźć jakieś uchybienia w sztuce z naszej strony, ale gwoli usprawiedliwienia powiem, że zależało nam na czasie, a z sejmem miałem już pierwsze doświadczenie.

— *Sejm był wtedy zresztą strasznie zajęty kłótniami o termin wyborów parlamentarnych: na wiosnę, czy w jesieni.*

— Szkoda, że nie odbyły się na wiosnę. Niestety, nie było na to siły politycznej.

— *Przecież Wałęsa ich nie chciał.*

— Potem już chciał.

— *Ale najpierw nie chciał.*

— Najpierw nie chciał.

— *Wracamy do Moskwy?*

— W Moskwie byłem w kwietniu. Pierwsza wizyta. Przyjęto mnie dobrze.

— *Czyli jak?*

— Mnie akurat dobrze się z nimi rozmawiało. Może dlatego, że mnie w ogóle odpowiada ich osobowość, ich — powiedziałbym — nieufność w stosunku do nas. Ona wynika często z tego, że oni nas traktują jak ludzi Zachodu i mają wobec nas jakieś



— *kompleksy?*

— Szukałem łagodniejszego słowa, ale może trzeba powiedzieć, że tak, nawet kompleksy. I kiedy zobaczą, że siedzi przed nimi normalny człowiek, coś w nich pęka. Jak szliśmy do Gorbaczowa uprzedzono mnie, że Gorbaczow to człowiek, z którym nie prowadzi się żadnego dialogu, on nie słucha, tylko mówi, a jeżeli ktoś chce się odezwać, to przerywa i wygłasza swoje *exposé*, po czym spotkanie się kończy. Ze mną tak nie było, chyba potrafiłem przełamać tę konwencję i rozmowę z Gorbaczowem będę pamiętał do końca życia. Była niesamowita. Miała dwa wymiary. Jeden — powiedzmy — oficjalny, kiedy ja mówiłem o tym, że jeżeli rzeczywiście mamy zostać przyjaciółmi, dobrymi sąsiadami itp., to po co nam to wasze wojsko, dlaczego wy nie chcecie go wycofać. On mi na to, że wszystko między nami idzie dobrze. A ja, że nic nie idzie dobrze. Nie używałem słów dyplomatycznych, chcąc po prostu dojść do jakiejś konkluzji. Mówię: harmonogram wycofania jest, ale jakby go nie było, bo w harmonogramie powinno być napisane, kiedy chcecie się wycofać, ile wojska i w jakim czasie. Gorbaczow, zauważyłem, reagował pozytywnie i widać było, że chce coś z tym zrobić.

— *Już nie mógł?*

— Nie, nie, on czuł się pewnie na stanowisku, ale widoczna była różnica zdań między nim a wiceministrem spraw zagranicznych Kwiecińskim i ministrem Biessmiertnikiem. W pewnym momencie zmienili temat i nagle zapytał o polskie reformy. Jak je widzę. Zacząłem mówić, przerwał mi i próbował wytłumaczyć, że oni też robią takie reformy jak my. Powiedziałem wtedy, że reformy, które oni myślą, że robią, to nie są żadne reformy, bo w ogóle nie mają aspektu monetarnego, są jedynie administracyjną próbą ustanowienia ceny rynkowej, co z założenia jest niemożliwe. Prawdziwa reforma musi być wsparta polityką pieniężną, więc najpierw trzeba stworzyć pieniądz, a potem dopiero można mówić o jakimś równoważeniu popytu z podażą. Bo to równoważenie musi się przecież odbywać przy pomocy określonych jednostek monetarnych. Gorbaczow wysłuchał tego, zdawało mi się, życzliwie i miałem wrażenie, że chce mnie o coś zapytać. Ale widziałem wyraźnie, że nie bardzo wie, o co konkretnie: po prostu nie bardzo rozumiał, o czym ja mówię, zupełnie jak moja babcia, kiedy usiłowałem jej tłumaczyć, o co teraz w Polsce chodzi — więc może to kwestia pokoleniowa. Było to nawet dość przykre, bo on naprawdę starał się zrozumieć, ale nie potrafił. Dla niego opisywałem inny świat. Z drugiej zaś strony już wtedy miał chyba potrzebę odniesienia sukcesu, szukał go i natrafił na barierę.

— *Własnej niemocy, czy oporu aparatu?*

— Chyba własnego braku determinacji. Odebrałem go jako człowieka, który jest wielkim taktykiem, ale nie jest wielkim przywódcą z dalekowzroczną, długofalową strategią działania.

— *Rozmawialiście po rosyjsku?*

— Nie, był tłumacz, ale ja znam trochę rosyjski, więc czasami wtrącałem rosyjskie zwroty lub coś szybko po rosyjsku odpowiadałem. Wie pani, ja nie mam żadnych kompleksów, że jestem z jakiegoś lennego państwa, więc nie ma we mnie oporów mówienia w obcym języku w czasie oficjalnych wizyt. Mogę po rosyjsku i po angielsku, aby się jak najszybciej porozumieć. W czasie rozmowy z Gorbaczowem chodziło mi o to, żeby maksymalnie zagospodarować tę godzinę wyznaczoną na spotkanie, a gdy się zorientowałem, że ono toczy się dobrze, zacząłem przyspieszać rozmowę na różne sposoby, żeby w niej jak najwięcej zostało powiedziane.

— *A Rosjan nie denerwowało, że Polacy znowu wszystko wiedzą lepiej?*

— To mi już ambasador Ciosek mówił. Przed spotkaniem z Gorbaczowem zwrócił mi na to uwagę. Sądzę, że to cenna uwaga, zgadzam się z nią. Dlatego starałem się uważać, żeby Rosjanie nie odnieśli wrażenia, że ja tutaj, przedstawiciel małego w końcu państwa w porównaniu z tym imperium, a wszystko wiem lepiej. Ale kiedy próbował mówić na okrągło, odpowiadałem panowie, no to teraz, jak już się tak lubimy, dajmy tego konkretne dowody. Po pierwsze: jeżeli ktoś kogoś lubi to nie musi koniecznie trzymać wojska. Po drugie: jeżeli ktoś chce z kimś robić interesy to sprawą nadrzędną w interesach jest wiarygodność. Bez wzajemnego zaufania trudno kontynuować współpracę. Powiedziałem premierowi Pawłowowi: jeżeli zapłacicie nam dzisiaj za te statki to będzie konkretny dowód. I oni wtedy sformowali jakąś grupę roboczą, która poszła z Ledworowskim i zaczęła szukać sposobu na zapłacenie w dolarach statków, które myśmy wyprodukowali i im dostarczyli.

— *Nie mówili, że nie mają czym?*

— Oni cały czas to mówili! Ale ja im odpowiadałem: panowie, w takim dużym kraju kilkadziesiąt milionów dolarów, to jeszcze powinno się znaleźć. Uważałem, że to niemożliwe, by nie było.

— *Znalazło się?*



— Nie. To znaczy teoretycznie wyjechaliśmy z załatwioną sprawą, ale transfer pieniędzy nie nastąpił.

— *Więc jednak.*

— Nie jestem zwolennikiem spiskowej teorii dziejów i nie wydaje mi się, żeby to była taka wielka gra z ich strony, oni rzeczywiście szukali rozwiązania tego problemu. To zresztą sprawiało wrażenie dość humorystyczne, gdy ich wicepremier i trzech ministrów razem z naszym ministrem szukali ich pieniędzy. Ale wie pani, ja z kolei nie chciałbym, żeby pani wyciągnęła z tego wniosek, że wystarczy tam pojechać, przeprowadzić jednorazową operację i można uzyskać rzeczy, nad którymi trzeba latami pracować. Bo zaufanie się buduje, a nie zdobywa w ciągu jednej nocy. Chyba że będziemy mówili o szczególnej formie zdobywania zaufania.

— *A czy Rosjan nie denerwuje, że teraz bliższa nam Ameryka?*

— No, na pewno.

— *Że teraz wolimy wisieć w Waszyngtonie?*

— Na pewno w nich wielkoruskie myślenie dalej występuje. Mimo to musimy się starać o dobre z nimi stosunki. Pozyskanie ich zaufania jest przecież dla nas niezwykle istotne z punktu widzenia naszej strategii. Jest to imperium, które bez względu na ile republik się rozpadnie — piętnaście, czy pięćdziesiąt, pozostanie imperium, z którym musimy być w dobrych układach. Stworzenie takich układów wymaga od nas stabilnej i konsekwentnej pracy i sądzę, że są na to realne możliwości. To widać było po tych wszystkich naszych późniejszych spotkaniach z rządami Ukrainy i Białorusi. Zaczynały się od ogromnej nieufności z ich strony, silnych uprzedzeń. I dopiero potem, jak się rozkręcili przy obiedzie wieczornym, powiedzieli, co było tego przyczyną. Oni myśleli, że jesteśmy okropnie zadufani w sobie, że jesteśmy...

— *polskie pany?*

— Coś w tym sensie, a tu okazało się, że jesteśmy normalnymi ludźmi. Zaczęli wstawać, przemawiać, nie bacząc na protokół dyplomatyczny. Bo według protokołu to najpierw ja jako gospodarz powinienem zabrać głos, potem ich premier itd. Ale oni nie potrafią zachować protokolarnej atmosfery. Nagle wstaje minister kultury Ukrainy i zaczyna śpiewać jakąś pieśń dla uczczenia tego obiadu. Ze strony Ukrainy i Białorusi jest wola dialogu i trzeba ją wykorzystać.

— *A Litwy?*

— No wie pani, często bywa tak, że jak się nie najlepiej zacznie, to później są komplikacje. Myśmy z Ukrainą zaczęli dobrze, więc jest dobrze, a z Litwą — myślę — nie najlepiej.

— *Fatalnie. Landsbergis do Polski przyjeżdżał dwa razy. Za pierwszym razem czekał na spotkanie z Mazowieckim na granicy w Ogrodnikach, za drugim razem — będąc w Warszawie — czekał na telefon od Wałęsy. Mazowiecki w końcu po 10 godzinach odjechał, Wałęsa jednak nie zadzwonił. O co chodzi?*

— Moim zdaniem między Wałęsą a Landsbergisem doszło do ambicjonalnych problemów.

— *Czyli?*

— Landsbergis po prostu chciał to spotkanie rozegrać w oparciu o fakty dokonane. Jadę, przejeżdżam przez państwo polskie, będę tu i tu, chętnie się zobaczę, a jakieś tam sprawy formalno-wizowe mnie nie interesują.

— *Czyli jak nasi jeszcze przed trzema laty.*

— I wtedy jest pytanie: czy należy zareagować protokolarnie, czy na uchybienia protokolarne przymrużyć oko.

— *Nas przyjmowano.*

— Zgadza się. Mnie też nie przeszkadzało, że premier Ukrainy przemówił przede mną. Wałęsa jednak Landsbergisa potraktował formalnie. Bo sprawa z punktu widzenia protokołu dyplomatycznego była czysta, Wałęsa nie miał żadnych uzasadnień, żeby się z Landsbergisem spotkać.

— *A pan?*

— On za bardzo o to nie zabiegał.

— *Mógł pan zaproponować.*

— Proszę pani, jeżeli prezydent nie chciał się spotkać lub zachowywał się tak, jakby nie chciał się spotkać, to gdybym wystąpił z podobną inicjatywą, byłaby ona nieczytelna dla Landsbergisa.

— *A może chodziło panu o Wałęsę?*

— Nie, nie, byłaby nieczytelna przede wszystkim dla Landsbergisa. Bo mogłaby świadczyć o tym, że my chcemy np. zdewaluować jego pozycję. Landsbergis jest przecież prezydentem i obowiązuje zasada odpowiedniości.



— *Z Havlem Wałęsa też nie chciał się spotkać.*

— Jest to problem, który ja nazywam poczuciem własnej siły.

— *A może kompleksów?*

— Ja nazywam — poczuciem siły. Jeżeli ktoś się czuje mocny, nie musi co chwila otrzymywać potwierdzenia własnej mocy, bo on sam ma wystarczającą siłę wewnętrzną, która mu pozwala te wewnętrzne problemy z samym sobą rozwiązywać. Natomiast, jeśli ktoś nie czuje się do końca mocny, wtedy chce mieć dowody swojej mocy i na każdym kroku ich szuka. Chce stałego potwierdzenia, że jest wielkim mocnym człowiekiem i zabiega o autorytet formalny. Autorytet formalny jest naturalnie dobry, ale nie gwarantuje przywództwa.

— *Wałęsa — słuchał?*

— Wie pani, „słuchać" po polsku jest określeniem nieprecyzyjnym, bo oznacza albo przysłuchiwanie się, albo wykonywanie poleceń. Angielski różnicuje te znaczenia, bo jest *obey* i *listen*, i jeszcze *keep hold*. Mogę więc powiedzieć tylko, że Wałęsa słuchał tego co mówię i to była już dla mnie ważna sprawa. Słuchał moich argumentów i czasami je później powtarzał w jakiejś rozmowie, czyli czasami osiągałem to, o co w sumie chodziło, bo nie szło mi o autorstwo pomysłów, ale by je realizowano.

— *Często go pan widywał?*

— Tak, tak. Wałęsa stworzył mi pod tym względem znakomite warunki. Przychodziłem do niego niezapowiedziany, kiedy chciałem, albo rano, albo wieczorem.

— *I Wachowski dopuszczał?*

— Ja się, proszę pani, Wachowskiego nie pytałem. Po prostu wchodziłem do gabinetu. Albo dzwoniłem. Wystarczyło podnieść słuchawkę i był.

— *A rozmowa z nim, jak wyglądała? Czy jak z ministrem sprawiedliwości, Wiesławem Chrzanowskim?*

— ?

*— Nie oglądał pan telewizji. Wałęsa krzyczał, że pogoni tych komunistów, tych złodziei, tych aferzystów, z całego 50-lecia, a Chrzanowski, prawnik w końcu, zamiast go poinformować o prawnej procedurze i instytucji przedawnienia, mówił pokornie: tak, tak, panie prezydencie.*

— Wałęsa nigdy ze mną w ten sposób nie rozmawiał.

*— A jak? W sprawie popiwku, na przykład?*

— W sprawie popiwku Wałęsa był zdecydowanie prorządowy i wystąpił ostro przeciwko oświadczeniu Komitetu Doradczego, kiedy ogłosili, że popiwek jest zły i trzeba go znieść.

*— Było inaczej. Pan nie pamięta. Najpierw prezydent podpisał ustawę o popiwku, potem stwierdził, że popiwek jest do niczego i powołał Komitet Doradczy. Komitet Doradczy zażądał zniesienia popiwku, w tym samym zresztą dniu, w którym rząd przystąpił do negocjacji ze związkami zawodowymi. A później, kiedy demonstracje podeszły pod Belweder i Urząd Rady Ministrów, poszedł pan do Wałęsy z Balcerowiczem na śniadanie i Wałęsa wydał oświadczenie, że popiwek jest dobry i on jako prezydent popiera antyinflacyjną politykę rządu.*

— No bo to jest cały Wałęsa, proszę pani. Teraz bossem w Polsce zresztą trudno być. Chociażby z tej prostej przyczyny, że nie ma ani kija ani marchewki, które pomagają nim zostać. Bossów zresztą Polacy nie lubią. Polakami w ogóle z pozycji bossa nie da się rządzić, w moim przekonaniu jest to niemożliwe. My nie jesteśmy społeczeństwem, które ma genetycznie wbudowaną dyscyplinę formalną. Myślę, że tylko przez wyrobienie sobie pozycji *coach*'a można teraz osiągnąć sukces.

*— Pan próbował i co?*

— Proszę pani, dwie sprawy trzeba oddzielić, postrzeganie rządu przez społeczeństwo, to jedna sprawa i o niej jeszcze porozmawiamy, i uregulowanie problemów wewnątrzrządowych. Nagle, zupełnie dla mnie niespodziewanie okazało się, że sprawa przywództwa jest w rządzie sprawą fundamentalną. Przy wielkich indywidualnościach, to przywództwo musiało być uzyskane w sposób naturalny, a nie osiągnięte przemocą.

*— Uzyskał je pan?*

— Proszę spytać Balcerowicza.

*— Zaskakujące.*



— Dla mnie też było to zupełnie zaskakujące. Nagle odkryłem, że Balcerowicz jest genialnym facetem, wybitnym polskim ekonomistą, ale jako numer drugi, to zresztą jego dramat.

*— Chodzi o brak politycznej zręczności?*

— Nie, nie, Leszek oczywiście nie jest zbytnio polityczny, ale to sprawa drugorzędna. Jemu brakuje trochę szaleństwa, trochę niekonwencjonalności, co przy naszym eksperymencie jest ważne. Nie umie zrobić samodzielnego kroku, potrzebna mu jest idea, tak w świecie polityki, jak i gospodarki. Trzeba mu rzucić pomysł, wtedy on genialnie go analizuje, wtedy jest świetny w swoim ścisłym, zorganizowanym sposobie myślenia. Przepuszcza pomysł jak gdyby przez maszynkę, na dziesiątki sposobów bada, dosłownie jak komputer i przedstawia ciekawą odpowiedź. W związku z Balcerowiczem wystąpił też problem, jak najlepiej można wykorzystać wszystkich ludzi, którzy chcieliby z nim pracować, a było takich wielu. Musiałem się nauczyć, że nie można wszystkiego robić samemu. Że musi być zespół odpowiednich do współpracy ludzi. Żeby zaś oceniać ich przydatność do pracy w konkretnym zespole, trzeba poznać ich umiejętność tworzenia nowych zespołów, które będą wymuszać tempo pracy. W pewnym sensie podświadomie, a może czasem i świadomie przenosiłem atmosferę pracy z mojej spółdzielni consultingowej „Doradca", którą z kolegami założyłem w Gdańsku w połowie lat osiemdziesiątych. Tam był dwudziesto-, a ze współpracownikami 50-osobowy zespół ludzi i jak się z nimi coś ustaliło, było to wykonywane. Nie obowiązywały żadne godziny urzędowania, tylko ta elementarna zasada. Dzięki temu każdy wiedział co robić, był odpowiedzialny za to co zrobił i jeden do drugiego miał zaufanie, że praca będzie w uzgodnionym terminie wykonana. Żeby jednak te zasady stosować potrzebne są: wspólnota realizowanych celów, poczucie pewnej stabilizacji oraz motywacja — materialna, psychologiczna itp.

*— Udało się? Bo ja, przyznam się...*

— Proszę pani, administracja państwowa to taki moloch, taka galareta, która strasznie słabo myśli, to jest zupełnie niepojęte. Ta machina ma tak wielką inercję, że człowiek czasami w ogóle nie pojmuje, z czego to wynika. Bo jeżeli na przykład jest się za granicą i dowiaduje się, że właśnie ambasador zgłosił coś sensownego i nikt nie zareagował, że coś nasze przedstawicielstwa handlowe proponowały i ich pisma pozostały bez odpowiedzi, że ktoś w kraju miał jakiś pomysł, który w ogóle nie był rozpatrywany, to tłumaczenie, że to wszystko jest wynikiem niskich płac, selekcji negatywnej, czy wypływa z poczucia tymcza-

sowości jest naprawdę niewystarczające. Ja — może wstyd się do tego przyznawać — ale ja dopiero gdzieś w kwietniu, albo w maju, miałem wreszcie czas zdecydowanie głębiej zająć się sytuacją wewnętrzną, gospodarką, zacząłem dopiero rozumieć, o co właściwie chodzi. My po prostu wciąż tkwimy — psychicznie i fizycznie — w strukturze komunistycznej, petryfikacja komunizmu nawet postępuje, przez dwa lata w Polsce żadne zmiany strukturalne nie nastąpiły.

*— Czyli dekomunizatorzy mieli rację?*

— Proszę pani, zależy co pod tym pojęciem się kryje. Jestem za łamaniem struktur, ale nie ludzi. Ludzie muszą mieć poczucie bezpieczeństwa. Mam nadzieję, że teraz Olszewski — jak obiecywał — te struktury komunistyczne rozbije.

*— A Najder ze swoim pomysłem zwołania konferencji ekonomicznej w Belwederze, oceniającej politykę rządu, miał rację?*

— Nie, nie miał. I to mu powiedziałem. Komitet Doradczy wymyślił zorganizowanie narady, chyba już w lutym, a więc po miesiącu naszego urzędowania, w czasie największych strajków.

*— A Wałęsa go poparł.*

— I Najder, kiedy go spotkałem, próbował mnie przekonywać, że ta konferencja ma pomóc rządowi.

*— Nie miała?*

— Nie, absolutnie nie. Ja zresztą Najderowi odpowiedziałem wtedy, zawsze staram się odpowiadać w prosty sposób i zawsze zmierzam do ustalenia konkretów: jeżeli konferencja ma pomóc rządowi, ma służyć rządowi, to rząd musi być jej współorganizatorem, rząd musi wiedzieć, kogo się na nią zaprasza, po co zaprasza i jakie tematy będą na niej omawiane. To są podstawowe sprawy, które z góry muszą być ustalone. A jeżeli nie są, to albo organizowanie jej zaczynamy od początku, albo sami organizujecie ją nadal i wtedy jest to „wasza", a nie „nasza" konferencja. Najder dalej usiłował mnie przekonywać, że to „nasza" konferencja. Powtórzyłem: jeżeli „nasza", róbmy ją razem, dla mnie to proste jak drut. Ale widzi pani, u nas najważniejsza jest gra słów, a gra słów bardzo rzadko jest sprowadzana do konkretów, z których jasno wynika o co chodzi. Trudno więc na tym poziomie podejmować jakąkolwiek polemikę. U nas bowiem ktoś powie, głośno powie — a najlepiej krzyknie, bo krzyk wywiera wrażenie — że to jest „nasza" konferencja i to w zupełności wystarcza, nie trzeba już tego udowadniać.



*— Nie wystarcza.*

— Wystarcza, żeby być skutecznym. My cały czas poruszamy się na poziomie hasła, sloganu, żeby nie powiedzieć banału w życiu publicznym.

*— Konferencja — kilkakrotnie przekładana — w końcu odbyła się w połowie maja i pan — choć zapowiadał, że nie przyjdzie — przyszedł.*

— Przyszedłem z tej prostej przyczyny, że uważałem, iż nie mogę wysłać na nią samego Balcerowicza. Bo o co od początku chodziło? Przecież o to, by na tej konferencji zmieść Balcerowicza, dokładnie o to.

*— I upokorzyć.*

— Więc niezależnie od tego, co sądzę o Balcerowiczu i jego pomysłach, musiałem przy nim być. To taka prosta zasada.

*— Wie pan, ja dopiero wtedy zrozumiałam, o czym właściwie jest ten dowcip o piekle, kotle ze smołą niepilnowanym przez diabły i o Polakach.*

— Miałem do wyboru, była długa debata na ten temat: albo wycofać całą ekipę rządową, chodziło mi po głowie, albo z całą ekipą przyjść.

*— Trzeciego nie było?*

— Myślę, że mogliśmy wtedy zastosować trick personalny i trick finansowy.

*— Trick czyli kant?*

— No tak, celowo użyłem tego słowa. Mogliśmy wykonać jakiś ruch pod publiczkę, pod oczekiwania.

*— Pan — chciał?*

— Nie, nie chciałem, wskazuję tylko na pewne możliwości. Finansowy trick polegałby na tym, żeby z pewnymi trudnymi decyzjami, jak z zamrożeniem płac w sferze tzw. budżetowej (ohydne słowo, ale trudno znaleźć lepsze) poczekać spokojnie do wyborów, co dobrze by także wpłynęło na wynik wyborów jesiennych, bo to lekarze, nauczyciele, 2,5 mln ludzi, którzy zawsze mieli źle w Polsce, elektorat dosyć wierny „Solidarności", który teraz ma prawo czuć się mocno zawiedziony w sensie materialnym. A trick personalny polegałby na tym, żeby usunąć Balcerowicza.

*— W maju?*

— Tak, w czasie narady belwederskiej, albo jeszcze lepiej — ciut wcześniej. Co wielu nam sugerowało.

*— Znaczy rzucić go masom na pożarcie.*

— No tak, ryczącemu tłumowi rzucić na pożarcie kolejną ofiarę, co da ileś tam tygodni, czy miesięcy względnego spokoju. Byli ludzie, wielu ludzi, którzy uważali, że to potrzebne, że skoro nie może być lepiej, to niech się przynajmniej coś dzieje, niech będzie widać jakąś zmianę, że masy chętnie coś zjedzą. Przekonywano mnie, iż masy lubią widzieć, że ich niedola jest związana z błędami konkretnej osoby, niż przyjąć do wiadomości, że to strukturalny problem. To w końcu stary numer komunistów, stosowany przez nich wiele razy.

*— W 1980 r. z wyrzuceniem Gierka się nie udał.*

— Bo już wtedy ruszyła fala, której nie dało się zahamować. Za to do lat siedemdziesiątych działał właściwie genialnie, potem rzeczywiście słabiej, ale próbowano go jeszcze w 1988 r. stosować, wyrzucając Messnera i mianując Rakowskiego. Balcerowicz mógł być sympatycznym kąskiem, był przecież uosobieniem tych wszystkich trudności. To było widać także po krzywych jego popularności, przedstawianych przez ośrodki badania opinii publicznej.

*— Minus 17% (biorąc różnice między odsetkiem popierających a przeciwników), więc?*

— No, proszę pani, po pierwsze — nie umiem wykonywać gestów politycznie zręcznych, a po drugie — kieruję się zawsze jedną prostą zasadą: albo ulica decyduje, albo ja decyduję. A jeżeli ja decyduję, to muszę mieć przekonanie co do zasadności i uczciwości podejmowanej decyzji. Ja mogłem się rozstać z Leszkiem Balcerowiczem, ale wtedy kiedy uznałbym, że z punktu widzenia funkcjonowania rządu, byłaby to decyzja rozsądna. Takiego przekonania nie miałem i wszelkie naciski zewnętrzne powodowały we mnie reakcję odwrotną, wyzwalały chęć bronienia Balcerowicza bardziej niż dotychczas. Choć być może z punktu widzenia sytuacji jego i państwa lepiej byłoby, żeby wtedy wiosną lub najpóźniej jesienią przeszedł na stanowisko szefa Narodowego Banku Polskiego. W takiej konstelacji go zresztą w przyszłości widziałem. W banku centralnym nie doszłoby wtedy do absurdu, do jakiego doszło, że już wszyscy pracownicy, którzy cokolwiek umieli — odeszli, bo zawsze w sytuacji niestabilnej, kiedy nie ma prezesa, kiedy nie ma wiceprezesa, najlepsi odchodzą. W maju jednak wyrzucenie Balcerowicza byłoby dla mnie pustym krokiem, który nie rozwiązuje żadnego problemu. Bo problemów było wiele, dyskusyjnych problemów związanych z procesem przemian zachodzących w Polsce. Rozważaliśmy, czy w odpowiednim momencie zdecydowalibyśmy się na przeprowadzenie dewaluacji dolara (ćwiczyliśmy już tę dewaluację od kwietnia), a może trzeba było ją zrobić szybciej. Czy nie powinniśmy byli obniżyć wcześniej stopy procentowej od kredytów, którą wtedy zaczęliśmy obniżać . Wtedy wydawało mi się, że potrzebne są bardziej radykalne działania, Balcerowicz z kolei mnie przekonywał, że albo stopa, albo dewaluacja.



*— Mylił się?*

— Proszę pani, po pierwsze: mylić się jest rzeczą ludzką, a po drugie: nie można tak jednoznacznie oceniać. Żaden z nas nie czuł się pewny swego zdania, bo przecież my wykonywaliśmy pewien eksperyment, obarczony na dodatek ogromnym ryzykiem. Wtedy zresztą, w kilka dni później, przeżyłem wstrząs, chyba największy w tym roku urzędowania. Pojechałem do Ursusa. Ursus wywołał we mnie reakcję zupełnie dla mnie niespodziewaną. Nie mogłem się po prostu pozbierać. W biurze potem siedziałem prawie do rana. Nie powiem, co robiłem. To wyglądało, jak totalny

*— sabotaż, powiedział pan wtedy.*

— Dzisiaj użyłbym łagodniejszego sformułowania i powiedział raczej: surrealizm, zupełna klapa. Nagle znalazłem się w kraju zacofanym o jakieś 50 lat. Musiałby zegar się cofnąć, żeby zrozumieć co się tam działo. Razem z tym Gąsiorowskim, znanym członkiem zarządu spółki Art B, który uchodził wtedy za zbawcę Ursusa, a który muzykiem jest dobrym, natomiast poziom jego wiedzy o finansach i operacjach finansowych świadczył raczej o tym, że on coś gdzieś zasłyszał i wiedział, że dzwonią, tylko nie bardzo się orientował, w którym kościele.

*— Przecież w Ursusie załoga stale protestowała, albo był wiec, albo strajk, nie wiedział pan?*

— No, niby wiedziałem, że jest tam trudna sytuacja. Ale też wiedziałem, że w Ursusie bez przerwy któryś z ministrów siedział. Nie chciałem więc stwarzać niezręcznych sytuacji, że oto do jakiejś fabryki przyjeżdżam ja, premier-konsultant, który zamierza techniką ręczną naprawiać Polskę. Z reguły jest zresztą tak, że w każdym przedsiębiorstwie coś dzieje się dobrego i coś

złego, i trzeba — aby dodać sobie otuchy — umieć cieszyć się tym dobrym, walcząc jednocześnie ze złem. Ja jeżdżąc po Polsce miałem taką *ideę fixe* żeby szukać pozytywnych przykładów; marzyło mi się, aby w Polsce powstały wreszcie przedsiębiorstwa, na przykładzie których można byłoby pokazać, że zmiany są korzystne także dla ludzi w nich zatrudnionych. Że ten wolny rynek, o którym tyle mówimy, daje dobre rezultaty nie tylko w sektorze prywatnym, ale i w przedsiębiorstwie państwowym, a najlepiej w takim, które uporało się samo ze swoimi kłopotami. W Ursusie zaś, w jednym miejscu skumulowało się wszystko, co może być najgorsze. Skłócona załoga. Trzy związki zawodowe. Niekompetentny dyrektor. Biuro Handlu Zagranicznego, zatrudniające setkę ludzi, którzy kompletnie niczego nie potrafili załatwić, żadnego kontraktu, natomiast intensywnie jeździli po całym świecie. Tragiczna działalność banku, który zupełnie nie był bankiem, tylko kasą pożyczkową, dawał pieniądze, a przedsiębiorstwo wykorzystywało kredyt inwestycyjny na płacenie sobie wynagrodzeń. I wszyscy intensywnie pracowali, tylko żadnych efektów nie było. Z pobieżnej analizy dokumentów finansowych wynikało, że Ursus w poważnych kłopotach był od roku. Od roku był właściwie bankrutem i rok temu należało działać. Pewne podstawowe ruchy można było wykonać spokojnie już rok temu. Nie wykonano. W międzyczasie zmienił się minister. Przyszedł Andrzej Zawiślak. Nie mógł się w tym bełkocie połapać. Ludzie w Ursusie oczekiwali decyzji. Jakiejkolwiek. Nie jest bowiem tak, że ludzie narzekają, bo chcą tylko lepszej pensji, czy lepszych warunków pracy, często także dlatego, że chcą, by podjęta została decyzja dotycząca przyszłości ich przedsiębiorstwa, skonkretyzowana w warunkach transformacji do odpowiedzi na proste pytania: jaka jest perspektywa przed moim przedsiębiorstwem, co stanie się z nim za trzy lata, jak długo będzie ciężko. Tych decyzji nie było i dlatego także zdecydowałem się na tę rzeź po Ursusie, bo Ursus jest klasycznym przykładem odkładania problemów na dzień następny. Aż dochodzi do eksplozji i wtedy czapką wulkanu się nie zgasi.

— *Zwolnił pan dyrektora banku.*

— Tak.

— *I czterech wiceministrów.*

— Tak. Szybkie podejmowanie decyzji przecina wszystkie deliberacje, przekonałem się wielokrotnie.

— *I ministra.*



— Dla mnie to była trudna sprawa. Zawiślak jest moim kolegą, którego sam osobiście prosiłem, by został ministrem. Długo go namawiałem. Popełniłem błąd. Kiedy się zorientowałem, liczyłem jeszcze, że uda mi się zaaranżować zakończenie lepsze, naturalne. W rządzie był już opracowany projekt ustawy o likwidacji ministerstwa przemysłu i ministerstwa handlu, która w rezultacie spowodowałaby konieczność odwołania ministra, co byłoby rozwiązaniem umowy dość eleganckim i koleżeńskim. Ta sprawa wlokła się jednak niesamowicie długo, nie mogliśmy jej przepchnąć przez parlament.

— *Zawiślak po odwołaniu oświadczył: „Nie chciałem współdziałać w dorzynaniu polskiej gospodarki", bo „logika premiera Balcerowicza jest logiką z pogranicza surrealizmu".*

— W działalności Balcerowicza można, owszem, widzieć pewne błędy, ale ja w tym konflikcie jednoznacznie opowiedziałem się za Balcerowiczem. Obawiam się, że Zawiślak stał się rzecznikiem myślenia resortowego, czyli rzecznikiem interesów przedsiębiorstw skupionych w swoim resorcie. Starał się więc pomagać im wszelkimi sposobami, a każdy polegał na wymuszaniu od Balcerowicza rozluźnienia finansowego. Oczywiście, można żądać od Balcerowicza różnych ulg dla przedsiębiorstw, można żądać ulgi w dywidendzie, można żądać zawieszenia popiwku, można od niego oczekiwać pomocy kredytowej, ale coś za coś. Czyli za konkretny program rozwoju przedsiębiorstwa. We mnie też, gdy mi ktoś mówi, że mu ciężko, że trzeba mu pomóc, wyzwala się reakcja odwrotna. Takiego utyskiwania nie chce mi się słuchać i takie biadolenie nie robi na mnie większego wrażenia. Ono wynika, według mnie, przede wszystkim z tego, że wiele przedsiębiorstw nie uwierzyło, że coś w Polsce się zmieniło i zagrały w sposób tradycyjny, to znaczy wybrały przetrwanie. U nas okazało się, że rynek, czyli różne warunki, które wpływają na los przedsiębiorstwa, nie ma wpływu na funkcjonowanie przedsiębiorstwa bo przedsiębiorstwo potrafi nie przejmować się swoją przyszłością, nawet w sytuacji, kiedy nie ma na wypłatę dla pracowników. Wtedy dyrekcja zastanawia się, kogo by tu jeszcze naciągnąć na jakieś pieniądze, żeby zdobyć na wypłatę i to jest jedyny wysiłek, jaki podejmie. A co będzie dalej, nie wiadomo.

— *Więc może interwencja państwa jest potrzebna?*

— Ale żeby państwo mogło interweniować, państwo musi odzyskać władzę nad własnością państwową

— *którą utraciło dzięki „Solidarności", prawda?*

— Niestety. I jest sytuacja taka, że ja mogę tylko prosić przedsiębiorstwo, żeby zrobiło to czy tamto, ale niczego w świetle obowiązującego prawa nie mogę od niego wymagać.

*— Bo przedsiębiorstwo wreszcie ma swoje trzy „S", wywalczone przez „Sieć" wielkich zakładów, czyli: samorządność, samofinansowanie i samodzielność?*

— Byłem w „Sieć" zaangażowany, ale kiedy walczyliśmy o samorządność, chodziło nam o odebranie komunistom kawałeczka władzy. Dzisiaj jednak samorząd okazał się śmiertelnym niebezpieczeństwem dla sprawnego zarządzania. Samorząd pracowniczy bowiem to nic innego, jak bardzo ważna struktura, która wymusza decyzje, nie ponosząc za nie żadnej odpowiedzialności. A nie ma nic piękniejszego, jak móc decydować i nie ponosić odpowiedzialności.

*— Więc może przeszkolić stu czy dwustu ludzi, jak niektórzy proponowali i skierować ich do fabryk.*

— Ja z panią się zgadzam i nie zgadzam, bo pani wyraża nadzieję w cud. Zakłada, że można przekształcić przedsiębiorstwa przy pomocy jakichś działań w sumie administracyjnych. Że są jacyś „oni", którzy wiedzą lepiej i zrobią mądrzej. To nieprawda. Ja mogę się zgodzić na masową prywatyzację, która miałaby polegać na tym, że znajdą się jacyś inwestorzy, którzy mając dostęp do kapitału, do informacji, na zasadach menadżerskich pokierują przedsiębiorstwem, natomiast nie zgadzam się z koncepcją cudowną i wręcz marzycielską, że znajdziemy geniuszy, którzy uzdrowią sytuację. Ten kraj należy po prostu przebudować. Generalnie. A zacząć trzeba od góry.

*— Ale jak? Pan wie?*

— Tak, teraz wiem. To w końcu my złożyliśmy projekt reorganizacji do sejmu.

*— I co z nim?*

— Myślę, że Olszewski go podejmie.

*— A zdąży?*

— Myślę, że tak, jeśli zeche. Tylko wie pani, proszę pamiętać, że z perspektywy czasu, wiele spraw zupełnie inaczej się widzi.

*— „Co robić?", powtórzę za Leninem.*



— Polska jak była, tak jest Polską resortową. Trzeba to zmienić. Polega to na tym, że klamrą w moim przekonaniu, spinającą gospodarkę jest Centralny Urząd Planowania. CUP w kategoriach rzeczowych planuje, ile ma być gwoździ, ile młotków, i ile ścian, w które te gwoździe będą wbijane. Oczywiście te ich rachuneczki nigdy się nie zgadzały, ale je robiono. One nawet nie miały sensu w gospodarce scentralizowanej, a co dopiero dzisiaj. Geniusz, centralny planista nie może rządzić Polską. Zresztą z punktu widzenia gospodarki rynkowej jest to struktura chora, patologiczna. Rynek powinien decydować, ile czego potrzeba.

Poza tym konieczna jest przebudowa rządu. Rząd powinien mieć strukturę menadżerską, co jest ważne obecnie, w okresie transformacji, żeby mógł wykonywać szybkie zdecydowane ruchy, żeby miał poczucie sprawnego działania i skutecznej decyzji.

Kolejna sprawa: należy jasno określić zakres kompetencji poszczególnych ministerstw i ministrów, bo jak dotąd nie ma czystości ról i struktura nie wymusza odpowiedzialności każdego za własną działkę, przez co oprócz normalnych przetargów między urzędnikami, polegającymi na przykład na tym, że każdy chce rządzić pieniędzmi, bo wtedy do mnie będą inni przychodzić i mnie będą prosić, istnieją strukturalne konflikty między ministerstwami. Na przykład między ministerstwem przemysłu, a ministerstwem przekształceń własnościowych.

*— Już naszym.*

— Zgadza się i jeżeli pojawi się na przykład silna osobowość na czele ministerstwa przemysłu, to z miejsca musi ona wejść w konflikt z ministrem prywatyzacji, właśnie na tle sposobu sprawowania władzy nad przedsiębiorstwami. Brak jasności ról sprawia, że gospodarka nie jest pewną całością.

— Następna sprawa, dotycząca bardziej technicznych warunków rządzenia. Zmienić trzeba tryb powoływania rady ministrów. Jest zupełnie absurdalny i nigdzie na świecie nie ma podobnego. Oraz wprowadzić, co jest szczególnie ważne w okresie przejściowym, swobodę wymiany ministrów: szef rządu musi mieć możliwość zmiany członków rady ministrów, bez zabiegania o akceptację parlamentu.

*— Która i tak jest formalna, bo żadnego jak dotąd kandydata sejm nie odrzucił.*

— Tym bardziej. Mnie jednak głównie chodzi o czas i wprowadzenie pewnej dyscypliny. Zmiana ministra może także następować w wyniku decyzji prezydenta, skoro już mamy prezydenta, ale na wniosek premiera. Nie może być w każdym ra-

zie jak dotąd i w żadnym znanym mi kraju tak nie jest, że szef rządu, kiedy chce zmienić swego podwładnego musi bić się z parlamentem, co powoduje, że zmiana ministra następuje wtedy, kiedy parlament ma na to ochotę i cała procedura trwa dwa lub trzy miesiące. Przekonał się o tym Mazowiecki, przekonałem się i ja. W takiej sytuacji człowiek zadaje sobie pytanie, czy domagać się zmiany, czy trwać z tym, kogo się nie chce, bo lepszy rydz, niż nic. Jest to ważne, zwłaszcza teraz, bo przychodzą nowi ludzie, niesprawdzeni w jakiejkolwiek pracy administracyjnej i mogą po prostu się nie nadawać. Odwołanie Zawiślaka zabrało mi półtora miesiąca, a w ubiegłym roku Kucharczyka też trwało grubo ponad miesiąc.

Równie ważna jest możliwość dokonywania zmian urzędników w administracji państwowej. Był to zresztą pierwszy projekt ustawy, jaki wysłaliśmy do sejmu. Chodziło nam o to, żeby rząd mógł zwalniać ludzi na normalnych zasadach, czyli z 3-miesięcznym wymówieniem. Mazowiecki otrzymał od sejmu takie uprawnienia na rok, nie całkiem wykorzystał, wystąpiłem o jego przedłużenie. Ja bowiem jestem zwolennikiem tezy, w której sens głęboko wierzę, że biednego nie stać na oszczędności i na kupowanie tandety, dlatego uważałem, że lepiej mieć 10 urzędników dobrych, niż 100 złych. Uważałem, że trzeba pozbyć się złych, radykalnie poprawić sytuację tych dobrych i zatrudnić nowych. Nowym jednak trzeba zapłacić. Wcześniej odbyłem kilka rozmów ze swoimi kolegami z Gdańska, których kiedyś wychowałem na uniwersytecie i uważałem, że się nadadzą. Bardzo pouczające rozmowy, bo oni zadali mi pytanie: co może zrobić młody człowiek w Warszawie z 2,5 mln pensją bez mieszkania, za to z żoną i małym dzieckiem? Odpowiedź jest prosta: powiesić się. Pytanie następne: czy nie lepiej zamiast się wieszać, podjąć pracę w jakiejś spółce czy prywatnym przedsiębiorstwie, które godziwie płaci i zarobić 10 razy więcej? Oczywiście lepiej.

*— Bo pan nie mógł im dać po 4 mln, oczywiście.*

— No, właśnie nie. To jakaś zupełna paranoja. Bo ja mam, proszę pani, budżet i to jest dobre, oczywiście, ale kiedy z funduszu płac musiałem zapłacić np. 120 mln zł wiceprezesowi GUS-u, bo tyle mniej więcej wynosi koszt pozbycia się pracownika zgodnie z obowiązującymi ustawami (a to tylko jeden przykład), to już oczywiście nie miałem na etaty dla nowych i podwyżki dla starych. Nasz projekt został przez sejm odrzucony, bardzo boleśnie to odczułem. Teraz sądzę, że trzeba było jakąś wielką batalię o tę ustawę stoczyć, bo jeśli nie odblokuje się możliwości zatrudniania dobrych urzędników, nie pozwoli się



płacić im w miarę uczciwie, to nie ma szans na stworzenie takiego *task force*, a więc zbudowania dobrej, sprawnej administracji. U nas bowiem obowiązuje zasada: trzymajmy się równo, nie pozwólmy, żeby ktoś się wychylił.

*— Pan się wychylił. Pozwolił ministrom „spółkować", w przeciwieństwie do Mazowieckiego, który kilka miesięcy wcześniej zabronił.*

— Bo nie cierpię fikcji. Bo bez posiadania formalnych udziałów też można je mieć w spółkach i rzecz polega według mnie na jawności. Od początku miałem świadomość, że wykonuję ruch, zaraz na wstępie, kontrowersyjny, za który zostanę powszechnie skrytykowany. I zostałem. Wydawał mi się jednak niezbędny, zwłaszcza w świetle regulacji zarządzonej przez Mazowieckiego. Mazowiecki bowiem wprowadził ją, kiedy się zorientował, że ministrowie wchodzą w spółki, pełniąc swój urząd i zakazem objął również członków ich rodzin, co jest absurdalne w kontekście praw konstytucyjnych. Ja zaś zarządziłem, żeby każdy przychodzący do urzędu deklarował swoją sytuację majątkową, tak jak robi się to w Europie, ona byłaby poddana procesowi kontroli w czasie pełnienia funkcji i na jej koniec, a rolą dziennikarzy byłoby wytropienie wszelkich nieprawidłowości z nią związanych. Skutecznie.

*— Któryś wytropił?*

— To trzeba by w kadrach zobaczyć, wiem, że paru dziennikarzy już tam myszkowało.

Kolejny problem do rozwiązania: Polska tkwi w ustawodawstwie komunistycznym, jest krajem prawnie przeregulowanym. Z jednej strony mamy niezliczoną ilość praw określających właściwie każdą dziedzinę życia, często zresztą wzajemnie ze sobą sprzecznych, co powoduje, że często naruszamy je, nie zdając sobie z tego sprawy. A z drugiej strony brakuje nam precyzyjnych rozstrzygnięć, które są na przykład w Ameryce, a dotyczą chociażby takiej dziedziny, jak ustalenie, co musi być unormowane przez sejm, a co przez okólniki, czy rozporządzenia.

*— A czy wiadomo, ile tego prawa w ogóle jest?*

— Jakaś orientacja istnieje, ale biuro prawne w Urzędzie Rady Ministrów, zupełnie niezłe, nie jest w stanie ogarnąć całości. Bo żeby ogarnąć, potrzebna jest po pierwsze jego komputeryzacja. Po drugie: po ogarnięciu konieczne jest oczyszczenie prawa, a proces ten to olbrzymie zadanie, wymagające silnej pozycji rady legislacyjnej, która dzisiaj jest tylko ciałem opinio-

twórczym i doradczym usytuowanym przy premierze. Po trzecie: ten proces musi trwać, bo przecież prawo narastało w sposób naturalny i stopniowo, więc my musimy teraz przebyć drogę odwrotną, do tyłu. Po czwarte: to prawo, które jest, dostosowane było do centralnego planowania i do systemu totalitarnego, ale całkowicie odrzucić się go nie da. Prawdopodobnie rozwiązaniem najprostszym byłoby anulować wszystko i zacząć od początku, bo zawsze łatwiej jest coś budować, niż naprawiać, nawet w banalnych domowych czynnościach. KPN proponowała takie szaleństwo: ogłosić, że PRL było ciałem nielegalnym i wypowiedzieć wszystkie umowy. Ale to jest praktycznie niemożliwe. Bo co? Wypowiedzieć wszystkie umowy? Anulować dokumenty!?

*— Zrównać z ziemią i od nowa, powiedział mi w latach 70-tych dyrektor kombinatu budowlanego, kiedy wyrzekałam, że źle buduje.*

— To bardzo głęboka myśl i ja sądzę, że nowoczesne mieszkanie w bloku zbudowane z wielkiej płyty to dokładnie taka polska rzeczywistość. Stoi budynek na jakiejś działce, nikt nie wie dokładnie na jakiej, kto jest jej właścicielem. Budynek ten jest kompletnie nieoszczędny, on jest kosztochłonny, zamiast kosztooszczędny, bo prowadzą do niego na przykład jakieś rury, wykonane tandetnie, tak że ubytki w dostawach ciepła czy wody są na tyle znaczące, że już nie wiadomo, kto powinien za nie płacić. Ten budynek teoretycznie ktoś wewnątrz zaprojektował i wymyślił optymalne układy dla mieszkania na przykład 3-pokojowego. Kolejna fikcja, bo jak się wprowadza obywatel, to pierwszą rzeczą, jaką robi, to rozpieprza wszystko, burzy ściany, powiększa pokoje, w łazience wymontowuje umywalkę, żeby pralka się zmieściła. Stara się je po prostu urządzić po swojemu, czyli dobrze. Oprócz tej modernizacji, czyli zmiany układu wnętrz musi także podnieść jakość tego mieszkania, bo wszystko jest w nim tandetne, wymienia więc złączki plastykowe na metalowe, żeby nie pękały i nie zalewały mieszkania, uszczelnia okna, obija drzwi, czasem ściany, żeby ograniczyć akustykę, bo o ochronie intymności w naszych mieszkaniach przecież nie pomyślano itp. itd. A po iluś tam latach, po 10-ciu, czy 20-tu to mieszkanie zaczyna się dekapitalizować i nie wiadomo wtedy, co z nim zrobić. Ale ono jest faktem i tego faktu nie da się przekreślić.

*— A w tym fakcie ludzie.*

— Dokładnie. Bo co w końcu jest winien człowiek, który wymarzył swoje M4 w bloku, po 15 czy 20 latach czekania dostał wreszcie do niego klucze i teraz okazuje się, że koszty eksploatacji tego mieszkania są większe niż jego możliwości finansowe, bo przydziały mieszkań następowały w oderwaniu od realiów ekonomicznych. Nikt mu przecież takich warunków finansowych nie zapowiadał. Czyli robimy kolejną rzecz, która moralnie jest nie do przyjęcia, a musimy ją robić: zmieniamy warunki gry w trakcie gry.



Bo widzi pani, problem przebudowy państwa technicznie nie jest w zasadzie aż tak skomplikowany, gdyby nie ten drobiazg, że w państwie żyją ludzie i każda reforma musi prowadzić do naruszania ich interesów i zmiany dotychczasowych przyzwyczajeń. To naruszanie jednym daje awans, a dla drugich oznacza upadek i obniżenie poziomu życia. I tych jest więcej. My mamy bowiem państwo nadopiekuńcze w stosunku do możliwości gospodarczych, z wbudowanym automatyzmem socjalnym, który jest zabójczy dla każdej konstrukcji ekonomicznej. I to jest straszne. My, żeby trzymać się przykładu mieszkań, nie możemy rozdawać ich za darmo lub pół darmo, bo inaczej w ogóle budownictwo mieszkaniowe nie ruszy.

*— To dlaczego się tego głośno nie mówi, dlaczego np. pana minister budownictwa nie powiedział tego ludziom?*

— Glapiński powiedział, w pakiecie ustaw, które przedłożył rządowi.

*— Ale bezdomnym na wiecach mówił co innego.*

— Wie pani, Glapiński jest zręcznym człowiekiem, który potrafi stworzyć zespół zupełnie dobrych współpracowników, ale on się uczył nowej roli. A poza tym miał świadomość, że powiedzenie prawdy jest rozbieżne z oczekiwaniami, niepopularne. A nikt nie lubi mówić rzeczy niepopularnych.

*— Ale czy to uczciwe?*

— Widzi pani, u nas pojawił się taki obyczaj, już za rządów Mazowieckiego, że ministrowie próbują sobie zdobyć popularność w różnych środowiskach nie będąc do końca jednoznaczni, dystansują się więc od polityki rządu, albo wręcz ogłaszają, że do niego przychodzą, by realizować politykę resortu lub swojej partii. Takie pomieszanie ról.

*— Ale czy to uczciwe, wobec ludzi uczciwe?*

— Proszę pani, powiem rzecz być może śmieszną, trudną do uwierzenia, ale moja praca w rządzie to było spalanie całego siebie. I proste pytanie: jak długo można tak funkcjonować? To

nie kwestia ilości godzin pracy, 16, czy 18 na dobę, ale problem życia w tym wszystkim. W tym, co pani pyta też. To jest niezwykle trudne po prostu. Ja stanąłem przed zupełnie nowym oczekiwaniem społecznym, którego nigdy przedtem nie było. Że ludzie chcą mnie słuchać, chcą ze mną rozmawiać. Ja wiem, że te rozmowy są kluczem do sukcesu reformy. Że ludzie chcą ze mną dyskutować, czasami chcą na mnie nawet krzyczeć. Jak ci chłopi, do których pojechałem razem z Tańskim. Przyjeżdżam, ludzie stoją i patrzą. Myśleli pewnie, że do nich nie podejdę, bo zaczęli się zachowywać trochę prowokująco. Podszedłem. I był płot, dwumetrowy. Któryś z nich powiedział: a co pan tak z drugiej strony? To ja: dobra i przeskoczyłem ten płot.

— *Znaczy każdy w Polsce musi mieć swój płot?*

— Mój, to przypadek. Kazałem zresztą wyciąć tę scenę z telewizji, bo nagrali. Żeby nie było demoralizacji.

— *Często pan tak — kazał?*

— Nie, nie, to moja jedyna ingerencja. Chyba pani przecież wie, że byłem autorem, jeszcze w 1990 r., projektu ustawy telewizyjnej, która odbierała decydentom możliwość osobistego sterowania programami w telewizji. Właśnie po to, by nie kusiło, bo kusi. A jak zostałem premierem, natychmiast zezwoliłem na sprywatyzowanie *Rzeczypospolitej*, wychodząc z założenia, że posiadanie przez rząd własnej gazety jest obłędnym reliktem przeszłości. Ja rozumiem, że to dobrze mieć w swoich rękach gazetę, robić zebrania i pouczać ludzi, co mają pisać, ale te czasy minęły, tego się już nie da zrobić, bo trzeba byłoby z gazet powyrzucać połowę dziennikarzy i zatrudnić miernoty, które ewentualnie się zgodzą pisać pamflety, czy jakieś bałwochwalcze teksty. To jest zresztą nawet dla władzy nieopłacalne, jeśli na problem się patrzy wyłącznie z wysokości sprawowanej władzy. Władza jest przecież zupełnie doraźnym zajęciem. Nawet gdyby się ją sprawowało przez 10 lat, to i tak pozostanie kolejnych 30 i wtedy dobrze, kiedy mnie ktoś kopie, żeby znalazł się jakiś wolny dziennikarz, który zechciałby mnie zapytać, co o tym myślę.

— *Ale Tański, co z Tańskim?*

— Z Tańskim? Tański nie przeskoczył, miał kłopoty techniczne.

— *I co potem?*

— Podyskutowaliśmy.



— *Dało się?*

— Proszę pani, z ludźmi naprawdę da się rozmawiać. Ludzie w Polsce oczekują kontaktu osobistego i jasnego wytłumaczenia, o co chodzi. Dla nich nie jest ważne, że byłem zatrudniony na stanowisku „premiera Rzeczypospolitej", zresztą czasowo, oni oczekują, że jeżeli jestem wśród chłopów, będę gadał jak minister rolnictwa, a w fabryce jak minister przemysłu, a w szpitalu jak minister zdrowia. Widzi pani, ja to społeczeństwo — po wielu doświadczeniach — odbieram tak: jest to społeczeństwo łaknące dialogu, społeczeństwo, które ma wielkie poczucie własnej godności oraz społeczeństwo, które chce wypowiedzieć swoje argumenty i być do czegoś przekonywane.

— *Przez „onych"?*

— Bardzo często spotykając się z ludźmi miałem wrażenie, że rząd jest dla nich klasycznym przeciwnikiem — ci słynni „oni", których się nie lubi, podejrzewa o wszystko co najgorsze i chętnie wręcz nadsłuchuje każdego, nie tyle dowodu, ale plotki, która potwierdzałaby ich przekonanie, że ci rządzący to są właśnie ci „oni", działający wbrew interesowi społeczeństwa. Ale to nie jest według mnie myśl głęboko w ludziach zakorzeniona. Ludzie jednak chcą wierzyć, że władza nie jest taka zła. Często po paru godzinach ostrej debaty w różnych miejscach Polski odnosiłem wrażenie, że jeżeli nawet nie przekonałem ludzi do słuszności wszystkich decyzji, to jednak odbudowałem ich zaufanie do rządu. Ludzie między sobą mówili: ten facet jednak wie, o co chodzi i trzeba mu pozwolić to zrobić. Tak było na przykład w łódzkiej Fonice, gdzie ludzie byli nerwowo wykończeni i skąd wcześniej wyrzucali kolejno różne znamienite postacie: wojewodów, prezydentów, Krzaklewskiego, a mnie nie tylko nie wyrzucili, ale w końcu zrobili to, o co ich prosiłem, a co było wbrew ich krótkoterminowemu interesowi. Bo widzi pani, zamiast po Ameryce powinno się jeździć po Polsce i jak się ma trzy godziny czasu, można dużo wytłumaczyć i nawet uzyskać akceptację w trudnej sytuacji. I nie trzeba, naprawdę nie trzeba, kokietować społeczeństwa i zgadzać się na wszystkie populistyczne żądania. Trzeba pokazywać, bo to — według mnie — jest celem każdego spotkania, że przeprowadzane reformy nie są proste. Ludziom często się wydaje, że mają jakiś rozsądny pomysł i jeżeli się go zastosuje, będzie lepiej.

— *Głównie politykom.*

— Graczom po prostu. Więc wyjaśniam, nie będzie. Bo państwo jest wielkim naczyniem połączonym, jeśli się coś ruszy w

jednym miejscu, to niestety, w drugim miejscu wypływa.

— *Kiedy pan to wszystko zrozumiał?*

— Gdzieś w lecie. Potem wprawdzie dokonałem jeszcze jednego odkrycia, kiedy zainteresowałem się przemysłem zbrojeniowym.

— *Bo zaczął strajkować?*

— Trochę potem, ale to tylko pokryło się z moimi wcześniejszymi tezami.

— *Mianowicie?*

— Ach, przemysł zbrojeniowy to jest taka ciekawostka, którą zajmują się różni ludzie w różnych ministerstwach. W Centralnym Urzędzie Planowania ze dwadzieścia osób, między innymi właśnie Parys, późniejszy minister obrony, nad nim pracował, w ministerstwie współpracy z zagranicą też ze dwadzieścia kilka osób, w ministerstwie przemysłu jest nawet wiceminister od spraw zbrojeniowych i cały departament oraz oczywiście zaangażowane jest w to ministerstwo Obrony Narodowej i jeszcze KERM, gdzie pracuje nad tym jedna czy dwie osoby. W sumie daje to pięciu ministrów i kilkadziesiąt osób. Przy czym odkryłem rzecz zupełnie banalną, że wszyscy tym przemysłem się zajmują i nikt się nie zajmuje. Kiedy zarządziłem zbiórkę u siebie w gabinecie, przyszło stado ludzi i okazało się, że jeden nie wiedział o istnieniu drugiego, a każdy ciężko pracował od 8-mej do 14-tej. Gdyby więc wyrzucić tych urzędników, zostawić paru i tych paru zlokalizować w jednym miejscu, to oszczędności byłyby takie, że można byłoby im godziwie zapłacić i nie byłoby takiego bałaganu, jaki jest, bo oni wtedy potrafiliby działać skuteczniej.

— *O czym jeszcze się pan dowiedział?*

— Pani porusza tematy, które są dla mnie niezręczne. Bo faktycznie rzecz biorąc, ja przecież miałem zastępcę i on ten przemysł zbrojeniowy powinien dawno odkryć, siedząc tutaj dwa lata. Balcerowicz jednak, z jakichś niejasnych dla mnie przyczyn, polityką gospodarczą faktycznie się nie zajmował. Być może była też w tym jakaś wina Lewandowskiego. Balcerowicz nie koordynował pracy resortów, chociaż siłą rzeczy przy tej strukturze rządu, jaka była, resorty wymagały koordynacji, i to prawie codziennej. Ale zostawmy to.

— *A co pan zrobił wiedząc?*



— Proszę pani, taka przebudowa, o jakiej mówię, wymaga nowej ustawy konstytucyjnej i zmiany. I jeszcze kilku ustaw po drodze. U nas każda struktura obwarowana jest ustawami, każde ministerstwo trzymane jest przez jakąś ustawę, bez sensu zupełnie, cała administracja jest wręcz konstytucyjnie chroniona i żeby tę strukturę ruszyć, trzeba napisać kilka ustaw, co nie jest trudne, ale potem należy skonsultować je z parlamentem, co jest już bardzo trudne. Absolutna paranoja. Przecież siła Margaret Thatcher, która zaryzykowała przebudowę gospodarki w daleko mniejszym zakresie niż my, tkwiła nie tylko w niej, w jej wielkiej indywidualności, polegała również na tym, że ona miała swoich konserwatywnych posłów, którzy jej w tym pomagali. A my często mamy taką sytuację, że nawet w Kongresie Liberałów, który jest stosunkowo najbardziej zwartym ugrupowaniem, czyli jego reprezentacja mówi wspólnym głosem, występuje razem, niekiedy zdarzają się sytuacje, że nasz poseł czy działacz czegoś nie rozumie i zamiast pracować przy pomocy swoich nad innymi, my musimy pracować nad swoimi, tłumaczyć im, o co chodzi. Czyli potwierdza tezę, że w dżungli nie da się zbudować nowoczesnej farmy sterowanej przez komputery i że czynnik czasu jest kluczem przemian. W parlamencie nie miałem żadnego oparcia w koalicji i rozgrywanie z nim czegokolwiek było na początku — bardzo utrudnione, a później — stało się wręcz niemożliwe. Zwłaszcza po tym, jak Wałęsa poszedł z nim na wojnę.

— *Kłócił się o ordynację wyborczą, przez dwa miesiące.*

— Szukałem wyjścia. Teraz myślę, że można było zaryzykować i te specjalne uprawnienia, które proponował Wałęsa, wziąć w maju, albo w czerwcu, może ten parlament dałby się na to zgwałcić.

— *Ale pan wtedy nie chciał.*

— Obawiałem się nadmiernych oczekiwań ze strony społeczeństwa, które mogłoby z tego wyciągnąć wniosek, że jak już rząd ma dekrety, to teraz będzie lepiej.

— *Pan z Wałęsą grał na czas. Nie mówił — nie, ale decyzję odkładał.*

— Dla mnie szczególne pełnomocnictwa miały dwa wymiary: jeden — ewentualnie pozytywny, że można coś zrobić szybko i drugi — stanowczy, że to czego nie chce zrobić parlament, to ja będę musiał. Jeżeli parlament nie zechce np. uchwalić nowej ustawy emerytalnej, dotyczącej siedmiu milionów

ludzi, bo jest dla wielu niekorzystna, to ja będę musiał, żeby ratować budżet, bo ktoś o budżecie także powinien myśleć. Wtedy rodzi się prozaiczne pytanie, czy koniecznie ja muszę to robić? Wolałem dlatego, aby sprawy ważne dla kraju były rozstrzygane przez parlament, a nie przez kruchy rząd, nie posiadający większości parlamenternej. Chociaż zdaję sobie sprawę z tego, że prawdopodobnie i tak nie obejdzie się bez jakichś specjalnych pełnomocnictw dla rządu. Po prostu wiele rzeczy robimy za wolno. Wszystko zaczęło się od zbyt późnych wyborów parlamentarnych, spóźnionych co najmniej o rok. Czesi, którzy ruszyli po nas, zorganizowali je w lutym, osiem miesięcy przed nami. Przez te osiem miesięcy nastąpiła wielka zmiana sytuacji zewnętrznej. Czas pracuje na naszą niekorzyść. Polska dwa lata temu była jedynym krajem, który rozpoczął szaleńczą walkę i po wykonaniu wspaniałej szarży Polakom wydawało się, że odpoczną. Byliśmy wtedy w uprzywilejowanej sytuacji ukochanego jedynaka, który był pępkiem świata, mogliśmy jeździć po świecie, nawet komuniści jeździli wtedy do Ameryki i opowiadali jakie to reformy my tutaj robimy. Teraz, po rozpadzie ZSSR i Jugosławii, jesteśmy jednym z trzydziestu — zaokrąglając — krajów, które starają się pozyskać poparcie dla swoich przemian i jest to kompletnie nowa sytuacja. Nie do końca chyba przez Polaków sobie uświadamiana. Okres *prosperity* już się skończył.

— *Proszę pana, a może trzeba zostawić tego Jaruzelskiego.*

— Nie, nie, tak nie można mówić. Układ magdalenkowy stworzył u nas dosyć silną pozycję prezydenta. Czy pani sobie wyobraża sytuację: u nas Jaruzelski jako prezydent i zamach stanu w Moskwie?

— *Tak.*

— Ja nie. Chociaż można było od początku przypuszczać, że pucz napotka na wielkie trudności — otrzymywaliśmy różne meldunki od naszych służb specjalnych, akurat zupełnie dobre, donoszące, że część wojska reaguje niechętnie na samozwańców — jednak nie wolno było wykluczyć, że za jakiś czas, krótszy lub dłuższy, dojdzie w Rosji do władzy Janajew. A wtedy można byłoby podejrzewać, że u nas także wystąpi próba powrotu starego układu władzy. Ja zresztą dwukrotnie miałem przyjemność widzieć Janajewa.

— *To jak Miller.*

— No, niezupełnie, bo ja nie jeździłem na Krym, tylko spotykałem się z nim oficjalnie, raz na pogrzebie Układu Warszawskiego. Nie był to człowiek życzliwy naszemu krajowi, ani w sensie tego co mówił i robił, ani nawet jak na nas patrzył. Kiedy wygłaszałem dość twarde przemówienie na okoliczność likwidacji Układu Warszawskiego, Wałęsa siedział obok mnie — odniosłem wrażenie, że nie patrzy na nas życzliwie.



— *W dniach puczu widziałam go w amerykańskiej telewizji, w CNN, wydawał się lekko nieprzytomny.*

— Bo tutaj dochodzimy do takiego prozaicznego elementu sprawowania władzy, który się nazywa piciem alkoholu w pracy. To dotyczy i ekipy sowieckiej i naszej, sądząc po ilości butelek, jaką tu zastaliśmy.

— *Chce pan powiedzieć, że...*

— że ja nie piłem. Kiedy nastąpił zamach stanu w Moskwie, drugiego dnia postanowiłem wygłosić płomienne przemówienie do narodu, bardzo byłem przejęty. Chciałem jednoznacznie potępić pucz i powiedzieć, że przemocą niczego się nie osiągnie, że przemoc spowoduje tylko, iż marzenia społeczeństwa o wolności zostaną co prawda przytłumione, natomiast nigdy nie będą całkowicie zmiażdżone i o tym przekonają się szybko każda władza i każdy system totalitarny. To było bardzo dobre przemówienie, miano je nadawać ale zrobiło się wokół niego dużo szumu i Belweder był zdania, że to jest — zbyt radykalne wystąpienie, że trzeba jeszcze poczekać.

— *Na wynik, prawda?*

— Myślę, że prezydent zupełnie się w tym momencie zagubił. Wałęsa lubi po prostu, jak jest dobrze i chce, żeby było dobrze, i kiedy jest dobrze — zdolny jest do bardzo wielu dobrych kroków. Natomiast w sytuacji ataku na niego, czy zagrożenia, gubi się. Jak najszybciej chce z tego wybrnąć, przekonać wszystkich, że się głęboko mylą, że tylko on ma rację... To chyba kwestia odporności psychicznej.

— *A pana nie zawiodła? We wrześniu?*

— 12 września dokładnie. W swoim dramatycznym przemówieniu powiedziałem w sejmie, rzeczywiście, że Polską nie da się rządzić.

— *Dzięki Ziółkowskiej, która dzień wcześniej zażądała dymisji rządu.*

— Tak, tak, kochana z niej kobitka.

— *I pan wtedy zgłosił rząd do dymisji.*

— Z mojej strony był to po części jakiś element gry taktycznej, ale ja także głęboko wtedy wierzyłem, że już wyczerpały się możliwości rządzenia Polską, że nie ma instrumentów do sprawnego funkcjonowania władzy, że nastąpi paraliż państwa, że postępuje jego degradacja. Bo proszę pani, jeżeli przez ponad rok nie ma szefa NIKu, ponieważ sejm nie może go wybrać; jeżeli od ponad pół roku nie ma szefa centralnego banku, co świadczy o niezrozumieniu roli banku centralnego w ustroju wolnego rynku; jeżeli parlament nie chce uchwalać ustaw, które rząd do niego kieruje, to co to jest?

— *Parlament twierdzi, że nie przygotowaliście 200 aktów wykonawczych do już uchwalonych ustaw.*

— Nie dwustu, tylko siedemdziesięciu. Poza tym nie każdy akt wykonawczy należy wydać, kiedy sejm tego chce, ale kiedy z punktu widzenia funkcjonowania ustawy jest to niezbędne.

— *Nie przygotowaliście przepisów wykonawczych do ustawy o odpłatności leków, na przykład.*

— Zgoda. Wyrzuciłem tego wiceministra, już nie pamiętam nazwiska, który był za to odpowiedzialny, ale jeszcze raz powtarzam, jego nieodpowiedzialność wynikała także z błędów w strukturze.

— *Dopuściliście do afer. Za Mazowieckiego była jedna — alkoholowa, przy panu: papierosowa, benzynowa, rublowa, Art B., FOZZ-u...*

— Zaraz, zaraz, ja na każdym spotkaniu próbuję to wyjaśniać i mówię: Ludzie, te afery nie powstały za moich czasów, te afery zostały w trakcie mego urzędowania ujawnione, przy naszej, mojej aktywnej roli. Chociażby sprawa FOZZ-u. Ona dla mnie była niejasna od samego początku. Intencje utworzenia Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego nie były po prostu dla mnie do końca zrozumiałe. Dzięki mojej osobistej interwencji tą sprawą się zajęto i dzięki mnie było możliwe zatrzymanie podejrzanych osób, bo to ja na jednego z nich dostarczyłem dowodów zza granicy. Aczkolwiek uważam, że niekoniecznie trzeba było od razu aresztować prezesa centralnego banku

— *na dworcu w Warszawie*



— właśnie, w sposób demonstracyjny

— *zakuto go w kajdanki.*

— Skuteczność działania polega na tym, żeby winnego ukarać, a nie zatrzymywać go w sposób widowiskowy.

— *A potem po cichu wypuszczać.*

— Zatrzymanie jest przecież tylko pewnym krokiem, uregulowanym kodeksem karnym. Ja tego nie rozumiem.

— *Nie? Bo zwolnił pan wtedy Janusza Sawickiego, wiceministra finansów.*

— Niezwykle przykra dla mnie sprawa, muszę powiedzieć, że bardzo ceniłem Sawickiego w sensie zawodowym, uważałem też, że to sympatyczny człowiek. Ale musiałem wytłumaczyć, że czymś innym jest moja wysoka ocena jego umiejętności i przydatności zawodowych, a czymś innym elementarne poczucie odpowiedzialności służbowej. Z tego punktu widzenia sprawa była ewidentna: jako szef powierzonego mu działu administracji powinien był pilnować, by funkcjonował on dobrze, a jako przewodniczący rady FOZZu nie dopilnował, bo nastąpiły oczywiste nieprawidłowości, czyli nie wypełnił swoich obowiązków i z tego tytułu musiał ponieść konsekwencje. Razem szukaliśmy rozstrzygnięcia.

— *Razem?*

— Tak. Uważałem, że Sawickiemu za jego dobrą pracę w rządzie taki sposób rozstania po prostu się należy i byłem elastyczny. Przecież nie chodziło o odpowiedzialność karną, są inne organy, by ustalać, jakie popełniono nieprawidłowości i co się stało ze 180 mln dolarów. Ich brak w tej chwili wcale zresztą nie oznacza, że te pieniądze zostały ukradzione. Być może zawłaszczona została tylko ich część, a reszta leży w jakimś banku? Problem polega na tym, jak te pieniądze odnaleźć, bo są to niezwykle trudne, skomplikowane operacje, w których pogubili się także ludzie odpowiedzialni za ich dysponowanie. A u nas wystarczy, że ktoś coś powie, wyjdzie na trybunę i robi się krzyk: mamy kolejną aferę.

— *Bo były.*

— Zgadza się, ale trzeba na problem spojrzeć spokojnie. I najpierw powiedzieć sobie: afery naprawdę nie stanowią uzasadnienia naszej trudnej sytuacji i nie wolno, jak niektórzy to czy-

nią, tworzyć fałszywego mitu, że gdyby nie było afer, byłoby w Polsce lepiej, byłoby tych 20, czy 30 bln zł więcej i moglibyśmy wtedy dofinansować oświatę, czy służbę zdrowia. Jest to całkowita nieprawda. Afery w Polsce były, są i będą. Tak jest na całym świecie. Afery są w Ameryce, w Wielkiej Brytanii, wszędzie. A fakt, że je się teraz w Polsce ujawnia świadczy o tym, że działa jakiś mechanizm demokratyczny. Działa on słabo, mało skutecznie, nie jest surową ręką sprawiedliwości ludowej — jak się kiedyś mówiło — ale jednak pewne nieprawidłowości wypływają i trzeba je konsekwentnie eliminować, co się zresztą robi. Po drugie: afery ujawniają niedoskonałości naszego systemu prawnego, istnienie luk prawnych. System nasz jest niedostosowany do nowej rzeczywistości, działa w oparciu o fałszywe założenia. Na przykład: czeki osoby fizycznej są w bankach podejrzane i dokładnie się je sprawdza, ale już transakcje zawierane pomiędzy przedsiębiorstwami państwowymi i państwowym bankiem są z zasady w porządku, pieniądze przerzuca się z jednej kasy państwowej do drugiej i nikt się tym czekom nie przygląda. Pojawiło się kilkadziesiąt tysięcy przedsiębiorstw prywatnych i spółek, ale ten mechanizm nie został zmieniony i niektórzy potrafili to wykorzystać, co łączy się z trzecią sprawą, dla mnie najbardziej bolesną. Te wszystkie afery wynikają z nas samych, a nie z tego, że są jacyś genialni oszuści — pokazują, wyraźnie, straszliwą znieczulicę społeczną z jaką traktujemy majątek państwowy, uważany przez nas za majątek bezpański. Nikt się tym nie przejmuje, nikt go nie pilnuje. Na przykład w działalności Art B. uczestniczyło kilkaset, czy nawet kilka tysięcy osób, które przecież widziały, że coś dziwnego się dzieje. Że przychodzi na przykład jeden człowiek, przynosząc do banku czterdzieści czeków wypisanych na taką samą sumę i na jedno nazwisko, a po paru godzinach znowu się pojawia z nowymi czekami. Dlaczego kasjerka się nim nie zainteresowała, dlaczego przyjmowała te czeki, dlaczego referentka je akceptowała. Rozumiem, że 50 mld zł na papierze nie robi takiego wrażenia jak 50 mld w gotówce, ale dlaczego nadzór bankowy to dziwne zjawisko tolerował? Odpowiedź jest prosta. Wszyscy uważali, że to nie są ich pieniądze, nie ich bank, no to co ich to obchodzi. Były, na szczęście, banki, które nie zgodziły się otworzyć rachunku dla Art B., co świadczy, że są też jeszcze w Polsce ludzie, posiadający elementarne poczucie odpowiedzialności. Wielu jednak wykazało kompletny brak wyobraźni i odpowiedzialności. Co jest o tyle zaskakujące, że ci sami ludzie boją się utracić swoją pracę, wręcz trzęsą się o nią, a nie zdają sobie sprawy, że ich praca polega także na dbaniu o majątek, który został im powierzony, w pewnym sensie ich majątek. Przez to afery u nas ujawniają się nie w wyniku rutynowych działań ludzi, tylko albo



przez przypadek, albo dlatego, że do danej instytucji nadchodzi sygnał z wielkiej góry i zarządzana jest kontrola, przez tę górę sterowana.

— *Bo nie identyfikujemy się z państwem.*

— Dokładnie. Pamiętam, jak na początku 1974 r. pisałem artykuł na temat kryzysu energetycznego, który nastąpił w gospodarce światowej w grudniu 1973 r. Potrzebowałem pewnych dokumentów i zapytałem swego przyjaciela Anglika, czy by mi ich nie opracował. Odpisał mi, co zrobiło na mnie duże wrażenie, że bardzo przeprasza, ale teraz nie może, ponieważ jest kryzys energetyczny, Anglia cierpi z powodu restrykcji nałożonych przez kraje OPEC-owskie i on nie może przez to pracować w nocy, bo musi wcześniej wyłączać światło. Taki bowiem jest apel rządu i my Anglicy musimy być twardzi, zdyscyplinowani itp. Jest to postawa kompletnie nie do pomyślenia w Polsce.

— *Bo w Polsce rząd należy oszukać?*

— Trzeba oszukać, bo rząd ma

— *tylko chowa, jak w 1981 r. mięso, masło, mąkę.*

— Dlatego ja we wszystkich debatach budżetowych wygłaszałem takie zdanie: proszę państwa, rząd nie ma budżetu w ajencji, a szczególnie ja, Bielecki, bo gdybym miał, to bym inaczej z wami gadał.

— *I państwo można, na przykład z podatków, okraść?*

— Można, bo u nas w ogóle — w przeciwieństwie do Zachodu — nie istnieje świadomość, że każdy obywatel to państwo utrzymuje z podatków, że każdy jest podatnikiem, że dystrybucja dochodów państwa zależy w dużym stopniu ode mnie. To wszystko jest spuścizną komunizmu, oczywiście, bo przedtem działania przeciwko państwu były społecznie akceptowane.

— *I fabrykę, w której się pracuje, wolno naciągnąć?*

— Wolno, bo nikt nie uważał, że jego zarobek jest uzależniony w ogromnym stopniu od powodzenia zatrudniającego go przedsiębiorstwa, więc o jego kondycję należy dbać. Stocznia Gdańska była na przykład taką genialną fabryką, która wykonywała tysiące usług dla ludności, oczywiście nielegalnie. Stocznia dodatkowo była jedynym miejscem, gdzie znajdował się — w tej

gospodarce niedoborów — odpowiedni materiał nie do zdobycia gdzie indziej, odpowiednie narzędzia i kiedy ktoś potrzebował szpilki do kół, czy jakiejś śruby, szedł do znajomego stoczniowca. Ten miał dobrą fuchę, a klient część do samochodu o najwyższej jakości. Teraz tę nienormalną sytuację musimy zmieniać. I ona się zmienia, ale opornie.

*— Tak, przedtem obowiązywał slogan: „czy się stoi czy się leży...", a teraz „jak się da, to się zrobi".*

— Bo jest kilka przyczyn, moim zdaniem, historycznych. Pierwsza, podstawowa, że nie mieliśmy niepodległości przez 200 lat. Obce były prawa, a więc należało je omijać lub łamać i obce było państwo, więc trudno je, będąc na statusie półobywatela, nauczyć się szanować. Bo nawet w myśleniu skrajnie liberalnym, które jest antyetatystyczne, istnieje potrzeba identyfikacji człowieka z państwem, konieczność współdziałania obywatela z państwem. Po drugie: Polacy mają w sobie zakodowany, historycznie zakodowany, brak poczucia wartości pieniądza. Potrzeba stworzenia pieniądza pojawiła się na świecie ileś tysięcy lat temu. *Pecus*-bydło nie był najlepszym środkiem płatniczym, więc wymyślono pieniądz. Pieniądz, z którym kojarzą się brzydkie rzeczy, ale który wyraża także, w sposób najprostszy, najprymitywniejszy, bo taka jest jego siła i słabość — możliwości człowieka. U nas go nigdy nie było, ponieważ jesteśmy krajem, w którym nie istniała waluta narodowa, a jeżeli — to niezwykle krótko. Nawet po odzyskaniu przez Polskę niepodległości przez ileś tam lat, chyba sześć, do 1924 r. nie mieliśmy waluty narodowej, posługiwaliśmy się marką niemiecką. Potem wprowadziliśmy na rok własny pieniądz i nastąpiła słynna tzw. wielka druga inflacja polska, która doprowadziła do załamania złotego, co odbudował dopiero Piłsudski przy pomocy silnych rządów. I to jest cała historia naszego pieniądza. Po wojnie komunizm wzmocnił brak wartości pieniądza głosząc, że najpierw będzie socjalizm, czyli każdemu według pracy, a potem będzie komunizm, czyli każdemu według potrzeb. W efekcie Polacy to dzisiaj ludzie, którzy z jednej strony nie umieją liczyć pieniędzy, nie umieją myśleć perspektywicznie czy polegać na samych sobie, a z drugiej strony mają bardzo sprymityzowane pojęcia o ważności pieniądza oraz podejmują decyzje finansowe nie w oparciu o swoje zasoby gotówkowe, czy realne możliwości spłaty zaciąganych kredytów, ale kierują się kryteriami potrzeb i dyskutują przede wszystkim, jak te potrzeby zaspokoić. Sprawą zasadniczą jest więc pytanie jak Polaków uzdrowić, jak ze społeczeństwa romantycznego stworzyć społeczeństwo pozytywistyczne, kierujące się w życiu kryteriami funkcjonującymi w świecie.



*— Już próbowano.*

— Poza tym sądzę, że obecnie mamy do czynienia ze zjawiskiem, typowym w sumie, ale nieznanym poprzednio, które nazwałbym żądzą szybkiego wzbogacenia się. Tego u nas nie było. Pamiętam, jak za czasów Gomułki, chociaż zupełnie niczego nie mieliśmy, a jedynym osiągalnym luksusem na naszym stole był chleb z szynką, moja mama, dziennikarka radiowa, przeżywała jakieś dylematy moralne i to było w domu najważniejsze. Teraz nastały czasy, które kreują postawę, że lepiej jest mieć, niż nie mieć i to „mieć" chce się osiągnąć za wszelką cenę, nie bacząc na przepisy czy zwyczajną uczciwość. Za mało mówiliśmy o moralności w interesach, o zasadach etycznych, koniecznych do ich prowadzenia, nie przekonywaliśmy, że opłaca się robić dany interes w sposób moralny. Bo interesów nie robi się raz, zasada jednorazowego interesu jest zasadą komunistyczną, a interes polega na wielokrotnych kontaktach. Jeżeli ktoś raz zagra nieuczciwie, to nikt z nim drugi raz grać nie będzie. W Polsce obowiązuje filozofia tymczasowości. O jutrze mało kto myśli, bo jutro może być przysłowiowy potop Ludwika XIV, więc nie wiadomo co będzie. To poczucie niezwykle sprawę komplikuje.

*— A może my, panie Krzysiu, na żadną niepodległość nie zasłużyliśmy?*

— Nie, nie, niepodległość my nosimy w sercu 200 lat, ona była ideą w Polsce silnie zakorzenioną, o którą trzeba walczyć i walczyliśmy, bardzo ofiarnie. Jaka to jest wartość, widzimy teraz wyraźnie na Ukrainie, budzi się ona ni stąd ni zowąd po 300 latach, wartość, powiedziałbym, sama w sobie, autonomiczna.

*— To dlaczego ją straciliśmy? 200 lat temu.*

— Przykre pytanie. Mocarstwem wprawdzie nigdy nie byliśmy, ale z pewnością byliśmy silnym państwem, które nie potrafiło wykorzystać sprzyjającej sytuacji.

*— Więc dlaczego?*

— Właśnie w Moskwie usłyszałem komentarz do sytuacji w Polsce, który mnie kompletnie zaskoczył. W Moskwie, w tej chwili mówi się o Polsce, że *liberum veto* wróciło. Nie wiem, skąd oni to wymyślili, ale to tragiczne przypomnienie. Myślę, że jest inaczej, myślę, że jesteśmy narodem, który nie radzi sobie w sytuacjach stabilnych. My nie lubimy stabilizacji i nie lubimy iść do przodu krok za krokiem. Najpierw wpadamy gdzieś tam do kanału i potem jakimś cudownym zrywem się z niego wydobywa-

my. Widocznie, na tym, niestety, polega nasza wielka tradycja.

*— Już jesteśmy w tym kanale?*

— Chyba jeszcze nie, ale na pewno jesteśmy w trudnej sytuacji, która, w moim przekonaniu, wynika z tego, że już od ponad dwóch lat tkwimy w kampanii wyborczej, która paraliżuje działalność codzienną, wyzwala najbardziej prymitywne instynkty. Ja sam stanąłem w końcu przed dylematem: czy mówić ludziom prawdę, czy walczyć o głosy wyborcze.

*— Miał pan wątpliwości?*

— Wtedy nie, ale w tej chwili już mam, bo życie pokazało, że lepiej gdybym walczył o głosy wyborcze. Wtedy — być może — prawdę osiągnąłbym w następnej rundzie.

*— Nie.*

— Tak, niestety tak. Ludzie w Polsce naprawdę mają krótką pamięć i opłaca się rzucać słowami bez pokrycia, obiecankami.

*— Opłaca się jednego dnia głosić, że powołuje się radę prezydencką, a drugiego, że polityczną?*

— Zgadza się. Bo u nas uprawianie polityki w rozumieniu czołowych postaci sceny politycznej polega na tym, żeby co chwila co innego mówić.

*— I opłaca się jednego dnia krzyczeć, że z tą UD-ecją jak z UB-ecją żadnego rządu tworzyć nie wolno, a po miesiącu — odwrotnie, że należy?*

— To jest beznadziejne i ja tak nie chcę grać, nie potrafię tak grać, ale to jest opłacalne, dla wielu ugrupowań opłacalne.

*— To znaczy opłaca się mówić, że okazał się pan zdrajcą, złodziejem, aferzystą itp. Większym, niż Mazowiecki poprzednio?*

— Proszę pani, ludziom teraz bardzo często wydaje się, że jak mamy już wolność, to wolno wszystko i tę wolność należy wyrażać w agresji. Myślę, że to takie odreagowanie służalczości, uprawianej przez wielu w poprzednich latach, przegięcie w drugą stronę.

*— W gazetach pisali tak głównie młodzi ludzie.*

— Bo to taka nowa fala, która polega na tym, żeby komuś



„dowalić", bo to daje popularność, jest społecznie akceptowane. Żeby być właśnie niegrzecznym, napastliwym, pokazać swoją siłę, bo niektórym się wydaje, że jak nie będą krzyczeć, to nikt nie dostrzeże, jacy oni są świetni. Więc na wszelki wypadek każdy głośno wrzeszczy: jestem świetny, słuchajcie ludzie, jestem wspaniały. Może to jakieś kompleksy.

*— I Olszewskiemu opłaca się mówić, że doprowadził pan kraj do ruiny?*

— Widocznie tak. Ale Olszewski popełnił według mnie wielki błąd, który zaszkodził nie jemu ani tym jego graczom, ani nie mnie — bo ja, ponieważ mam 40 lat i poza kopaniem w piłkę coś jeszcze umiem, jakoś to przeżyję — ale mówiąc górnolotnie zaszkodził Polsce. Polska nie jest krajem Europy Zachodniej, gdzie politycy mogą uprawiać jakieś tam swoje gry, które społeczeństwo niewiele obchodzą, bo ludzie żyją w miarę dostatnio i państwo dobrze funkcjonuje. Polska jest w okresie transformacji i gdybym ja popełnił ten błąd i przychodząc totalnie skrytykował rząd Mazowieckiego, co z punktu widzenia *public relations* byłoby wskazane i nawet merytorycznie uzasadnione, to udowodniłbym w ten sposób społeczeństwu, że rok wyrzeczeń nie miał żadnego sensu. Olszewski i większość ugrupowań w sejmie chce teraz udowodnić, że dwuletnie wyrzeczenia nie miały sensu. A więc najlepiej właściwie było za komunistów, jak słusznie to skomentował jeden z posłów komunistycznych. Powiedział: to w takim razie powinniśmy wystąpić z propozycją przejęcia władzy, bo cały czas w Polsce było dobrze, tylko przez ostatnie dwa lata mamy do czynienia z katastrofą. W tym jest zresztą jakaś upiorna logika.

*— A może wcale nie było tak źle w tym PRL-u?*

— Ależ co pani mówi?!

*— A może jednak coś dobrego zostało zrobione?*

— Proszę pani, ja się z panią w ogóle nie zgadzam. Bo i tak i nie. Generalnie jednak uważam, że zostało zrobione bardzo dużo złego i złe rzeczy zdecydowanie przeważają nad dobrymi. Owszem, myśmy dużo zbudowali i dróg, i mieszkań, i fabryk, tylko po pierwsze: cały ten proces budowania nie był związany z logiką ekonomiczną, decyzje podejmowano w oparciu o kryteria polityczne, co się musi zemścić, kiedy przechodzi się na regulację rynkową. Po drugie: mieszkania, czy fabryki były budowane jak najgorszą technologią i nie ma co teraz z nimi zrobić, one nie wytrzymują zimnych kryteriów rynkowych. Patrząc

historycznie: lata czterdzieste, społeczeństwo było w euforii, pracowało nad odbudową kraju, nie żałując sił i nawet zdrowia, można powiedzieć. Pod koniec lat czterdziestych ogłoszono plan trzyletni, jedyny jaki komunistom udało się zrealizować. Lata 50-te: rozbudowaliśmy przemysł ciężki, potrzebny do zbrojeń. Rok 1956 — drugi okres wielkiej nadziei, tym razem krótki, bo zaledwie paromiesięczny, więc właściwie epizod. Lata 60-te: okres ewidentnego zastoju gospodarczego, w ekonomii nazywanego autarkią gospodarczą, czyli izolacja i stanie w miejscu. W tym czasie inne kraje, zwłaszcza zachodnioeuropejskie, dokonały u siebie rewolucji przemysłowej, a nam stworzono iluzję państwa, do głowy wbijano nam, że Polska jest 10-tą potęgą przemysłową świata, co było kompletną humoreską. A na dowód podawano ilość wydobytego węgla czy wyprodukowanej stali. I gdyby jeszcze enerdowską metodą dodać do tego ilość medali zdobywanych na olimpiadach, można było wpaść w zachwyt. Potem lata 70-te, przyszedł Gierek i wymyślił, że trzeba pożyczać pieniądze, wtedy my się też rozwiniemy. Pożyczył 24 miliardy dolarów i dzisiaj widzimy, co to dało. Dla mnie dodatkowo był to okres skomplikowanych dylematów moralnych. Moi koledzy postanowili skorzystać z koniunktury i zaczęli robić błyskawiczne kariery. Ja zaś miałem dylemat: albo iść z nimi, albo zostać w miejscu. Do dziś pamiętam, jak mój wspaniały kolega podsumował te rozterki: bądź realistą — powiedział — a nie jakimś tam ideowcem, a do harcerstwa — jak mówiono na PZPR — i tak będziesz musiał się zapisać, bo to jedyny rozumny sposób postępowania. On się zapisał i zrobił rzeczywiście dużą karierę.

Wreszcie lata 80-te: walka polityczna ze społeczeństwem, izolacja zagraniczna i brak dostępu do środków finansowych, narastający dług, drukowanie pustego pieniądza i kręcenie się w miejscu bez podejmowania jakichkolwiek gospodarczych decyzji.

*— Czyli komunizm był tym, czym okupacja hitlerowska w Polsce, tak?*

— Pani chodzi o moją wypowiedź w Davos?

*— Tak, powiedział pan tam, że rak komunizmu zniszczył Polskę bardziej, niż wojna.*

— Powiedziałem trochę inaczej, w szerszym kontekście te słowa inaczej brzmiały. Ale widzi pani. Dla mnie nie ma nic gorszego, jak wprowadzać człowieka w błąd. To zresztą potem mści się najbardziej i najskuteczniej. Komunizm stworzył właśnie wiele iluzji społecznych.



*— „Solidarność" więcej.*

— Na pewno nie. „Solidarność" stworzyła iluzję powszechnej szczęśliwości, która jest cudowna, ale nierealna. Natomiast komunizm wytworzył miliony konkretnych zachowań, które z punktu widzenia empirii są fałszywe. Stworzył iluzję w zakresie pracy, tłumacząc, że ważne są potrzeby, a nie wydajność i że wysokość zarobków powinna wynikać z oczekiwań, jakie się ma, a nie z realnego wkładu pracy. Stworzył mit klasy wielkoprzemysłowej, która powinna zarządzać polską gospodarką, bo tylko ona wie, jak to robić najlepiej.

*— Dzięki niemu mieliśmy „Solidarność".*

— Zdeptał kwalifikacje. Zniszczył środowisko naturalne, bo ochrony żadnej nie było. Bezpieczeństwo i higiena pracy stały się pustymi hasłami. Doprowadził do olbrzymiej fikcji w naukach społecznych i w nauczaniu tych nauk na wyższych uczelniach. Mogę tak wyliczać w nieskończoność. To wszystko razem spowodowało, że znaczna część społeczeństwa, która uczciwie i ciężko pracowała przez wiele lat — wielu straciło zdrowie, niczego się nie dorobiło — dzisiaj staje wobec smutnej refleksji, że jej praca nie miała właściwie żadnego sensu.

*— I przyszła „Solidarność", obiecując: mieszkania, wyższe zarobki, po 100 mln dla każdego, w dwa lata.*

— Oczywiście i to był błąd z naszej strony, olbrzymi.

*— Pan już wie, Unia wie, a czy inni — wiedzą? Czy wie KPN, PC, ZChN i tych 100 innych partii, które zalewają nas słowami?*

— Proszę pani, ja coraz bardziej jestem pesymistą. Dzisiaj, niestety, w Polsce istnieje wiele partii, nieważne jest co one głosiły, czy głoszą, nieważne co obiecywały i obiecują nadal, obawiam się, że ich pozycja w społeczeństwie i ich przyszłość związana jest przede wszystkim nie z ich programem, ale z ekonomicznymi podstawami ich działania. Taka powstała po prostu przedziwna sytuacja. Są więc partie, które mają na przykład gazety i są partie, które gazet nie mają.

*— Kongres Liberałów nie ma.*

— Bo myśmy tego sobie po prostu nie załatwili. Nie wykorzystaliśmy ani jednego przywileju władzy, żeby umocnić swoją pozycję, czy rozpropagować swój program.

— *Nie chcieliście. Tusk mówił, że wystarczy wam 2 tys. członków.*

— To z takiego odjazdowego gdańskiego patrzenia na rzeczywistość. Z wiary, że członków partii powinien łączyć nie tylko interes polityczny, ale także wzajemne rozumienie się i ideały. Nie wiem, co było dla nas wtedy ważniejsze: ideały czy zrozumienie, że Kongres jest grupą ludzi bardzo różnych, często nieprzystających do siebie, ale równocześnie szanujących swoją odrębność, której nikt nie narusza. Natomiast w tej chwili polityka staje się grą zawodową i jeżeli iluś tam działaczy Porozumienia Centrum załatwiło sobie mieszkania służbowe z Kancelarii Prezydenta, oznacza to, że działacze ci będą sprawniejszymi funkcjonariuszami partii w przyszłości. W przeciwieństwie do działaczy Kongresu, którzy po zakończeniu służby państwowej stają przed dramatycznym pytaniem, gdzie mieszkać i za co żyć.

— *Mówi pan o sobie?*

— Między innymi. A to oznacza także, że ich dyspozycyjność wobec partii w tym momencie się kończy. Inny przykład: jeżeli niektóre banki, czy centrale handlu zagranicznego życzliwie spoglądają na Porozumienie Centrum, oznacza to, że PC będzie mogło wydawać swoje ulotki, broszury propagandowe, czy inne materiały niezbędne dla partii. W przeciwieństwie do Kongresu, któremu grozi, że gdy zechce, nie będzie miał za co swoich sensownych myśli wydać. To jest profesjonalizacja życia partyjnego, która jest nieuchronna i do której my sami w końcu dążyliśmy. Profesjonalizacja po prostu będzie wymuszała profesjonalne postawy u polityków.

— *A pan już nim jest?*

— To śmieszne. Do kampanii wyborczej mówiłem: ja tam nie żaden polityk. Mówiłem: jestem człowiekiem, który do polityki trafił z poczucia odpowiedzialności. Tak mi się wtedy wydawało, a dzisiaj mam wielkie kłopoty z odpowiedzią na takie pytania. Obawiam się bowiem, że życie mnie zmusza. I teraz powinienem mówić: nie chcę, ale muszę

— *nie chcem, ale muszem*

— no właśnie, ale to już zajęte. To jest już zajęte.

*Rozmawiała Teresa TORAŃSKA*

## *Sąsiedzi*

# Notatki z Rosji

Sezon ogórkowy. Wszyscy wyjechali na urlop: prezydent Rosji, Rada Najwyższa, Trybunał Konstytucyjny itd. Na początku lata na Rosjan znów padł strach: przewrót, pucz! Obawy nie były pozbawione logiki: skoro w zeszłym roku w sierpniu odbyła się próba puczu, dlaczego nie miałaby się odbyć w tym roku? Tym bardziej, że sytuacja się pogorszyła. Pogłoski były tak natrętne, że Borys Jelcyn oświadczył: nie bójcie się, zostaję w sierpniu w Moskwie, będę z wami. Ponieważ w ubiegłym roku zapobiegł przewrotowi, wszyscy się uspokoili. Borys Nikołajewicz, widząc spokój, udał się na urlop, ale nikt się już nie przestraszył: letnie strachy na lachy. Wkrótce zaczną się zimowe.

Życie w Rosji przypomina życie przed wynalezieniem zegara. To łatwo zrozumieć. Kapitalizm narodził się wraz z wynalezieniem zegara, który wybijał kwadranse. Stało się to w Norymberdze w XVI wieku. Minuta stała się skarbem: czas to pieniądz. W Rosji czas nie ma jeszcze żadnej wartości. Wszystkie dramatyczne problemy, wszystkie wybuchowe konflikty zacierają się, rozpływają i jeśli nie znikają, to zostają odłożone na później. Rada Najwyższa Rosji w zaskakującym tempie opanowała parlamentarne instrumentarium: wszystko co nie zostanie rozwiązane od ręki, zostaje przekazane komisjom. Rada oswaja się także z innymi tajnikami działania parlamentu: np. przy analizie niedawnego głosowania na temat losu gazety *Izwiestia* wyszło na jaw, że głosowali także posłowie, których nie było na sali.

Co za szczęście: zniknęły wszelkie tabu, wyszły na jaw wszystkie tajemnice, opublikowano wszystkie (prawie!) archiwa. Nie ma już sekretów ani zagadek. A jednak, kiedy zadawałem elementarne zdawałoby się pytanie, kto obecnie rządzi Rosją, nie umieli mi odpowiedzieć ani doradcy byłego prezydenta Rosji, ani doradcy obecnego prezydenta Rosji, ani deputowani do Rady Najwyższej, ani członkowie Trybunału Konstytucyjnego, ani wybitni pisarze i dziennikarze. Nie umieją odpowiedzieć, bo nie wiedzą. W dobrze

znanym, zrozumiałym ustroju komunistycznym odpowiedź była prosta: wszystkim rządziła, wszystkim kierowała i o wszystkim decydowała partia. Oczywiście machina była ogromna, między jej trybami przemykały się rozmaite skromne liczbowo, ale wpływowe siły. Ale to były szczegóły. Zasada nie budziła wątpliwości.

Dzisiaj wszystko się pogmatwało: pretendentów do władzy jest tylu, że na bezkresnym obszarze Rosji rządzą zarazem wszyscy i nikt. Dwa lata temu odbyły się pierwsze wolne wybory spośród kilku kandydatów. Rok temu w taki sam demokratyczny sposób wybrano prezydenta. A 19 lipca 1992 nie odbyły się wybory rosyjskiego deputowanego z podmoskiewskiego Dimitriewskiego Rejonu. Głosowało tylko 29,98% wyborców. Taka frekwencja nie zdziwiłaby w Stanach Zjednoczonych ani w żadnym innym kraju o starych demokratycznych tradycjach. Dlaczego jednak demokracja tak szybko znudziła się rosyjskim wyborcom, którzy nie zdążyli jeszcze do niej przywyknąć? W tym przypadku odpowiedź jest znana. Dla mieszkańców komunistycznego raju demokracja, którą przez siedemdziesiąt lat wyśmiewano i wyszydzano, a przez pięć wynoszono pod niebiosa — była synonimem dobrobytu. Za komunizmu było źle, za demokracji będzie dobrze. Okazało się, że nie całkiem. Życie jest jeszcze trudniejsze, aczkolwiek wolne...

Wyborcy z Dimitriewskiego Rejonu mieli z czego wybierać: usługi proponowało dwunastu kandydatów. Widnieli wśród nich socjaldemokraci, komuniści, partie chłopska, liberalno-demokratyczna, socjalno-liberalna i inne organizacje i ruchy. Lektura programów wskazuje, że większość kandydatów surowo ocenia rząd. Na przykład komuniści domagali się swego: „Jesteśmy przekonani, że w osobie [kandydata] uzyskamy spodziewane poparcie w walce przeciw rządowi Jelcyna i Gajdara, który doprowadził naród do nędzy". Walerij Skurłatow, założyciel rosyjskiego Frontu Narodowego, człowiek, który wsławił się propagowaniem rosyjskiego faszyzmu z końca lat 50-tych, obiecywał, że będzie walczył o „odrodzenie potężnej rosyjskiej państwowości w jej prawdziwych granicach geopolitycznych sprzed 1945 r.", „rozwój wszystkich narodów kraju, zwłaszcza rosyjskiego", „ukaranie handlarzy, chuliganów i sprzedawczyków" itd. Kandydowali rzecz jasna także demokraci, którzy przemawiali cicho i bezbarwnie. Ale wszystkim programom i wszystkim kandydatom wyborcy powiedzieli: dziękujemy, obejdzie się!

Komentując niedoszłe wybory, *Izwiestia* pisały: „Naród jest zmęczony. Żadne partyjne programy i deklaracje nikogo już nie interesują, nikt im nie wierzy. Nawet zaufanie do poszczególnych osób, na ogół częstsze aniżeli zaufanie do programów politycznych, wyczerpało się do cna" (21.7.92).

Wymownym świadectwem braku zaufania do przywódców politycznych były wyniki sondażu. Borys Jelcyn po raz pierwszy utracił miejsce najpopularniejszego przywódcy Rosji. 24% indagowanych wyraziło mu „pełne zaufanie', 33% — „częściowe". Byłyby to niezłe wyniki, gdyby wiceprezydent Aleksander Ruckoj nie zdobył równocześnie 28% i 36%. Sytuacja przypomina czasy, kiedy najpopularniejszy przywódca Związku Sowieckiego, ojciec *pieriestrojki* Michaił Gorbaczow, sprzyjał wzrostowi popularności Jelcyna. Bez pomocy Ruckiego, twórcy frakcji parlamentarnej „komunistów demokratów", Jelcyn nie zostałby wybrany przewodniczącym Rady Najwyższej, ostatniego szczebla na drodze do prezydentury. Jelcyn odwdzięczył się „demokratycznemu komuniście" stanowiskiem wiceprezydenta. Dziś Aleksander Ruckoj skupia uwagę wszystkich sił umiarkowanie narodowo-konserwatywnych.



Odpowiedzi na pytanie „kto rządzi Rosją?" należy szukać w decyzjach, podejmowanych w związku z palącymi problemami bieżącymi. Przede wszystkim zwraca uwagę, że niektóre niezwykle pilne problemy okazują się całkiem łatwe do rozwiązania poprzez odłożenie *ad acta*. Na przykład kwestia floty czarnomorskiej. Wydawało się, że lada dzień wybuchnie wojna między Rosją a Ukrainą. Tymczasem Borys Jelcyn spotkał się w lipcu z Leonidem Krawczukiem i obaj prezydenci zdecydowali, że nie ma pośpiechu, flota może pozostać pod wspólną komendą jeszcze kilka lat. Przede wszystkim jednak przeszli na „ty", nazywają się teraz Boria i Lonia. Po co było się bać, krzyczeć, straszyć?

Jelcynowi udało się też dogadać z Edwardem Szewardnadze co do stworzenia „pokojowej siły", która rozdzieliła wojującą ludność południowej Osetii, oraz z prezydentem Mołdawii Sniegurem co do wprowadzenia „pokojowych wojsk" w strefę oddzielającą Mołdawańców od Naddniestrza. Okazało się więc, że nie są to problemy trudne. Z łatwością rozwiązano też — chwilowo — problem *Izwiestii*. Po sierpniowym „puczu" 1991 r. rządowa gazeta ogłosiła niezależność. W lipcu br. Rada Najwyższa z inicjatywy przewodniczącego Rusłana Chasbułatowa postanowiła przekształcić *Izwiestia* w swój organ. W obronie niezależności gazety stanął wicepremier, minister Połtoranin. Sam Jelcyn oświadczył, że gotów jest bronić gazety. Wojna między prezydentem a parlamentem wisiała na włosku. Po czym wszystko rozpłynęło się jak sen. Parlament pojechał na urlop, gazeta jak wychodziła tak wychodzi. Inny przykład: Trybunał Konstytucyjny rozpatruje sprawę partii komunistycznej. Pisałem już o tym. Gazety pełne są dramatycznych głosów w obronie partii i przeciw partii. Zażarte spory. 31 lipca występuje jako świadek oskarżenia Władimir Bukowski, cytuje nadzwyczajne dokumenty archiwalne, które odkrył w „specjalnej szafie w KC", o tym jak wyższe instancje partyjne osobiście kierowały walką z dysydentami. Tego samego dnia sąd przerwał obrady — prawdopodobnie do początku września. Już dziś widać, jak trudno będzie podjąć decyzję: nie sposób, jak żądają komuniści, uchylić rozkazu Jelcyna — majątek partyjny trzeba będzie oddać; nie sposób, jak żądają demokraci, napiętnować partię jako organizację przestępczą, bo to zrewoltuje miliony byłych członków partii. Najlepiej wsunąć sprawę pod sukno, niech leży...

Leży też, wciąż nie rozwiązana, sprawa własności ziemi. Ukazy,

pozwalające na prywatną własność ziemi, mają charakter fragmentaryczny. Ustawy o reformie rolnej wciąż brak. Co więcej, nawet istniejące ukazy nie są wykonywane albo są wykonywane zgodnie z widzimisię miejscowych władz. Podobnie jak przedtem, wszystko zależy od kołchozów i sowchozów. Nastroje w nich panujące dobrze wyraził doktor nauk technicznych, profesor tulskiej politechniki P. Martynow. W artykule pt. „A jednak... niech żyje komunizm", ogłoszonym w *Prawdzie* 9.7.92, pisze: „Co najmniej dziwne są natrętne, często wprost histeryczne apele o oddanie ziemi w prywatne ręce, tj. w prywatne władanie. Znaczy to dokładnie tyle, co gdyby podzielić i oddać w prywatne ręce np. powietrze albo pole magnetyczne Ziemi! A jak będziemy dzielić cyklony?". W rezultacie praktycznie cała ziemia pozostaje w rękach kołchozów i sowchozów, podobnie jak powietrze i cyklony. W związku z tym kilkadziesiąt tysięcy „farmerów", czyli chłopów, którzy zdecydowali się objąć na własność ziemię, walczy z niewyobrażalnymi trudnościami przy uprawie ziemi, zbiorach i sprzedaży płodów.

Na rezultaty nie trzeba było długo czekać. W wywiadzie udzielonym agencji prasowej Itar-Tass Rusłan Chasbułatow podsumował: „Musimy jasno zdać sobie sprawę, że przez dwa lata sprawowania władzy nie odnieśliśmy ani jednego zwycięstwa, mamy wyłącznie porażki". (*Sowietskaja Rossija*, 4.6.92.). Jest to wyznanie człowieka władzy, przewodniczącego Rady Najwyższej Rosji — trzeciej osoby w państwie! Jest on zdecydowanie niezadowolony z rządu: „Widać dziś coraz wyraźniej, że większość członków rządu nie jest zdolna do jakiegokolwiek zarządzania gospodarką, nie mówiąc już o jasnym poglądzie na to, jak wprowadzić w czyn reformę rynkową".

Niezadowoleni są wszyscy. Wszyscy są w opozycji. Wątpliwości co do programu rządowego wyrażają wiceprezydent, przewodniczący Rady Najwyższej, mnóstwo partii, grup, ruchów i prądów. Partie opozycyjne (zwróćmy uwagę, że partia rządowa nie istnieje) łączy kilka wspólnych cech: są bardzo nieliczne, nie mają rozwiniętej struktury i w zasadzie są tożsame ze swoim wodzem — z reguły posłem do Rady Najwyższej, byłym wysokim funkcjonariuszem partyjnym. Zgodnie z tradycją należałoby mówić o partiach od prawicy do lewicy (albo od lewicy do prawicy), ale jak odróżnić prawicę od lewicy? Ja w każdym razie nie jestem w stanie tego zrobić. Dlatego wyodrębnię dwie podstawowe grupy — radykałów i umiarkowanych. Pierwszą stanowią komuniści i „patrioci", tzn. ci, których Jelcyn nazywa „czerwono-korzennymi". W tym zbiorze mieszczą się: Rosyjska Komunistyczna Partia Robotnicza, która wzywa do obalenia obecnej władzy i oddania jej w ręce „naczelnego wodza", generała Makaszowa; pozostałe partie komunistyczne (w liczbie pięciu lub sześciu): Rada Narodowo-Patriotycznych Sił Rosji (której przewodzi były przywódca komunistyczny Gennadij Ziuganow); „Ojczyzna", na której czele stoją komentator telewizyjny Aleksander Niewzorow i generał broni Tarasow; Rosyjski Sobór Narodowy pod dowództwem generała KGB Sterligowa i pisarza Walentina Rasputina itd.



Radykałowie zgodnie ze swą naturą wyrażają poglądy skrajne, wzywają do przewrotu i powrotu starych, dobrych czasów. Cieszą się poparciem niewielkiego procentu ludności, ale historia uczy, że wpływy ich mogą wzrosnąć lawinowo, jeśli sytuacja bardzo się pogorszy.

„Umiarkowani" mają wpływ na politykę, ponieważ rdzeń tego ruchu stanowi „partia dyrektorów". Pisałem w maju 1992 roku o organizacji, stworzonej przez Jurija Skokowa, a nazwanej „Konferencją". Skupia ona dyrektorów, przewodniczących rad robotniczych, krótko mówiąc „wytwórców". Jurij Skokow jest, jak wspomniałem, jednym z wpływowych członków „komanda" Borysa Jelcyna. „Konferencja" opracowała program, który przewiduje zachowanie w znacznej części gospodarki scentralizowanej i działa jako siła antyrynkowa. Słabość „Konferencji" polega na tym, że brak jej oparcia w masach.

Latem bieżącego roku powstała struktura — innego słowa nie znajduję — która niewątpliwie cieszy się dziś największymi wpływami i której wpływy najprawdopodobniej będą rosnąć. Zjednoczyły się mianowicie w Związek Obywatelski trzy organizacje: Wszechrosyjski Związek „Odnowa", Demokratyczna Partia Rosji pod przewodem Nikołaja Trawkina i Ludowa Partia „Wolna Rosja", której przywódcą jest Aleksander Ruckoj.

Założyciel Związku Obywatelskiego Arkadij Wolskij jest człowiekiem o dużych ambicjach i być może dużej przyszłości. Funkcjonariusz partyjny za Breżniewa, członek KC i jeden z bliskich współpracowników Andropowa, został wciągnięty przez Gorbaczowa do wąskiego kręgu doradców. Jego nazwisko stało się głośne, kiedy w 1988 i 1989 roku był przedstawicielem KC i Rady Najwyższej ZSSR w Górnym Karabachu. Niepowodzenie misji nie było jego winą — spełniał dokładnie polecenia Gorbaczowa. Zresztą nie zaszkodziło to jego dalszej karierze, ale przybrała ona szczególny charakter. Stanął na czele Związku Naukowo-Przemysłowego ZSSR, który skupia dyrektorów, naczelnych inżynierów, słowem elitę przemysłowo-techniczną kraju. Jeszcze przed krachem *pieriestrojki* związek Wolskiego zaczął z myślą o przyszłości tworzyć sieć handlową. Mówi się wiele o tym, że w sieć tę zainwestowano partyjne pieniądze, których się dziś bezskutecznie poszukuje.

Kiedy ZSSR rozpadł się, Arkadij Iwanowicz Wolskij przekształcił Związek Naukowo-Przemysłowy w Rosyjski Związek Przemysłowców i Przedsiębiorców (RSPI); uzupełnia go Międzynarodowy Kongres Przemysłowców i Przedsiębiorców, do którego należą organizacje z krajów WNP, Nadbałtyki, Gruzji, Bułgarii, Polski, Węgier, Czech i Słowacji. O znaczeniu i sile RSPI świadczą liczby: należy do niego 2.130 dużych przedsiębiorstw i 39 asocjacji różnych typów własności; łącznie wypuszczają one 65% produkcji Rosji.

Arkadij Wolskij wniósł do Związku Obywatelskiego bogate wiano. Dwa pozostałe elementy związku — demokraci Trawkina i „Wolna Rosja" Ruckiego — także wniosły swoją dolę: ok. 30%

mandatów poselskich i kilkadziesiąt tysięcy członków swoich partii.

W dużym wywiadzie udzielonym *Krasnoj zwiezdie* (16.7.92) Arkadij Wolskij zdefiniował swoją (i Związku Obywatelskiego) pozycję następująco: „Jesteśmy partią pozycyjną, a nie opozycyjną". Zamierza popierać to, co odpowiada jego poglądom, krytykować to, co mu się nie podoba. Ta wygodna postawa po rozszyfrowaniu wyraża się prosto: chodzi o stworzenie warunków, w których podstawa przemysłu sowieckiego (a w tym też rosyjskiego) — kompleks wojskowo-przemysłowy, zatrudniający siedem i pół miliona ludzi — nie rozpadnie się nagle, pozostawiając na swych zgliszczach gigantyczną armię bezrobotnych. Innymi słowy: reforma — ale stopniowa, prywatyzacja — ale ostrożna, pod kontrolą centrum.

Pierwsze owoce działań Związku Obywatelskiego już są widoczne — w szeregi ministrów wprowadzono trzech „ludzi Wolskiego". Należy do nich wicepremier Władimir Szumiejko. Prezesem Banku Rosji mianowano byłego prezesa Gosbanku ZSSR. Wznowiono w dużej części dotacje państwowe dla deficytowych dużych przedsiębiorstw, dotuje się też ponownie niektóre produkty żywnościowe.

W efekcie tempo reform zostało chwilowo zwolnione.

13.8.1992

*Adam KRUCZEK*

## Z PRASY UKRAIŃSKIEJ

**MAJ: Na bulwarze Lenina w Kijowie w pomieszczeniach agencji prasowej Ukrinform otworzyło swoje przedstawicielstwo Ukraińskie Biuro Radia „Swoboda". Również rozgłośnia BBC rozpoczęła nadawanie audycji w języku ukraińskim. W Polsce od kilku miesięcy rozgłośnia białostocka nadaje cotygodniową półgodzinną audycję pt. „Dumka ukraińska", którą prowadzi Jerzy Misiejuk. ■ W sprzedaży pojawił się numer drugi nowego pisma mniejszości ukraińskiej w Polsce pt. *Nad Buhom i Narwoju* („Nad Bugiem i Narwią"), wydawanego przez Podlaski Oddział Związku Ukraińców w Polsce oraz przez zgłoszony do rejestracji Związek Ukraińców Podlasia. *Nasze Słowo, Zustriczy, Hołos Berestejszczyny* i *Nad Buhom i Narwoju* — to pisma ukraińskiej mniejszości w Polsce. Ostatnie z wymienionych, po wycofaniu się Ministerstwa Kultury i Sztuki RP z finansowania działalności kulturalnej mniejszości narodowych, jest publikowane wyłącznie ze środków własnych Związku Ukraińców w Polsce. ■ Na Ukrainie zarejestrowano ponad 500 przedsiębiorstw z zagranicznym kapitałem (dla porównania w Polsce jest ich ponad 7 tys.). Według ministerstwa statystyki Ukrainy państwo to w pierwszym kwartale tego roku wyeksportowało towary wartości 15 miliardów rubli. Nie wystarcza to jednak, by zahamować lawinowo rosnący deficyt budżetowy. Ukraina rozpaczliwie potrzebuje zagranicznych inwestycji.**



**■ Przewodniczący i założyciel Ukraińskiej Partii Republikańskiej Ławko Łukianenko został mianowany posłem w Kanadzie. Jego następcą, wybranym na trzecim zjeździe UPR, został Mychajło Horyń. Część delegatów, pod przewodnictwem Stepana Chmary, utworzyła Partię Radykalną, później przemianowaną na Ukraińską Konserwatywną Partię Republikańską. ■ 25 maja na Ukrainie i w diasporze obchodzono uroczyście 66-tą rocznicę śmierci Stepana Petlury, narodowego przywódcy walczącego z bolszewikami o wolność Ukrainy w latach 1919-21, zamordowanego w Paryżu w 1926 roku. ■ W 1992 roku mija pięćdziesiąt lat od utworzenia Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińskiej Powstańczej Armii. Na emigracji powołano komitety organizacyjne do obchodów tej rocznicy. Główne uroczystości odbywać się będą przez kilka miesięcy na Ukrainie Zachodniej. ■ W Równem na Ukrainie wydano zbiór wierszy Ołeny Telihy „Najhostrisze słowo Ukraina". Przyczyniły się do tego starania Związku Pisarzy i wydawnictwa „Azalia" Jest to pierwsze na Ukrainie wydanie utworów tej poetki rozstrzelanej przez hitlerowców w 1942 roku za działalność w OUN. ■ „Słowo do pisarzy rosyjskich" wystosowało prezydium Związku Pisarzy Ukraińskich 29 maja w Kijowie (opublikowane następnie w 22 (4483) numerze *Literaturnoj Ukrainy*, wzywając ich do zajęcia stanowiska w dramatycznym dla obu narodów momencie spięcia politycznego i powszechnie panującego w byłym ZSSR kryzysu. „Pośród nielicznych trzeźwych głosów rosyjskich demokratów nie słychać głosów rosyjskich pisarzy" — oskarżają ukraińscy twórcy. „Prawie nikt nie powiedział słowa w obronie narodu ukraińskiego, który według zamierzeń pewnych polityków ma obecnie pełnić funkcje kolejnego wroga. Na tego wroga będzie można zrzucić winę za kłopoty Rosji, chociaż oba nasze narody są dzisiaj w identycznej, ciężkiej sytuacji (...). Czy nawet wśród was — elity rosyjskiej inteligencji — nie znajdzie się nikt, kto ocali honor wielkiego narodu rosyjskiego? — pytają ukraińscy pisarze. CZERWIEC: Powstał Związek Ukraińców w Rosji, rodzaj federacji zrzeszającej rozmaite ukraińskie organizacje rozproszone na olbrzymim terytorium rosyjskiego państwa. Istotą działalności ZUR będzie obrona obywatelskich praw Ukraińców, utrzymywanie łączności kulturalnej z krajem i rozwój współpracy między rozmaitymi narodami Rosji. ■ Ożywiły się organizacje łemkowskie na Ukrainie, w Polsce i Czecho-Słowacji, zwłaszcza Stowarzyszenie „Łemkowszczyzna", działające we Lwowie. Stowarzyszenie zorganizowało na początku czerwca w Tarnopolu Ogólnoukraiński Kongres Łemków, który wystosował do Rady Najwyższej Ukrainy i prezydenta Krawczuka odezwę. Łemkowie domagają się od władz ukraińskich interwencji w sprawie wyjaśnienia okoliczności ich deportacji w latach 1944-47, dokonania politycznej oceny akcji „Wisła" i wynegocjowania z władzami RP odszkodowań i oficjalnej rehabilitacji ukraińskiej społeczności. ■ W Kijowie otworzył swoją siedzibę nadzwyczajny i pełnomocny poseł Chińskiej Republiki Ludowej Czan-Czeń. W bieżącym roku Chiny ustanowiły normalne stosunki dyplomatyczne z Ukrainą. ■ Podział broni konwencjonalnej między państwa byłego ZSSR: Rosja — 54%, Ukraina — 27%, Białoruś — 12%. Resztę podzielono między Armenię, Gruzję, Mołdawię, Azerbejdżan. Rosja otrzymała 6,4 tys. czołgów, 11,48 tys., pojazdów opancerzonych, 6,154 tys. dział, 3,45 tys. samolotów, 0,89 tys. helikopterów. Ukraina otrzymała 4,08 tys. czołgów, 5,05 tys. pojazdów opancerzonych, 4,04 tys. dział, 1,09 tys. samolotów, 0,33 tys. helikopterów. Białoruś natomiast — 1,8 tys. czołgów, 2,6 tys. pojazdów opancerzonych, 1,615 tys. dział, 0,26 tys. samolotów i 0,8 tys. helikopterów. Dane o dokonanym podziale obejmują tylko europejską część byłego ZSSR. Wiadomo jednak, że w jego azjatyckiej części, a także za Uralem i na Syberii zgromadzono wielką ilość broni, której nie wlicza się**

**do kontyngentu uzbrojenia ustalonego przez Europejską Konferencję Bezpieczeństwa i Współpracy. Według limitów KBWE armia ukraińska powinna liczyć 450 tys. żołnierzy. ■ Według informacji podpułkownika gwardii narodowej W. Hudenka powstał projekt odbywania służby wojskowej na zasadach kontraktu. Kontrakt będzie zawierany na trzy lata i może być przedłużany. Górna granica wieku żołnierza i oficera w służbie kontraktowej będzie wynosić 45 lat. ■ Diaspora w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie organizuje Fundusz Obrony Ukrainy mający na celu finansowe wsparcie tworzącej się armii. Zebrano już kilkaset tysięcy dolarów. ■ W Kijowie powołano Fundację Iwana Mazepy, której celem jest umocnianie państwa ukraińskiego i opieka nad narodową kulturą. Pierwszy finansowy dar złożył prezydent amerykańskiego Funduszu Dzieciom Czarnobyla Zenon Matkiwskij — 20 tys. dol. US. ■ W Ministerstwie Sprawiedliwości Ukrainy odbyła się rejestracja organizacji kozaków zaporożskich. Dokument rejestracyjny otrzymał hetman kozactwa Wiaczesław Czornowił. ■ Wedle danych Ministerstwa Oświaty Ukrainy 28 tysięcy dzieci żyje obecnie na terytoriach skażonych promieniowaniem po wybuchu w elektrowni czarnobylskiej. ■ Ministerstwo Statystyki Ukrainy podało, że do 21 tysięcy szkół powszechnych uczęszcza 6 milionów 900 tysięcy dzieci. Działają 103 gimnazja i 73 licea. Ukraińskojęzycznych uczniów było w minionym roku szkolnym 49,3%. ■ W dniach 5-6 czerwca w Krakowie działało centrum kultury ukraińskiej, które jest integralną częścią Fundacji św. Włodzimierza. Prezentowano prace malarskie Jerzego Nowosielskiego i Tarasa Wengrynowicza, artystów związanych z tradycjami malarstwa ukraińskiego. Przybyło także wielu ukraińskich artystów, pisarzy, naukowców. Obecni byli duchowni kościoła prawosławnego i greckokatolickiego oraz kardynał F. Macharski. ■ Pod patronatem rektora Uniwersytetu Szczecińskiego i wojewody szczecińskiego odbyła się w dniach 12-14 czerwca w Szczecinie międzynarodowa konferencja naukowa poświęcona 45-tej rocznicy akcji „Wisła". Głównym tematem sesji była kwestia znaczenia akcji „Wisła" na tle stosunków polsko-ukraińskich w XX wieku. Udział w niej wzięli politolodzy, socjologowie, historycy z Polski, Ukrainy i Stanów Zjednoczonych. Uczestnicy konferencji wystosowali uchwałę skierowaną do władz polskich w sprawie ujawnienia materiałów archiwalnych związanych z akcją „Wisła", powołania wspólnej polsko-ukraińskiej komisji do zbadania wszelkich okoliczności politycznych, społecznych i wojskowych podjętej przez władze w roku 1947 akcji. „Uczestnicy Konferencji uważają, że dla pełnego uregulowania dobrosąsiedzkich stosunków między Polską i Ukrainą konieczne jest uznanie przez polski Sejm akcji 'Wisła' za akt bezprawia i przestępstwo przeciw ludzkości, które miało na celu asymilację i wynarodowienie Ukraińców, oraz anulowanie wszystkich aktów prawnych z nią związanych (z 1947, 1949 i 1958 roku)..." — napisali w uchwale uczestnicy sesji. ■ Prezydenci 11 państw, z regionu Bałkanów, Zakaukazia i basenu Morza Czarnego, w tym Rosji i Ukrainy, podpisali 25 czerwca w Stambule porozumienie zapowiadające utworzenie Czarnomorskiego Wspólnego Rynku wzorowanego na EWG. ■ 25-26 czerwca w Kijowie odbył się Ogólnoukraiński Sobór Prawosławny, który podjął decyzję zjednoczenia dwóch kościołów — Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej i Ukraińskiej Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej w Ukraińską Prawosławną Cerkiew — Patriarchat kijowski. Głową pojednanej Cerkwi został patriarcha UACP Mstisław, a jego zastępcą metropolita Fiłaret. Poinformowano, że Sobór skasował akt z 1686 roku o przyłączeniu metropolii kijowskiej do Moskwy. Językami liturgicznymi nowego Kościoła będą starocerkiewnosłowiański i ukraiński.**

***Bogusław BAKUŁA***

# *Kronika kulturalna*

## O chłodnej wodzie

Rzeczy się psują, jak mówi Platon — lubił powtarzać Bronisław Baczko podczas swych zajęć uniwersyteckich w Warszawie. Po latach wielokrotnie wypadło mi pocieszać mego małego syna: rzeczy się psują, jak mówi Platon w dobrym streszczeniu Bronisława Baczki z Genewy. Michał dorastając usłyszy nieco więcej o najsurowszym z moich nauczycieli. Do czasu osobistego zetknięcia nie żywiłem na temat profesora szczególnie dobrych opinii. Ale seminaria Baczki zachwyciły mnie od pierwszej chwili. Trudno sobie wyobrazić nieporządek umysłowy w chwili, gdy młodzi ludzie próbowali własnymi słowami przekazać treść pism Hegla, często na podstawie lektury w języku oryginału. B.B. nie spuszczając wzroku z referenta, z pochyloną ku niemu głową, spokojnie wysłuchiwał wszystkiego, by w końcu zadać jedno lub kilka prostych pytań. Zdarzało się, że zapytany student improwizował wtedy drugi referat, krótszy i nieporównanie klarowniejszy. Dyskusja znów zwykle zamącała problemy. Kiedyś w jej trakcie profesor wykrzyknął radośnie: tak! tak! — gdy ktoś, a była to chyba Irena Lasota — zauważył, że w książce Lukacsa „Historia i świadomość klasowa" proletariat jest wyraźnie bytem idealnym, obdarzonym dokładnie tymi samymi atrybutami co Bóg osobowy u św. Tomasza. Na ogół jednak omawiano na tym seminarium dzieła bardziej skomplikowane. Gdy wydawało się, że nikt już nie zdoła uporządkować sporów i nieporozumień, zabierał głos profesor. Wracał do tego co usłyszeliśmy, zwracał uwagę na trafność już wypowiedzianych intuicji, tyle że dopiero gdy zostały wyrażone ściśle, stawały się przekonywujące. Dawał przykład cierpliwości i dobrej woli w wysłuchiwaniu pomysłów kalekich, a równocześnie pomysłowości w ich życzliwej, wzbogacającej interpretacji. W tych improwizacjach, nie zatracając na chwilę dyscypliny rozumowania, pan Baczko bywał porywający. Przyjemność słuchania profesora spra-

wiała, że znacznie mniej lubiłem jego drukowane teksty. Wydawały mi się zbyt wyważone, ostrożne. Każde zdanie było rezultatem długiego namysłu, wielokrotnego sprawdzania, odwoływania się do lektur. Podobnie zachowywał się podczas zajęć z małą grupą, w których uczestniczyłem z obowiązku.

Wiosną roku 1966 moi znajomi z Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Warszawskiego byli przygnębieni decyzją władz dotyczącą studiów filozoficznych. Zlikwidowano przyjęcia na pierwszy rok. Miano już tylko doprowadzić do końca tych, którzy rozpoczęli studia wcześniej. Zapowiedziano natomiast rekrutację na studium doktoranckie. Postanowiono zgromadzić tam osoby mające już za sobą studia wyższe w różnych dziedzinach, gotowe zrezygnować z posad i poddać się na 5 lat surowej dyscyplinie w zamian za skromne stypendium. Doktoranci mieli osiągnąć w ciągu pierwszych pięciu semestrów to, na co poświęcano zwykle 5 lat. W ciągu następnych dwu i pół lat mieli ukończyć prace doktorskie. Prace magisterskie kończące pierwszy cykl miały być zarazem rozdziałem przyszłego doktoratu. Na wydziale przyjęto ten zamiar jako zamysł utworzenia szkoły janczarów, karnej bojówki, która w przyszłości zastąpi niesfornych profesorów, a już dokładnie rozprawi się z Leszkiem Kołakowskim. Ma jednak przedtem wysłuchać jego wykładów. Słuchając tego, wpadłem na pomysł żartu: zgłoszenia mojej kandydatury do tej grupy. Zwierzyłem się z mego pomysłu L.K. i uzyskałem jego aprobatę. Uprzedzono mnie, że miałbym szanse będąc matematykiem lub fizykiem. Odradzono mi również wybór na egzaminie tematu z estetyki. Nie traktując przedsięwzięcia z przesadną powagą, idąc tam zabrałem ze sobą zachodni żurnal, by w razie widocznego niepowodzenia udać się na konferencję do mego krawca i coś sobie na pocieszenie zamówić. Odczuwałem zresztą wyraźną potrzebę poprawienia swojej opinii w jego oczach. Poprzednio zaniosłem mu bogato ilustrowane wydawnictwo „Polacy w Wielkiej Rewolucji Październikowej". Zawodowi rewolucjoniści ubierali się bardzo przyzwoicie przed tamtą wojną, a teraz ich fotografie stanowiły najtańsze w Warszawie źródło doskonałych wzorów klap marynarek. Jednak na widok miny pana Świętka uświadomiłem sobie, że przebrałem miarę niefrasobliwości. Ceniłem go nie tylko za jego dzieła, ale za rozmowy. Kiedyś powiedział mi: Panie D., czasem wcale nie jestem pewien, czy dobrze sobą pokierowałem idąc na krawca. Miałbym ochotę raczej pobiec na spacer do Łazienek, zamiast sterczeć nad igłą. Ale gdy robi się zimno i zaczyna padać, myślę, że najlepiej jest być krawcem: człowiek siedzi w domu i wszyscy do niego przychodzą.

Żaden z trzech możliwych tematów na egzaminie nie wydał mi się szczególnie pociągający. Ponieważ jednak siadłem na samym środku bardzo szerokiej ławki, wychodząc przeszkadzałbym kilku osobom, które żwawo już ruszały piórami. Umysłowe przygotowywanie się do wizyty u krawca przestało mnie dość szybko zajmować. Pozbawiony możliwości bardziej interesujących lektur, przystąpiłem do pisania. Decydując się na temat z estetyki, wyraziłem lekki żal, że nigdy dotąd nie zadałem sam sobie postawionego dzisiaj pytania. Zachowując się, jakbym nie znał poprawnej odpowiedzi, udzieliłem jej własnymi słowami, chwilami nakładając drogi, chwilami ją skręcając. Zakończyłem w poetyce podania, pisząc, że gdybym został przyjęty na te studia, umiałbym odpowiadać na podobne pytania. Jak mi potem powiedziano, zyskałem opinię człowieka nie mającego pojęcia o filozofii; natomiast próba nauczania mnie wydawała się czystą przyjemnością.



W zebraniu informacyjnym dla doktorantów prócz naszych nauczycieli, wśród których pewien były ksiądz, były socjalista, były minister agitacji i propagandy z pierwszych lat PRL-u dożywający tu swoich dni zachęcał, by uczestniczyć w jego zajęciach — na szczęście nieobowiązkowych — zaczynających się o godzinie 7.30 rano, brała też udział pani z ministerstwa szkół wyższych. Wydała mi się sympatyczna i po wszystkim poprosiłem ją o udzielenie mi prywatnej rady. Nasze stypendium miało przez pierwszy rok wynosić 1.100 złotych. Można się było jednak od razu ubiegać o podwojenie tej kwoty. Większość moich kolegów musiała korzystać z miejsc w domach akademickich i to bez możliwości uzyskania samodzielnych pokojów, jednak za symboliczną raczej opłatą. Ja miałem już własne (lokatorskie) mieszkanie w spółdzielni i czynsz miał pochłaniać niemal połowę stypendium. Chciałem wiedzieć, czy jest to użyteczny argument, by prosić o podwyżkę. Pani przyjrzała mi się uważnie i spytała: czy naprawdę nie zdaje pan sobie sprawy, że jako posiadacz mieszkania jest pan dla... nas znacznie mniej wdzięcznym obiektem inwestycji?

Na studium każdy z nas mógł wybrać sobie tutora. Tak więc w dawnym lokalu firmy „Old England" za państwowe pieniądze pan Leszek Kołakowski nauczał mnie dowodów na istnienie Pana Boga. Ponieważ już tylko ja go prosiłem o pokierowanie moim umysłem, miał dla mnie nieco więcej czasu. Zadawał mi lektury, sprawdzał postępy w studiowaniu dzieła privat-dozenta z Fryburga Badeńskiego, Bronisława Ferdynanda Trentowskiego. Na spacerach wymienialiśmy też liberalne uwagi na aktualne tematy. Kiedyś, gdy przyniosłem wiadomość, że do Warszawy sprowadzono zagraniczne kapelusze, przeszliśmy nawet z Uniwersytetu na ulicę Świętokrzyską, by zgodnie wykluczyć możliwość nabycia wyrobów wiedeńskiej firmy Hückel, nie ze względu na monstrualną cenę, lecz z powodu zbyt wąskiego ronda.

Jednak na egzaminy miałem być odsyłany do pana Baczki. Z nim też miałem cotygodniowe zajęcia z historii filozofii. Miały one trwać półtorej godziny, zazwyczaj kończyły się w czwartej godzinie. W tym dniu nie byłem już zdolny do dalszych lektur. Musiałem jednak nazajutrz zaczynać je od rana, chcąc odważyć się pójść na następne ćwiczenia. Pierwszy raz w życiu czytałem tylko to, co powinienem. Raz i to na chwilę sięgnąłem po lekturę nieobowiązkową: „Amerykański styl życia" — zbiór rozpraw pod redakcją B. Baczki. Euforyczna swada tych dawnych tekstów pozwoliła mi zrozumieć uwagę i staranność, z jaką ich autor przystępował teraz do pisania i jego sposób postępowania z nami. Nie sugerował nam żadnych poglądów i oszczędzał wskazań. Dbał tylko, byśmy przeczytali i zrozumieli jak najwięcej. Pilnował też, byśmy nie przeskakiwali nad sensem jakiegokolwiek zdania czy informacji. Z równą uwagą czytaliśmy wspólnie teksty Kanta, jak uczyliśmy się opisywać ten oto stół, przy którym wszyscy siedzimy. Mówiąc o czterech nogach tego stołu, musieliśmy zdać sprawę, czy widzimy w tej chwili te nogi, czy obejrzeliśmy dokładnie stół dawniej, a teraz mówimy o tym, co zapamiętaliśmy, czy może tylko wiemy, że większość stołów miewa cztery nogi i teraz korzystamy skwapliwie z tej ogólnej wiedzy o stołach.

Zajęcia te pozwalały przypuszczać, czym może być egzamin. Zarejestrowałem i przełożyłem go z terminu czerwcowego na jesień. Z kompletem Kanta wyjechałem do Czorsztyna. Po trzech dniach miałem poczucie, że nie rozumiem już niczego. Po nocach śniła mi się rozmowa z profesorem. Wreszcie wybiegłem na przechadzkę po wysokich łąkach. Mając w pamięci wstęp B.B. do „Marzeń samotnego wędrowca", zacząłem herboryzować. Układałem bukieciki polnych kwiatów, komponując je z myślą o autorach poznanych w minionym sezonie. Znużony, dla wytchnienia wracałem do lektury. Udało mi się ustalić szczęśliwą równowagę między oboma rodzajami zajęć.

Profesor szybko orientował się, czy mamy przyswojone pensum. Nadal jednak zadawał pytania. Gdy minęło napięcie, zdałem sobie sprawę, że pyta z ciekawości a nie z rutyny, gotów naprawdę przypuścić, że z racji mojej niedawnej lektury nawet ode mnie mógłby się czegoś nowego dowiedzieć. Gdy jednak i ja wykazałem więcej zaciekawienia niż pewności, egzamin mimochem przedłużył się w lekcję, z której wyniosłem nowe wiadomości. Były to raczej wskazania tropów niż zamknięte formuły. Tak więc wprost ze zdanego egzaminu udałem się do Biblioteki Uniwersyteckiej złożyć nowe zamówienia.

Idea, że zadając stosowne pytania właściwie od każdego, na każdym poziomie, możemy się dowiedzieć rzeczy ciekawych i pożytecznych, wydawała się być nie tyle przyjętym założeniem



pedagogicznym co naturalną cechą umysłu Baczki. Nigdy nawet najkrótsze spotkania nie prowadziły do konwencjonalnych, zdawkowych rozmówek. Świadomość, że istnieje ktoś taki, stanowiła zachętę do aktywności umysłowej. Wiedziałem, że ilekroć zechcę o coś spytać, czy nawet samemu coś opowiedzieć, wystarczy pojawić się przed północą na Krakowskim Przedmieściu na skwerku koło kościoła Panien Wizytek, by spotkać B.B. na ostatniej przechadzce z psem.

Czy jednak ja sam potrafiłem naśladować mego nauczyciela i bez uprzedzeń uczyć się wszędzie? Postanowiłem to sprawdzić z okazji ukazania się autobiograficznej książki autora, którego niezbyt ceniłem, Jana Dobraczyńskiego. „Gra w wybijanego", opowiadająca o przedwojennych doświadczeniach pisarza, wydała mi się jednak prozą na poziomie jego fabuł. Zainteresował mnie epizod dotyczący osobistej znajomości z Romanem Dmowskim. Nie dowiedziałem się jednak właściwie niczego o Dmowskim-człowieku. Wszystko sprowadzało się do opisania niezmiernej dumy Dobraczyńskiego z tej znajomości. Zdałem egzaminy z filozofii, pozostając jak dawniej polonistą zdolnym do napisania nieżyczliwej recenzji z nielubianej książki. A przecież znalazłem u Jana Dobraczyńskiego rzecz prawdziwie godną zapamiętania. Fragment o szkolnym lekarzu, zalecającym stanowczo wieczorem myć nogi w zimnej, nawet lodowatej wodzie i opowiadania autora, ile zawdzięcza tej radzie. Ponieważ lektura ta wypadła w okresie silnych mrozów, zaczekałem do najbliższego lata. Rada okazała się znakomita i nabrawszy przyzwyczajenia, nie zrezygnowałem już z niej, gdy nadeszła kolejna zima. W ciągu lat wprowadziłem nawet pewną poprawkę. Ilekroć jestem bardzo zmęczony lub gdy doświadczenia zdają się skłaniać do wniosku, że być może wszystko nie ma sensu, myję w lodowatej wodzie tylko jedną nogę. Wówczas różnica między sytuacją mojej lewej i prawej nogi stanowi pierwszy odruch zachęcający do odtworzenia pełnej skali ocen.

Ubocznym skutkiem tego doświadczenia jest nieufność, z jaką zacząłem traktować maksymę: W zdrowym ciele zdrowy duch.

*Andrzej DOBOSZ*

# Literatura i życie

W dniu 3 marca 1992 roku odbyła się na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim sesja zatytułowana „Literatura i życie — osoba i twórczość Andrzeja Bobkowskiego". Wydarzenie to szczególne, było to bowiem pierwsze tego typu sympozjum wyłącznie poświęcone autorowi „Szkiców piórkiem". Honorowy patronat nad przedsięwzięciem objął bliski przyjaciel i główny wydawca dzieł Bobkowskiego, Jerzy Giedroyc. Sam zaś temat, dość szeroko sformułowany, dał autorom referatów rozległe pole dla krytycznych penetracji i analiz.

Krzysztof Ćwikliński w referacie „Dystans pamflecisty czy paszkwilanta? Uwagi o niektórych aspektach pisarstwa Bobkowskiego" spróbował zanalizować pewną autorską postawę, jaka szczególnie daje się zauważyć w diarystyce. Obydwa pojęcia (paszkwilanta i pamflecisty) są niewątpliwie nieostre, ale możemy wyodrębnić jakieś ich charakterystyczne cechy. Paszkwil jest taką formą literacką, w której autor atakuje pewne idee (nie znajdujące u niego pozytywnych ocen). W pamflecie główną rolę odgrywa atak czy też krytyka osoby, a nie jej poglądów. Obierając taki właśnie podział i określenia obu terminów, Ćwikliński sugeruje, iż w dzienniku Bobkowskiego, a przede wszystkim w jego listach, obecna jest postawa pamflecisty. Pisarz niejednokrotnie przecież, w sposób bezkompromisowy i jednostronny, atakuje czy wręcz napastuje osoby, o których pisze. Czyni tak zarówno w stosunku do zmarłych (Słowacki), jak i w stosunku do współczesnych mu pisarzy, czego najlepszym dowodem jest bezlitosny i niezwykle gwałtowny atak na Czesława Miłosza (w wielu niepublikowanych dotychczas listach).

Aleksander Fiut w tekście zatytułowanym „Ucieczka od Europy" porównywał poglądy oraz zachowanie dwóch „uciekinierów": Witolda Gombrowicza i właśnie Andrzeja Bobkowskiego. Wspólna jest im formacja intelektualna i postawa życiowa, w której dominantę stanowi silny kult wolności jednostki ludzkiej. Pisarze, niejako w obronie owej wolności, podejmują decyzje wyjazdu z Europy do Ameryki Południowej. Tym samym zbliża ich również podobna niechęć do sytuacji, w jakiej usytuowany zostaje współczesny im Europejczyk. Nie zgadzają się na świat ideologii, różnorodnych teorii przeciwstawiających się konkretnemu człowiekowi. Autor „Pornografii" totalitaryzmy uznał jednak za czasowy kryzys kultury europejskiej. Twórca „Szkiców piórkiem" oceniał sytuację bardziej radykalnie. Zauroczenie intelektualistów ideologiami, zwłaszcza komunizmem, uważał za punkt dojścia kilkunastu wieków kultury tworzonej na Zachodzie. W stosunku do człowieka, do samego siebie autorowi „Ferdydurke" brak tego, co dla Bobkowskiego było bodajże najważniejsze — ekstazy istnienia, pełni przeżywania własnego bycia w świecie. Dla autora „Spadku" osoba ludzka stawała się wartością samą w sobie, to właśnie zbliżało go do Conrada, a oddalało od Gombrowicza, któremu postawa „conradowska" była zupełnie obca.



Stanisław Stabro w referacie „Andrzej Bobkowski — biografia symboliczna" przyjrzał się pisarzowi nie tyle od strony jego twórczości, co przez pryzmat jego życia. Kiedy biografia autora towarzyszy tekstowi, sama z czasem staje się dziełem. Tak też się dzieje w przypadku Bobkowskiego. Legenda jego dzieła, którą niewątpliwie daje się zauważyć, jest w prostej linii konsekwencją legendy biograficznej. Wspólnota obu legend staje się podstawowym składnikiem „biografii symbolicznej" autora. Jakie więc elementy tworzą ową biografię? Z pewnością postawa autokreacyjna, która szczególnie dominuje w korespondencji. Jak zauważa Stabro, Bobkowski w licznych listach nieustannie buduje, modeluje swój własny autoportret. Co więcej, pewne epistolograficzne zapisy, jak choćby dotyczące podwójnej emigracji pisarza, z Polski i z Europy, są źródłem kryptolegendy. Innym elementem legendotwórczym, wzbogacającym „biografię symboliczną" autora „Punktu równowagi", jest postawa sprzeciwu wobec tradycyjnego pojmowania osoby pisarza i samej literatury. Dla Bobkowskiego wszystko jest literaturą. Życie i literatura to niemal synonimy. Tę legendę wspomaga również bluźnierczy stosunek do jakiejkolwiek tradycji. Wyraźnie można to dostrzec na kartkach „Szkiców piórkiem". Umieszczony tam, oraz w listach, obraz żony, według autora referatu, także wspomaga proces usymbolicznienia biografii pisarza. Wreszcie jego własna choroba, zmagania się z rakiem oraz śmierć są jakby doskonałym uwieńczeniem „biografii symbolicznej" Bobkowskiego.

W ostatnim referacie pt. „Szkice piórkiem — sylwiczność czy epopeiczność" autorka, Agata Bielak podjęła się analizy genealogicznej głównego dzieła pisarza. Zauważa, że jego dziennik w swojej specyficznej formie zawiera i łączy kilka form gatunkowych. Na tym samym poziomie literackiego zapisu występują obok siebie: diariusz wydarzeń, dziennik intymny, dziennik intelektualny, esej, aforyzm czy anegdota. To urozmaicenie mogłoby wskazywać na sylwiczność utworu autora „Coco de Oro", ale Bielak sugeruje coś zupełnie przeciwnego. Twierdzi, że bogactwo form, jakie uprawia pisarz, włączone w szerokie tło przełomowych wydarzeń ówczesnej historii składa się na swoiście rozumianą współczesną odmianę eposu.

Wszystkie omówione prace dotyczyły różnych aspektów pisarstwa i samej osoby pisarza. Obok siebie wypowiadano sądy już uznane, jak również poglądy dyskusyjne. I właśnie w dyskusji padały głosy, które były znakomitym komentarzem, a jednocześnie wzbogaceniem propozycji przedstawionych przez poszczególnych referentów. Włodzimierz Bolecki stwierdził, że „Szkice piórkiem" są wyjątkowym dziełem w literaturze polskiej. Wyjątkowość ta miałaby polegać na specyficznym i oryginalnym zapisie literackim, nie spoty-

kanym u innych pisarzy również tworzących w czasie wojny. Dziennik Bobkowskiego, w którym widoczna jest przewaga „ja" literackiego, odbierać powinniśmy jako traktat intelektualny, swoją problematyką poruszający się w obszarach: kultury, historii, literatury, polityki, postaw ludzkich itd. Bolecki dostrzega również inny sposób widzenia natury przez pisarza. Zrewolucjonizował on opis natury, który prowadził w formie narracji. Widoczne są też próby połączenia opisu sensualistycznego z opisem intelektualnym. W tak dużym zakresie autor robi to jako jeden z pierwszych w Polsce.

Jerzy Jastrzębski, zabierając głos w dyskusji, podjął problem nieustannie obecny w twórczości Bobkowskiego — problem projektowania samego siebie. W jego diariuszu odkrywamy wykształcony wewnętrzny projekt egzystencji.

Przebieg całej sesji wskazał na gorącą potrzebę wnikliwych krytycznych badań nad twórczością pisarską Andrzeja Bobkowskiego. Jest to pisarz nadal mało znany, nie mający godnego miejsca w obiegu krytycznym. Brak również jego dzieł w obiegu czytelniczym, na co wskazywała słaba frekwencja słuchaczy tego sympozjum. Miejmy tylko nadzieję, że wkrótce „Szkice piórkiem" i tom opowiadań ukażą się w kraju, a KUL-owska sesja odegra tę samą rolę, jak przed kilkoma laty, również pierwsza w Polsce, sesja poświęcona twórczości Herlinga-Grudzińskiego.

*Leszek M. KOŹMIŃSKI*


# LIBELLA

**12, Rue Saint-Louis-en-l'Ile, 75004 Paris, France.**
**Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.**

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
**KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.**
**KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.**
**WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ**
**GALERIE LAMBERT**

**Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.**


## *Ci, co odeszli*

# O Karolu Sterlingu

Dawno, dawno temu, na seminarium profesora Starzyńskiego w Warszawie, wystraszona panienka z prowincji dostała do ręki książkę „La nature morte" Charles Sterlinga. — Pani przeczyta i nam zreferuje — powiedział profesor. I oto nagle w ponurej szarzyźnie mojej młodości coś się otwarło. Nie na to, że taka sztuka w ogóle istnieje: tyle jednak, w Warszawie 1953-go czy 1954-go roku, już wiedziałam. Nie: na to, że tak można widzieć sztukę, że tak właśnie, nie inaczej, można o niej pisać. W moim wspomnieniu była to pierwsza świeżo wydana prawdziwa książka o sztuce, z jaką się zetknęłam. Na pewno się mylę. Nie o to chodzi: chodzi o to, że dla mnie stała się symbolem, że nieoczekiwanie zaważyła na moim życiu, że coś dzięki niej zrozumiałam.

O Karolu Sterlingu nie wiedziałam wówczas nic. Jakaś niewyraźna wiedza, że jest podobno Polakiem z pochodzenia, jakieś mgliste przypuszczenie, że jest być może krewnym Mieczysława Sterlinga, znanego krytyka i historyka sztuki działającego w latach 30-tych w Warszawie.

I rzeczywiście tak było. Karol Sterling, jeden z najwybitniejszych historyków sztuki z pokolenia, które właśnie odchodzi, kustosz muzeum Luwru i Metropolitan Museum w Nowym Jorku, od 1961 do 1972 profesor kilku uniwersytetów w tym mieście, wielki specjalista w dziedzinie malarstwa europejskiego XIV-XIX wieku, człowiek, który, nie bójmy się w końcu tego powiedzieć, zaszczycał, z dotąd niepojętych dla mnie powodów, mego męża i mnie swą przyjaźnią, urodził się w Warszawie w 1901 roku. Po uzyskaniu dyplomu na wydziale prawa Uniwersytetu Warszawskiego wyjechał w r. 1925 do Francji, gdzie za namową swego stryja Mieczysława Sterlinga zapisał się na seminarium Henri Focillona.

Fakt ten miał stać się przełomem w jego życiu. Focillon,

największy z wówczas żyjących francuskich historyków sztuki, skupił wokół siebie wszystkich, którzy się wtedy i w latach późniejszych w tej dziedzinie w tym kraju liczyli: do uczniów jego zaliczał się m.in. niedawno zmarły André Chastel. Sterling wprowadził na to seminarium inną z przyszłych wielkich postaci tej dyscypliny, mediewistę Louis Grodeckiego, o czym sam tak opowiada w rozmowach, które dyrektor Luwru Michel Laclotte opublikował niedawno w katalogu poświęconej Sterlingowi wystawy:

„Kiedy przyjechałem do Warszawy w celu odbycia służby wojskowej, a było to w roku 1928 — stryj powiedział do mnie: Mam tu tapicera, który dla mnie pracuje, naprawdę zupełnie nieprzeciętnego rzemieślnika — artystę. On ma syna, który w tym roku zdaje maturę i bardzo interesuje się historią sztuki. Może mógłbyś mu pomóc i objaśnić choć trochę, jak się obrócić w Paryżu. On się nazywa Grodecki.

Poszedłem do Grodeckich i zastałem tam chłopaka bardzo inteligentnego i dość nieufnego, któremu powiedziałem: — *voilà:* jest w Paryżu grupa historyków sztuki skupiona wokół profesora Focillon, która przyjmie Pana z otwartymi ramionami: nie ma się czego obawiać. A na to młody Grodecki: — Wie Pan, mamy tu w domu rycinę: nikt nie może dojść, co to może być. — Otóż — mówi dalej Sterling — przez największy ze zbiegów okoliczności, ja, który podówczas nic prawie nie wiedziałem z historii sztuki, znałem tę rycinę i mogłem od razu powiedzieć; „To jest pejzaż Gillis'a van Coninxloo rytowany przez Schelte'go w Bolswert". Mały Grodecki zaniemówił.

Po moim powrocie z wojska stryj mi powiedział: — Wiesz, młody Grodecki zaraz na drugi dzień poleciał do Gabinetu Rycin Biblioteki Uniwersyteckiej sprawdzić, czyś się nie pomylił. Odtąd Ci wierzy i pojedzie za Tobą do Paryża".

Przytoczyłam ten fragment wspomnień Karola Sterlinga z kilku powodów. Poza wartością anegdotyczną dotyczącą bardzo wybitnego francuskiego historyka sztuki polskiego pochodzenia, jakim był zmarły w 1982 roku Ludwik Grodecki, cytat ten dobrze ilustruje niektóre cechy osobowości Karola Sterlinga: jego poczucie humoru i pewien dystans, jaki do końca zachował wobec własnej ważności, jego zapierającą dech w piersiach erudycję, jego niewątpliwy talent narratorski.

Karol Sterling zmarł w pełni pracy twórczej, dn. 9 stycznia 1991 roku, w kilka tygodni po śmierci swej żony. W rok później jego uczniowie i przyjaciele zorganizowali w dziale malarstwa Muzeum Luwru (Pavillon de Flore, od 9 kwietnia do 22 czerwca 1992) poświęconą jego pamięci wystawę, w której w kilku salach zgromadzili, pogrupowane w rozdziały następujące



po sobie w takim porządku, w jakim to miało miejsce w życiu uczonego, obrazy i problemy artystyczne, jakimi się zajmował: Malarstwo francuskie XVII wieku; Francuscy prymitywi XIV i XV wieku; Martwa natura; Wędrówki po Luwrze.

Przez więcej niż pierwszą połowę swego życia Sterling był przede wszystkim muzeologiem i położył w tej dziedzinie w Muzeum Luwru, w którym pracował od 1929 do 1961 — z przerwą na okres wojenny, kiedy był kustoszem w Metropolitan Museum w Nowym Jorku — niezmierzone zasługi. W jego liczącej 189 pozycji bibliografii blisko połowę zajmują katalogi wystaw, które tam zorganizował: wśród nich jedną z najpamiętniejszych była „Martwa natura od antyku do współczesności" z 1952 roku, wydana po raz trzeci w Paryżu w 1986, tłumaczona na kilka języków i której polski przekład ukaże się zapewne nareszcie w tym roku; książka — symbol, książka — olśnienie dla mnie niegdyś w Warszawie, a po mnie dla wielu innych.

A przecież nie była ona w karierze Karola Sterlinga żadnym szczególnym wydarzeniem. Dzieło jego życia było zupełnie gdzie indziej: po kilku latach poświęconych malarstwu francuskiemu XVII wieku, latach których owocem była legendarna już wystawa „Malarze realizmu we Francji w XVII wieku" z 1934 roku, która zmieniła radykalnie obraz malarstwa francuskiego tego okresu, przynosząc odkrycie Georges de la Tour'a i kilku innych malarzy tej miary, Sterling zwrócił się, około 1937 roku, ku prymitywom francuskim XIV i XV wieku, przy których, zajmując się, rzecz jasna, po drodze wieloma innymi rzeczami, miał pozostać do końca.

Dwie wielkie syntezy — pisze na ten temat jego uczeń i przyjaciel Michel Laclotte — z 1938 i z 1941 roku i niezliczona ilość książek i artykułów o szkołach i o artystach, których udało mu się zidentyfikować, składają się na *Corpus* francuskiego malarstwa XIV i XV wieku, odpowiadający tym, które Berenson lub Friedländer stworzyli dla prymitywów włoskich i flamandzkich. W historii sztuki naszych czasów dzieło Karola Sterlinga jest odpowiednikiem dzieła tych wielkich pionierów.

Dodajmy do tych uwag należącą do tej samej dziedziny jego twórczości ostatnią pracę Profesora: jego monumentalne dwutomowe „Malarstwo średniowieczne w Paryżu", którego tom pierwszy ukazał się w 1987 roku, a tom drugi, z najwyższą niecierpliwością i nerwowością redagowany i oczekiwany („żebym tylko nie umarł przedtem, proszę Pani") miał szczęście trzymać w rękach gotowy na trzy dni przed śmiercią. Drugim istotnym uzupełnieniem jest przypomnienie, że to Sterling był odkrywcą Enguerranda Quartona, autora „Piety z Avignon", jednego z największych arcydzieł malarstwa francuskiego wszystkich czasów.

Karol Sterling, który był *par excellence* historykiem, w badaniach swoich wychodził zawsze od obrazu. Tak dalece, że niektóre z jego książek są po prostu seriami krótkich monografii obrazów: to studia poszczególnych dzieł zebrane razem pozwalały mu pisać historię sztuki, zamiast by pisana historia sztuki wspierana była przykładami dzieł ilustrującymi opisywane procesy.

Wszyscy piszący o nim autorzy podkreślają jego niezwykłe czucie malarstwa: cechę częstszą u kolekcjonerów, marszandów i krytyków niż u historyków sztuki; jego niebywały *flair*, jego intuicję które, połączone z erudycją i warsztatem katalografa, archiwisty, historyka dziejów politycznych, ekonomicznych i społecznych dały, jak pisze René Huyghe, „historyka sztuki doskonałego". Ja myślę, że było to coś więcej: była to, — nie znajduję na to innego słowa — autentyczna miłość do obrazów: obrazów traktowanych jako istoty i jako świadkowie. „Obraz był przed nim — pisze na innym miejscu Huyghe — jak niemy, który, aby wyrazić swe uczucia, ma tylko wyraz oczu. Ale pomału niejasne wspomnienie jakiegoś podobieństwa, potwierdzenie jednej analogii i odrzucenie innej, drobne dotknięcia niemal intuicyjne sprawiały, że obraz powoli odsłaniał swe sekrety: spomiędzy przypomnień, porównań, skojarzeń wyłaniały się, z rosnącą precyzją, środowisko z którego wyszedł, epoka, lata, aż po, czasami, osobę autora".

Była to miłość zaraźliwa. Pamiętam atmosferę szczęścia, w jakiej Profesor oprowadzał mego męża i mnie — a powtarzał tę operację wielokrotnie — po swoim domu, to znaczy po swoich obrazach. Niech Pani patrzy — mówił — na ten obraz. No co, podoba się Pani? Proszę spojrzeć na ten cień, tu, z lewej, a tu na tę czerwień, zduszoną, na samym brzegu płótna. Długo myślałem, że to Poussin, ale teraz widzę, że może należałoby go widzieć raczej bliżej Dugheta. — I tak dalej. Innym razem, pokazując mi fotografię: No i co Pani powie o tym obrazie? — Bardzo piękny, — mówię — ale, ja nie wiem, chyba w XV wieku tak nie malowano twarzy? I jakiś taki, jakby zanadto doskonały... No widzi Pani, powiedział Profesor, nawet Pani widzi, że to fałsz, a ten X napisał o nim cały artykuł! Gdzie ci ludzie mają oczy!

Z miłością tą Karol Sterling łączył niesłabnącą u progu dziewięćdziesiątki gwałtowność uczuć i skupienie pasji, ciekawość godną detektywa i umiejętność stawiania nieprawdopodobnych pytań. Pamiętam taką kiedyś rozmowę z moim mężem: — Jak Pan myśli, Panie Andrzeju, dlaczego na średniowiecznych obrazach przedstawiających Pokłon Trzech Króli gryzą się konie i wielbłądy trzymane przez pachołków w orszaku Monarchów? — No, nie wiem, panie Profesorze, nigdy nawet nie zwróciłem uwagi



na ten szczegół, zwykle gdzieś zaplątany w głębi obrazu. — No widzi Pan, a to są przecież rozgrywki i animozje pomiędzy ówczesnymi władcami, których często przedstawiano pod postacią Trzech Króli. (Temat ten ukazał się wkrótce potem w postaci artykułu: „Fighting animals in the Adoration of Magi", w *Bulletin of the Cleveland Museum of Art*, 61 (1974), 10, 350-359).

Nicole Reynaud, przez trzydzieści lat najbliższa współpracownica Profesora w Muzeum Luwru, wielokrotnie potwierdza tę potrzebę nieustannej dyskusji z ludźmi: stałej konfrontacji, podczas której Sterling „wypróbowywał" siłę swoich argumentów, a przede wszystkim formułował i sprawdzał swoje pomysły. W ten sposób, odsłaniając w głośnym myśleniu drogi i mechanizmy swego rozumowania, oczywiście również wspaniale uczył.

Wspaniale również pisał. „Malarstwa się nie opowiada — mówił — malarstwo się pokazuje". Co nie przeszkadzało mu w sposób niezrównany, co wielokrotnie podkreślano, właśnie „opowiadać" malarstwo, w bardzo pięknym, bardzo klasycznym i bardzo sugestywnym języku francuskim, który posiadł równie dobrze jak własny. Jego analizy obrazów zawarte w „Martwej naturze od antyku do współczesności" należą do najbardziej fascynujących tego przykładów.

W 1975 roku uczniowie i koledzy z całego świata ofiarowali Sterlingowi Księgę pamiątkową, w której błyszczą największe nazwiska ówczesnej historii sztuki. W 1989 Richard Copans nakręcił o nim, w oparciu o rozmowy z Michel Laclottem, film dla Muzeum Luwru i Telewizji francuskiej (*La Sept*) zatytułowany: „Charles Sterling. Un chasseur dans la nuit mediévale", pokazany najpierw na uroczystym wieczorze w Luwrze w styczniu 1990 roku w obecności obojga państwa Sterlingów, a następnie w dwa lata później na sesji zorganizowanej ku czci Profesora przez Centre de Civilisation Polonaise na Sorbonie 11 lutego 1992 roku. Wieczór ten, na którym przemawiali dyrektor Luwru Michel Laclotte i profesor Uniwersytetu Warszawskiego Juliusz Chrościcki, zaszczycił swą obecnością René Huyghe, członek Instytutu, przyjaciel i dawny bezpośredni zwierzchnik Sterlinga z pierwszych lat jego pracy w Luwrze.

Ale najbardziej utkwił mi w pamięci „bal" wydany przez Halinę i Karola Sterlingów w ich domu w Launay (*par* 78 980 Bréval, koło Mantes) z okazji nadania Profesorowi doktoratu *honoris causa* Uniwersytetu Warszawskiego. Pamiętam to słoneczne popołudnie 6 czerwca 1983 roku, tłum gości w domu i w ogrodzie, profesora przemawiającego z ganku, szalejącą w czeluściach domu polską gosposię. Janowie Białostoccy przyjechali z Nowego Jorku w drodze do Warszawy, a w imieniu Uniwersytetu nadawał ten doktorat profesor Piotr Skubiszewski.

Ten jasny dom pełen obrazów i przewiezionych przez wszystkie kataklizmy przedwojennych warszawskich mebli, był przebudowaną, zamkniętą w czworobok fermą z ogrodem z tyłu, w której miejsce dawnego podwórza wypełniło się ogrodem, a w dawnej stodole pomieszczono otwarty aż po wiązania dachowe salon z częścią jadalną. Po drugiej stronie rozległej sieni był gabinet Profesora (odtworzony za pomocą wielkich fotografii na obecnej wystawie w Luwrze) z biurkiem niezmiennie ozdobionym fotografią Focillona, a obok pokoje mieszczące bibliotekę i unikalny zbiór fotografii, podstawowe narzędzie jego pracy.

W domu tym, jeśli nie było akurat gości francuskich, mówiło się po polsku. Z Polaków spotykaliśmy tam najczęściej Olę Watową, najbliższą przyjaciółkę domu, a także dr Krystynę Secomską z Instytutu Sztuki PAN w Warszawie, która tam wielokrotnie przyjeżdżała pracować, korzystając z bezcennej biblioteki. Profesor cenił ją bardzo, uważając ją za jednego z najwybitniejszych znawców wczesnego malarstwa francuskiego, a także za godną siebie koleżankę i serdecznego przyjaciela. Woził ją do Paryża, za każdym razem umierającą ze strachu, bo profesor jechał autostradą 50-ką, irytując się w najwyższym stopniu na trąbiących na niego ze wszystkich stron innych kierowców.

Pani Halina Sterlingowa zadzwoniła do mnie po raz ostatni w październiku 1990 roku: w sprawie gosposi. Że odeszła, i czy nie znam kogoś.

O śmierci Pana Karola dowiedziałam się dopiero 19 stycznia 1991 roku, kiedy na zebraniu Comité Français d'Histoire de l'Art dyrektor Laclotte powiedział: — A teraz minutą ciszy uczcijmy...

Karol Sterling był wielkim historykiem sztuki. Był także postrachem asystentów i wydawców: jego artykuły i książki, które są w moim posiadaniu, są dosłownie usiane odręcznymi poprawkami: powymieniane słowa, uwagi w rodzaju: „tu miała być inna ilustracja", nawet literówka. To znaczy, że nanosił te poprawki na wszystkie egzemplarze, które potem rozdawał! Nieprawdopodobna dokładność, nieprawdopodobna zdolność koncentracji, nieprawdopodobny upór. Powiedział kiedyś: „W tej oto szafie leżą, nieraz od piętnastu lub dwudziestu lat, materiały i artykuły, niektóre już gotowe, które czekają na ostateczny argument, na błysk, który rozjaśni wszystko. Bo nie lubię mówić o czymś, czego nie mogę pokazać".

Powiedział mi też innym razem: „W 1961 roku odszedłem z Luwru, bo pracując tam od rana do nocy nie miałem czasu na pisanie. A miałem dopiero sześćdziesiąt lat i czułem, że mam jeszcze bardzo wiele do powiedzenia". Zamilkł dopiero trzydzieści lat później.



Kiedyś zapytałam: Panie Profesorze, jak to się dzieje, że sześćdziesiąt lat po wyjeździe z Polski, żyjąc zawodowo w środowisku francuskim i amerykańskim, mówi Pan tak wspaniałą, tak czystą, tak wyszukaną polszczyzną? — Wtedy mały pan wyprostował się i powiedział: — Ja, proszę Pani, kończyłem w Warszawie gimnazjum Górskiego!

*Joanna SZCZEPIŃSKA-TRAMER*

# Prof. Jan Skowroński (1930-1992)

Dwa miesiące temu zmarł prof. dr hab. inż. Jan Skowroński. Odszedł od nas jeden z niewielu naukowców polskich, którzy osiedlili się w Australii.

Profesor ukończył budowę samolotów na wydziale Inżynierii Mechanicznej Politechniki Warszawskiej oraz matematykę na Uniwersytecie Warszawskim. Doktoryzował się, a następnie zrobił habilitację z mechaniki teoretycznej w Polskiej Akademii Nauk. Studia po-doktoranckie prowadził w Instytucie Badawczym Martin Marietta w Baltimore i Massachusetts Institute of Technology w Bostonie.

Zanim opuścił kraj, pracował w Instytucie Podstawowych Problemów Techniki PAN, gdzie doszedł do stanowiska kierownika Zakładu Systemów Nieliniowych.

Wyemigrował do Australii w roku 1969. Osiedlił się w Brisbane, gdzie wykładał matematykę na Uniwersytecie Kwinslandzkim. Praca na Wydziale Matematyki nie zaspokoiła jego ambicji zawodowych, ponieważ zawsze uważał się przede wszystkim za inżyniera mechanika. Toteż kiedy w połowie lat 80-tych otrzymał ofertę pracy w tej dziedzinie na Uniwersytecie w Południowej Kalifornii, przyjął ją. Władze Uniwersytetu Kwinslandzkiego wyraziły zgodę i Profesor pracował pół roku w Los Angeles i pół roku w Brisbane.

Naukowe zainteresowania Profesora obejmowały syntezę systemów mechanicznych, drgania nieliniowe, dynamikę i sterowanie robotami, teorię i zastosowanie gier różniczkowych. Napisał siedem książek dotyczących tych zagadnień (dwie w języku polskim, pozostałe po angielsku) i współredagował cztery prace zbiorowe. Śmierć nie pozwoliła mu dokończyć pracy (bardzo zaawansowanej) nad ostatnią książką.

Należy do tego imponującego dorobku dodać około setkę artykułów, opublikowanych w prasie specjalistycznej i drugie tyle referatów, wygłoszonych na różnych konferencjach naukowych.

W latach 60-tych redagował magazyn naukowy pt. *Journal of Nonlinear Vibrations Problems*, a ostatnio z inicjatywy Profesora wydawnictwo Kluver rozpoczęło wydawanie Międzynarodowego Magazynu „Dynamika i Sterowanie" (*Dynamics and Control, an International Journal*), którego był naczelnym redaktorem (Managing Editor).

Profesor był członkiem Narodowej Akademii Inżynierii (USA) i Amerykańskiej Akademii Mechaniki, jak również szeregu towarzystw naukowych, w tym Amerykańskiego Instytutu Aeronautyki i Astronautyki oraz Instytutu Inżynierów Elektryków i Elektroników (IEEE).

Z dużym entuzjazmem zorganizował szereg konferencji międzynarodowych i seminariów. Często proszono go o opiniowanie prac innych naukowców i był autorem kilku patentów w Stanach Zjednoczonych, Australii i Polsce. Jako Visiting Professor wykładał na wielu renomowanych uczelniach począwszy od University of Waterloo w Kanadzie poprzez University of California w Berkeley, Uniwersytet w Paryżu i skończywszy na Technion w Hajfie, żeby wymienić zaledwie kilka uczelni.

Jak każdy emigrant nie znosił komunistów. Wizyta w kraju w 1990 r. była dla niego dużym rozczarowaniem. Mówił mi z rozgoryczeniem, że w administracji nauki właściwie nic się nie zmieniło. Wielu ludzi, którzy kierowali dwadzieścia lat temu polską nauką (wiadomo z jakim skutkiem) pozostało na stanowiskach, co przecież nie wróży nic dobrego na przyszłość.

Profesor był zwolennikiem jak najmniejszych ingerencji rządowych w sprawy gospodarcze. Pamiętam, że w 1983 r., kiedy w Australii nastąpiła deregulacja systemu bankowego bez deregulacji rynku pracy, przewidywał, że doprowadzi to do pogorszenia się sytuacji ekonomicznej Australii. Miał w dużej mierze rację. Obecna recesja w Australii (oceniana przez wszystkich jako najgłębsza od 1930 r.) prawdopodobnie byłaby znacznie mniej dotkliwa gdyby przeprowadzono reformy w stosunkach pomiędzy pracodawcami i pracobiorcami. Chociaż był człowiekiem bardzo religijnym, uważał rozdział pomiędzy Kościołem i państwem za konieczny.

Praca na dwóch kontynentach i związane z tym częste przeloty odbiły się na zdrowiu Profesora. Zmarł 20 marca 1992 w wyniku wylewu krwi do mózgu.

Śmierć Profesora w pełni sił twórczych jest dużą stratą dla nauki światowej.

Brisbane, 11 czerwca 1992 r.

*Wojciech POPŁAWSKI*

# *Książki*

## „Akcent"— dwunastolatek

Pierwszy jubileusz — dziesięciolecia — lubelski kwartalnik *Akcent* obchodził w styczniu roku 1990. Odbyło się wówczas spotkanie współpracowników i przyjaciół czasopisma. Przybyli między innymi: rektor Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Zdzisław Cackowski, redaktorzy naczelni *Ethosu, Literatury na świecie, Twórczości, Zdania*, przedstawiciel p. Marcina Króla (*Res Publica*) oraz delegat ks. biskupa Pylaka, pierwszego w dziejach swej diecezji ordynariusza, którego więź z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim jest raczej niewidoczna — mimo że jest on (z urzędu) uniwersytetu tegoż Wielkim Kanclerzem. Sporo było śmiechu i kpinek: że oto profesor Cackowski woli teraz powoływać się na Gombrowicza niż na Marksa, że (co zauważył Wacław Sadkowski) *bien placé pour le savoir*) — „ortodosje tym się jeszcze charakteryzują, że są wymienne", że — jak odśpiewał Wojciech Młynarski:

*Róbmy swoje,*
*pewne jest to jedno, że*
*róbmy swoje,*
*bo dopóki nam się chce,*
*drobiazgów parę się uchowa:*
*kultura, sztuka, wolność słowa — dlatego*
*róbmy swoje,*
*może to coś da? Kto wie?*

Założyciel i naczelny redaktor *Akcentu* wypowiedział się najuczeniej: „To Lévi-Strauss odkrył czy nazwał na nowo jedną z podstawowych właściwości ludzkiego umysłu: skłonność do ujmowania świata za pomocą binarnych opozycji i zdolność ich stopniowego 'zapośredniczania', niwelowania. Ta zdolność jest fundamentem naszej tradycji kulturowej". Spotkaniu dano tytuł zapożyczony z polityki: „Kultura ponad podziałami".

Pan Bogusław Wróblewski samochwalebną część swojego sprzed

dwu lat przemówienia dosłownie powtórzył teraz, w nowojorskim *Przeglądzie Polskim* (nr 15 z 5. III. 1992), w artykule *Akcent, czyli dzieje pewnej utopii*. Jeszcze lepszą dokumentacją *Akcentu* jest regularnie prowadzona w tym piśmie bibliografia jego zawartości (ostatni do teraz jej odcinek w n-rze 1/47 z obecnego roku). Pozwala ona docenić ewolucję i rozrost kwartalnika.

Cztery numery *Akcentu* ukazały się jako almanachy: był to sposób obejścia przepisów — że to nie czasopismo. Dwudziestokilkuletni wówczas redaktor, członek Klubu Młodych przy lubelskim oddziale ZLP, wykazał dużo sprytu, jeszcze więcej uporu oraz nie zawsze rozeznanie wartości literackich innych. Wydeptywał swoje — aż nadto wyraźnym zygzakiem. Korzystano więc z zasiłków ZW SZSP i ZW ZSMP (teraz *Akcent* jest dotowany przez wojewódzki Wydział Kultury albo niekiedy przez Ministerstwo Kultury i Sztuki). Na pośrednika między władzą a poezją wybrano zrazu Karola Marksa: marginesy pisma zapełniano doskonałymi aforyzmami tego publicysty. Kokietowano Artura Sandauera, który z miejsca usiłował młodych literatów skłócić z *Twórczością* (bez powodzenia). W stosownej porze nastąpił list redaktorów popierający strajki gdańskie; wtenczas przyszły cytaty z Miłosza, wybór wdzięczny a nietrudny. Jednakże już w roku następnym okazało się, że bohaterem pozytywnym jest Gramsci i zwłaszcza teoria o hodowaniu elit poprzez partie polityczne. Zespół redakcyjny podpisał się pod oświadczeniem, że to Maria Bechczyc-Rudnicka „była dla nas wzorem człowieka i pisarza". Trudno też zapomnieć nabożny wywiad z maja 1983 r., który naczelny redaktor przeprowadził z pierwszym sekretarzem lubelskiego KW PZPR: sekretarzem tym był profesor Wiesław Skrzydło.

Odczadzenie zespołu przebiegło następnie całkiem prawidłowo. Już teraz nie *anything goes* Paula K. Feyerabenda jest propagowane, lecz etos Kazimierza Twardowskiego (przyznaje się nawet, że obrzydliwie pisał o nim — wśród wielu — Henryk Holland, o czym dotychczas mówić się w Polsce wstydzono); nareszcie też oddaje się sprawiedliwość toruńskiemu *Ruchowi Filozoficznemu*, który Tadeusz Czeżowski przeprowadził bezbłędnie przez najgorsze lata, toteż otwarcie się go nazywa „dżentelmenem nauki". W miarę poszerzania granic ryzyka wzrasta i nakład: pismo zaczynało od półtora tysiąca egzemplarzy w czasach, kiedy dobra kultury nie były jeszcze drogie; teraz, gdy książki i czasopisma są często ponad wytrzymałość przeciętnej kieszeni — wychodzi w pięciu tysiącach: to już sukces.

*Akcent* jest i chce być w jakiejś mierze kontynuacją dobrze w dziejach Lubelszczyzny zapisanej *Kameny*. Stał się pismem regionu o ładnych tradycjach literackich. Pamięta związki z Lublinem Czechowicza, z Zamościem Leśmiana, z Chełmem Iwaniuka; nawet o Janie Ludwiku Popławskim nie zapomniano, ile że się był urodził w Bystrzejowicach. Można tu więc spotkać dość ważne przyczynki historyczne dotyczące Polski wschodnio-południowej, nie wyłączając



badań nad gwarami. Niektóre artykuły historyczno-literackie (zwane niekiedy esejami!) sprawiają wrażenie doprowadzonych do druku referatów z jakiegoś — niekoniecznie lubelskiego — seminarium polonistycznego (jak przypomnienie utarczek Manfreda Kridla z Konradem Górskim). Czasy nam bliższe też wchodzą na warsztat: tak się stało z rozprawką o polskiej „odwilży", podszytą bibliografią, lecz nie wiedzą o temacie.

Mocną stronę kwartalnika stanowi od początku jego istnienia obecność w zespole Bohdana Zadury, który jest odpowiedzialny za poezję oraz przekłady, ostatnio zaś poza tym za dział krytyczno-literacki (uprzednio prowadzony przez Andrzeja W. Pawluczuka, pisującego rozsądnie). Proza artystyczna chyba trochę tu od przypadku do przypadku, zwłaszcza dopóki o rzeczach zamieszczanych decydował Zbigniew W. Fronczek, autor niebywale pretensjonalnych „Listów niewysłanych" (Szanowny Panie Witoldzie! — to do Gombrowicza...). Redaktorzy zresztą nie kryją, że do liryki ucho mają lepsze, także do liryki lekkiej: można dzięki temu czytywać w *Akcencie* tłumaczenia poezji śpiewanej — Brassensa, Brela, Okudżawy czy Wysockiego. Propagowanie współczesnej plastyki Polaków na bardzo odpowiednim poziomie postawił Jan Popek i poziom ten po jego śmierci został utrzymany. Dużą nowością — jak na pisma nasze poświęcone literaturze i sztuce — jest dość regularnie prowadzony dział filozoficzny; kwitnie zwłaszcza popularyzacja filozofii nauki, piórami autorów *Studiów Filozoficznych* (rej wodzi Kazimierz Jodkowski). Oczytani są ci nasi współcześni filozofowie modnie i już teraz tak dalece w piśmiennictwie tylko płynącym z Zachodu (bądź poprzez Zachód), że ładne niekiedy prace dawniejszych autorów polskich pogrążają się w zapomnieniu.

Z tym wszystkim — *Akcent* nabiera rozpędu. Szybko zrozumiał, jakie otwiera przed nim możliwości zapotrzebowanie na rzeczy z zakresu pogranicza kultur. *Polacy-Rosjanie-Tatarzy-Węgrzy-Żydzi* — jeden to z tego rodzaju dobrze pomyślanych numerów pisma: od razu też sypnęło szkicami tak ciekawych autorów jak Tadeusz Chrzanowski czy Sergiusz Sterna-Wachowiak. Niemniej udany — i zabawny — wyszedł zeszyt na rocznicę wiktorii wiedeńskiej. Pismo staje się coraz bardziej ogólnopolskie — to widoczne. Widoczne wszakże jest i to, że wciąż z rezerwą wyraźną pozostaje w stosunku do *Akcentu* środowisko pisarskie KUL-u; zupełna nieobecność Ireny Sławińskiej oraz Czesława Zgorzelskiego ma swoją wymowę. Sądzę, że istnieje nawet pewien ważny związek: tyle kokietowany Czesław Miłosz — skokietować się tutaj nie pozwolił.

Bo redaktorzy zabiegi swoje rozciągnęli bystrze na wszystkich polskich pisarzy emigracyjnych bądź tworzących poza granicami Polski; wielu z nich dla swych łamów pozyskali. Toteż *Akcent* można dziś nabywać między innymi w Paryżu i Nowym Jorku. Nie zdziwiłbym się, gdyby w niedalekiej przyszłości dotarli na przykład do Australii, bo Polaków tam sporo, w tym zainteresowanych literaturą też.

Zaprzyjaźnione z *Akcentem* pisma — *Twórczość* i *Literatura na Świecie* — łączy wyraźna unia. Unia to nie ideologiczna, lecz ściśle i sympatycznie personalna: w połowie drogi między Warszawą a Lublinem — w Puławach — przycupnął wspaniały milczek i literat miarodajnie wszechstronny: Bohdan Zadura. Impresario Wróblewski wystarał się o uczciwego gwaranta. Dzięki temu będzie miał, jeśli wróżyć wolno, coraz lepszych autorów.

*Andrzej BIERNACKI*

# Adam Czerniawski: „Scenes from a disturbed childhood"

W opublikowanym przed paroma laty wywiadzie dla *Przeglądu Powszechnego* Adam Czerniawski wyraził się o sobie jako typowym człowieku schyłku XX w. W kontekście tamtej rozmowy chciał przez to zasygnalizować swoją zgodę na coraz wyraźniejszą tendencję w kulturze naszych czasów do odchodzenia od słowa pisanego ku przystępniejszym, wizualno-dźwiękowym formom wyrazu. Może to zaskoczyć czytelnika, który przyzwyczaił się myśleć o Czerniawskim jako o bezkompromisowym, twardym w swoim uporze pisania po polsku w warunkach emigracyjnych autorze elitarnej, filozoficznej poezji i wyrafinowanych esejów krytyczno-literackich, głównie obracających się w kręgu nowoczesnej, w opinii wielu będącej synonimem „trudnej" poezji.

Książka „Scenes from a disturbed childhood", która się jesienią 1991 r. ukazała na brytyjskim rynku wydawniczym nakładem wydawnictwa Serpent Tail, reprezentuje niejako nowy rozdział jego działalności pisarskiej. Może kogoś zadziwić, że książka autobiograficzna, najbardziej zatem (można by się spodziewać) *osobista* książka autora, który tak uparcie obstawał przy polskim w swojej wcześniejszej twórczości, jest napisana *po angielsku*. Fakt ten, a także to, że narracja (pomimo, że jest prowadzona w 1-szej osobie) sprawia wrażenie, jakby „oko kamery" było umieszczone gdzieś na zewnątrz, pozwala autorowi na osiągnięcie efektu obiektywizacji, dystansu wobec osób i zdarzeń, jaki jest niezmiernie rzadki w książce tego typu.

Zapytany, co go skłoniło do napisania tej opowieści o swoim dzieciństwie, mającej za tło czasy zawieruchy wojennej (w których nikt nie mógł się spodziewać *nie* zamąconego dzieciństwa!) odpowiada autor, że jego opowieść wprowadza pewne *novum* do coraz obfitszej literatury pamiętnikarskiej dokumentującej dramatyczne



losy wojenne Polaków. Jego własna historia nie pasuje do żadnego z trzech głównych paradygmatów polskich dróg w czasie drugiej wojny światowej. Los oszczędził autorowi i jego rodzinie i okrucieństw okupacji niemieckiej w Polsce, i tragedii deportacji do łagrów, i doświadczeń, jakie stały się udziałem wywiezionych na roboty do Niemiec.

Zamiast tego siedmioletni Adam (pod skrzydłem matki i siostry) przeżywa wielką przygodę podróżowania przez wielkie połacie Europy na spotkanie z ojcem do Turcji i dalej, do Palestyny (wówczas mającej status mandatu brytyjskiego) i innych krajów Środkowego Wschodu, w których kształtuje się jego osobowość (1942-47). Zmienia szkoły równie często jak adresy; każda taka zmiana jest wysiłkiem adaptacji do innego stylu myślenia i oglądu świata. Ta część autobiografii posłużyła wcześniej jako materiał do serii pogadanek radiowych BBC, co potwierdza wspomniany wcześniej brak uprzedzenia do środków masowego przekazu. Zręczne manipulowanie czasem *praesens historic* nadaje prozie wewnętrzną dynamikę i sprawia, że czyta się ją jak świetną powieść przygodową.

Na tym poziomie książka Czerniawskiego ma szansę stać się bestsellerem czytelniczym, takim jak będąca od długiego już czasu na liście brytyjskich lektur szkolnych książka Iana Serailliera „The Silver Sword" czy głośna powieść J.G. Ballarda „The Empire of the Sun", obie mające za temat wojnę widzianą oczyma dorastającego chłopca.

Pewne rozczarowanie natomiast budzi „angielska" część biografii autora, zamykająca ważny okres lat szkoły średniej, wyznaczająca niejako przyszły kierunek życia i zainteresowań młodego człowieka wstępującego w życie dojrzałe. Te rozdziały będą zapewne miały dużą wartość dla badacza wczesnych lat wojennej emigracji na terenie Wielkiej Brytanii. Jest to smutna epopeja przeróżnych *resettlement camps* rozsianych na terenie całego kraju, w których — jak przypomina nam studium pod redakcją dr. K. Sworda: „The formation of the Polish community in Great Britain, 1939-50" — zakwaterowanych było około 120 tysięcy zdemobilizowanych żołnierzy polskich z rodzinami. Opowieść Adama Czerniawskiego daje żywy obraz warunków bytowania w tzw. *Nissen huts*, które zapewne zapisały się (niechlubnie) w pamięci wielu członków tej żołnierskiej emigracji (ich mieszkańcy, z typowym dla Polaków czarnym humorem, nazywali je „beczkami śmiechu").

Ale to rzeczy dobrze znane i udokumentowane — ciekawy jest natomiast opis dalszej edukacji Adama w Ranelagh School (będącej nieistniejącym już dziś typem klasycznego gimnazjum). Opis angielskiej edukacji jest fascynujący dla każdego, kto zna choć trochę ten system od wewnątrz, bo łatwo wtedy zrozumieć, jakiego wysiłku adaptacji potrzeba było, aby przybysz spoza „zaczarowanego kręgu" kultury brytyjskiej znalazł sobie w nim miejsce. Specjalnie godne refleksji są lekcje relatywizmu kulturalnego, kiedy młody Adam od-

krywa szokujące go różnice w interpretacji znanych wydarzeń i osobistości historycznych:

„Jestem zdumiony, kiedy widzę, że Napoleon, ten wielki orędownik wolności, zmienia się w niegodziwego awanturnika. (...) Jestem równie rozczarowany, że legendarni polscy bohaterowie, Kościuszko i Pułaski, którzy tak się przyczynili do sukcesu Amerykańskiej Wojny o Niepodległość, nie dorobili się nawet wzmianki w moim podręczniku. (...) W ten to bolesny sposób dochodzę do przekonania, że przeszłość jest jeszcze trudniejsza niż przyszłość". (Tłumaczenie moje — T. H-S.).

Czego mi brak w tej książce to tego, co było głównym tematem innej autobiografii, pióra także polskiej emigrantki, która w porównywalnym wieku (15 lat) zaczęła trudny i mozolny proces „tłumaczenia siebie" na język innej kultury, w tym wypadku amerykańskiej. Autorką tej książki jest Ewa Hoffman, a książka (która, o ile wiem, wciąż jeszcze nie ukazała się na rynku wydawniczym w Polsce, choć bardzo na to zasługuje) nosi tytuł „Lost in Translation: A Life in a New Language" (recenzowana przeze mnie na łamach *Kultury* w lipcu 1990 r.). Ewa Hoffman daje subtelną analizę, etap po etapie, tego niesłychanie trudnego i wciąż dość tajemniczego procesu, którego ostatecznym ukoronowaniem jest osiągnięcie pełnej dwujęzyczności i dwukulturowości. Adam Czerniawski osiągnął jeszcze większe wyróżnienie bycia twórczym w obu językach, i dlatego mamy prawo spodziewać się od niego odpowiedzi na pytanie: „Jak się do tego dochodzi?", „Czy ceną doskonałej adaptacji musi być wykorzenienie z własnej kultury?" i tym podobne, jakie się cisną na usta.

Może osiągnięcie wspaniałej równowagi pomiędzy dwiema kulturami, w jakich wypadło mu żyć, jest prawdziwszą miarą „współczesności" Adam Czerniawskiego, w świecie, w którym problem *displacement* jest problemem coraz większej grupy ludzi u schyłku XX wieku.

*Teresa HALIKOWSKA-SMITH*

# Nadesłane nowości wydawnicze

JUDYCKI (Zbigniew Andrzej). *Polacy w świecie. Kwartalnik biograficzny Polonii.* Str. 72. (Wyd. Editions Scripta, Paryż 1992).

*Ocalony na Wschodzie. Z Julianem Stryjkowskim rozmawia Piotr Szewc.* Str. 276 i 4 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria 1992).

McEWAN (Ian). *Ukojenie.* Przeł. Aldona Biała. Str. 104 i 8 nlb. (Wyd. Puls, Londyn 1992).



BUCHAN (John). *39 stopni czyli tajemnica czarnego Kamienia.* Przeł. Tomasz Kubikowski. Str. 108 i 4 nlb. (Wyd. Puls, Londyn 1992).

MORAVIA (Alberto). *Obojętni.* Przeł. Zofia Ernstowa. Str. 252 i 4 nlb. (Wyd. Puls, Londyn 1992).

KAZAN (Elia). *Układ.* Przeł. Cecylia Wojewoda. Str. 560. (Wyd. Puls, Londyn 1992).

*Kontury III.* Wybór prozy i poezji autorów piszących po polsku w Izraelu. Str. 186 i 2 nlb. (Wyd. Związek Autorów Piszących po polsku w Izraelu. Tel Aviv 1992).

KUKIEL (Marian). *Dzieje polityczne Europy od rewolucji francuskiej.* Str. 592. (Wyd. Puls, Londyn 1992).

ANDRZEJEWSKI (Jerzy). *Miazga.* Str. 507 i 5 nlb. (Wyd. Puls, Londyn 1992).

DOSTOJEWSKI (Fiodor). *Zbrodnia i kara.* Przeł. Czesław Jastrzębiec-Kozłowski. Str. 503 i 7 nlb. (Wyd., Puls, Londyn 1992).

HUNTINGDON (Eugenia). *Nie wyrównany rachunek.* Wspomnienia. Str. 227 i 5 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1992).

CYBULSKA (Maja Elżbieta). *Urywki kroniki szpitalnej. Mabledon Park Hospital.* Str. 40. (Wyd. PFK, Londyn 1992).

PODGÓRECKI (Adam). *Opowieści Si-Tiena.* Str. 77 i 7 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1992).

WINCZAKIEWICZ (Jan, opr.). *Polak zwiedza Paryż. Przewodnik.* Str. 152 i 16 nlb. (Wyd. Księgarnia Polska w Paryżu, wyd. V uzupełnione, 1992).

*Anty-Kultura. Wybór tekstów o paryskiej „Kulturze".* Str. 264. (Wyd. PoMost, Warszawa 1992).

ANDERMAN (Janusz). *Choroba więzienna. Scenariusz filmowy.* Str. 96. (Wyd. PoMost, Warszawa 1992).

KUCZYŃSKI (Waldemar). *Zwierzenia zausznika.* Str. 209, 3 nlb. i fotografie. (Wyd. BGW, Warszawa 1992).

KAWCZAK (Stanisław). *Milknące echa. Wspomnienia z wojny 1914-1920.* Str. 368. (Wyd. Libra, Warszawa 1991).

BAKUŁA (Bogusław). *Oblicza autotematyzmu (autorefleksyjne tendencje w polskiej prozie po roku 1956).* Str. 136 i 4 nlb. (Wyd. WiS, Poznań 1991).

PISKOZUB (Andrzej). *Elementy nauki o cywilizacji.* Str. 176. (Wyd. Uniwersytet Gdański, Gdańsk 1992).

DANILEWICZ ZIELIŃSKA (Maria). *Szkice o literaturze emigracyjnej.* Str. 460. (Wyd. Ossolineum, Wrocław-Warszawa-Kraków 1992).

KOWALCZYK (Andrzej). *Książka telefoniczna.* Str. 101 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Niskonakładowych Autorów, bez miejsca wydania, 1991).

*Ekonomiczne i społeczne aspekty restrukturyzacji regionalnej. Konferencja w Wałbrzychu 15-20 września 1991.* Str., 152. (Wyd. Friedrich-Ebert-Stiftung, Przedstawicielstwo w Polsce i Stowarzyszenie Inicjatyw Polsko-Niemieckich, Warszawa 1992).

*Pęknięty dzban. Wybór dokumentów Związku „Solidarność" 1988-1990.* Str. 204. (Wyd. Uniwersytet Szczeciński, katedra filozofii, Szczecin 1991).

NOWOSIELSKI (Kazimierz). *Wiersze wybrane.* Str. 176. (Wyd. Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1990).

SCHWEITZER (Albert). *Moje życie.* Przeł. Krystyna Krzemieniowa. Str. 76 i 4 nlb. (Wyd. Daimonion, Lublin 1991).

KOŚCIAŁKOWSKA (Janina). *Łódź bukowa.* Str. 240. (Wyd. Ossolineum, Wrocław-Warszawa-Kraków, 1992).

DUBICKI (Tadeusz). *Żołnierze polscy internowani w Rumunii w latach 1939-1941.* Str. 442. (Wyd. Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1990, cena zł 14.000).

## *Wolna trybuna*

# O przyszłej konstytucji

(GŁOS DO DYSKUSJI)

Najwyższy czas, aby opracować i uchwalić konstytucję Trzeciej Rzeczypospolitej. Zanosi się na to, że podstawą w debatach na ten temat będą między innymi projekty opracowane przez komisje poprzedniego sejmu i poprzedniego senatu oraz tekst zaprojektowany przez profesorów Andrzeja Mycielskiego i Wacława Szyszkowskiego. Lektura tych propozycji oraz konstytucji polskiej z r. 1935 i obecnej konstytucji francuskiej nastręcza następujące uwagi:

*Wybór Prezydenta*

Skoro w sejmie wyłonionym z „okrągłego stołu" zasiadało 65% posłów PRL-owskich, nie mogło być mowy o tym, aby Prezydenta wybierał parlament. Ale wybory powszechne, jakie zastosowano w tej wyjątkowej sytuacji, nie powinny przekształcić się w regułę.

Wymagamy od Prezydenta, aby odznaczał się wielką godnością i cieszył się szacunkiem jeśli nie wszystkich, to prawie wszystkich obywateli. Wybory powszechne uniemożliwiają spełnienie tych postulatów. Kandydat musi najpierw wyżebrać 100.000 podpisów i jeśli pogłoska, jakoby jeden z rywali Lecha Wałęsy wynagradzał pieniężnie te „kreski", jest fałszywa, to sam fakt, że takie przypuszczenie mogło się zrodzić, uwłacza godności przyszłego Prezydenta. Następnie kandydat musi się dobrze spisać w telewizji, a jest to egzamin aktorski, niewiele mający wspólnego z funkcją głowy państwa. Musi objeżdżać kraj, zniżać się do roli mówcy wiecowego i wypowiadać swe opinie na wszelkie możliwe tematy, wykraczając daleko poza prezydenckie prerogatywy, co już źle świadczy o tym, który ma stać na straży konstytucji. Musi też zdobywać poważne fundusze na pokrycie kosztów kampanii wyborczej, a skąd je wziąć i jak odwdzięczać się łaskawym ofiarodawcom? I w końcu kandydat otrzymuje 51-60% głosów, nie jest więc Prezydentem wszystkich obywateli, np. we Francji prawie połowa ludności ma o obecnym Prezydencie opinię negatywną, czasem wręcz pogardliwą.



Wszystko to razem jest mocno niezdrowe. Ostatnie wybory w Polsce miały przebieg wyjątkowo łagodny, co się chyba nigdy nie powtórzy. W przyszłości może dojść do ostrych napięć.

Idealne rozwiązanie znaleziono w Watykanie. Conclave posłużyło za wzór twórcom polskiej konstytucji z r. 1935. Ustalono wówczas, że Prezydenta wybiera Zgromadzenie Elektorów złożone z 75 najgodniejszych obywateli powołanych w 2/3 przez sejm i w 1/3 przez senat. Jeśli ustępujący Prezydent wskaże innego kandydata, to wyboru między tymi dwoma kandydatami dokonują obywatele w głosowaniu powszechnym.

Takie świeckie conclave wydaje mi się rozwiązaniem najbardziej racjonalnym. Nie widzę jednak powodu, aby ustępujący Prezydent miał wskazywać swojego kandydata. Pamiętamy z okresu drugiej wojny światowej i z historii rządu emigracyjnego w Londynie, w jak niefortunny sposób Prezydenci mianowali swych następców. I po co wywoływać z lasu wilka kumoterstwa lub dziedziczności? Po śmierci Perona głową państwa w Argentynie była przez parę lat tancerka kabaretowa. Dodałbym, że Zgromadzenie Elektorów powinno obradować przy zamkniętych drzwiach i nie ogłaszać ani nazwisk kandydatów, którzy przepadli, ani liczby głosów uzyskanych przez zwycięzcę. Tak właśnie, jak to się dzieje w Watykanie. To prawda, że wybory powszechne miałyby pozornie charakter bardziej demokratyczny, ale nadmiar demokracji zabija demokrację.

*Prezydent — Premier*

Konstytucja kwietniowa z r. 1935, konstytucja francuska oraz trzy wyżej wymienione projekty przyszłej konstytucji głoszą zgodnie, że politykę kraju ustala i realizuje rząd.

Rząd, a nie sejm. I co najważniejsze, rząd, a nie Prezydent.

Uczmy się na cudzych błędach, w tym wypadku na francuskich. Obecna konstytucja obowiązuje od 30-tu lat, ale respektowano ją tylko przez dwa lata, kiedy lewicowy Prezydent F. Mitterrand i prawicowy Premier J. Chirac strzegli zazdrośnie swych uprawnień i nawzajem się kontrolowali, a na konferencjach międzynarodowych występowali we dwóch, co nie było pozbawione pewnej śmieszności. Konstytucja powstała prawie że

pod dyktando generała de Gaulle'a, ale po krótkim czasie on sam nie chciał ograniczać się do przecinania wstęg i coraz mocniej zaczął się wychylać poza swe prerogatywy pod pretekstem, że ustawa przyznaje Prezydentowi rolę arbitra, a ponieważ rząd składał się z ludzi ślepo mu oddanych, nikt nie protestował i z biegiem czasu metody generała stały się regułą. Nie natrafiając na sprzeciwy, przejął je Georges Pompidou, natomiast między Prezydentem V. Giscard d'Estaing i Premierem J. Chirac doszło do ostrego sporu na tle wzajemnych uprawnień i J. Chirac z trzaskiem podał się do dymisji. Wszechwładzę wykonawczą ugruntował jeszcze silniej F. Mitterrand, podejmując decyzje nawet w takich sprawach, jak budowa Biblioteki Narodowej, tłumienie rozruchów chłopskich, uposażenia pielęgniarek itp. Wbrew postanowieniom konstytucji nie rząd, lecz on ustala politykę kraju.

Przyszła konstytucja musi więc wyraźnie określać zakres kompetencji Prezydenta. Należy unikać takich ogólnikowych zdań jak np. „Prezydent stoi na straży żywotnych interesów narodu", co może stać się przedmiotem dowolnych interpretacji. Odpowiedni paragraf powinien zaczynać się od słów: Uprawnienia Prezydenta OGRANICZAJĄ się do następujących prerogatyw.

Nie będę tu powtarzał prerogatyw bezspornych, jak ogłoszenie stanu wyjątkowego, rozwiązanie parlamentu, prawo łaski. Natomiast trzeba sprecyzować, że Prezydent mianuje Premiera lub kandydata na Premiera, ale nie ma prawa go odwoływać. Władza wykonawcza należy do rządu, wyłącznie do rządu, i Prezydent nie może narzucać swej woli pod groźbą, że odprawi krnąbrnego Premiera. Kontrolę nad rządem sprawuje w sposób aż nadto wystarczający parlament drogą interpelacji, uchwalaniem budżetu i groźbą obalenia gabinetu przez votum nieufności.

*Sejm — Senat*

Senat ma rację bytu pod warunkiem, że różni się od izby poselskiej, mając charakter bardziej elitarny. Jeśli obie izby wybiera ogół społeczeństwa, robi się masło maślane. W przeciwieństwie do projektów komisji senackiej i komisji sejmowej trzeba koniecznie zaznaczyć w konstytucji, że senatorów powołuje się w wyborach pośrednich. Według polskiej ordynacji wyborczej z ostatnich lat przedwojennych Prezydent mianował 1/3 senatorów, a pozostałych wybierali obywatele z dyplomami uniwersyteckimi i wysokimi odznaczeniami.

Jeszcze raz powołam się na przykład Francji. W wyborach do senatu głosują merowie i członkowie sejmików departamentalnych, a więc śmietanka społeczeństwa. Rezultat jest taki, że



senat przewyższa sejm powagą swych obrad. Raporty komisji senackich górują nad raportami komisji sejmowych. W przeciwieństwie do posła, który głosuje jak statysta według dyrektyw swego stronnictwa i w razie indywidualnych wybryków naraża się na kary dyscyplinarne włącznie z wykluczeniem z partii, senator ma tak duży prestiż, że może sobie pozwolić na posiadanie osobistych opinii. Niestety, senat francuski nie ma właściwie żadnej władzy, może tylko opóźniać uchwalenie ustawy o parę tygodni lub operować perswazją.

Profesorowie A. Mycielski i W. Szyszkowski proponują bardzo słusznie, aby senatorów wybierały w 1/3 samorządy terytorialne, w 1/3 samorządy i związki zawodowe i w 1/3 instytucje naukowe i kulturalne.

Dodajmy, że ustawa uchwalona przez sejm i odrzucona przez senat winna być przedmiotem kompromisowych obrad komisji mieszanej (6 posłów, 6 senatorów) i następnie poddana w nowej wersji pod głosowanie obu izb. Jeśli komisja nie dochodzi do porozumienia, projekt ustawy w pierwotnym brzmieniu wraca do sejmu, gdzie musi uzyskać 2/3, a nie tylko 11/20 głosów.

Senatowi powinno też przysługiwać prawo votum nieufności czyli obalenia rządu, ale większością co najmniej 2/3 głosów.

Konstytucja francuska mówi, że poseł może mieć tylko jedno uprawnienie do głosowania w imieniu nieobecnego kolegi. W rzeczywistości bywa na sali nie więcej jak 20 deputowanych i jeden socjalista lub jeden gaullista głosuje za 150 przyjaciół. Nie wolno dopuścić do podobnego skandalu. Odpowiedni przepis winien figurować w konstytucji, aby posłowie nie mogli podjąć odwrotnych dyspozycji w regulaminie wewnętrznym.

Dołączam się do głosów, które domagają się, aby liczbę senatorów, a zwłaszcza posłów, zmniejszyć o połowę.

*Strajk*

Czy prawo do strajku ma mieć miejsce w konstytucji? Nikt nie zapomina ani na chwilę o doniosłym wydarzeniu historycznym, jakim był strajk w stoczni gdańskiej. Ale co innego strajk w ustroju dyktatorialnym, a co innego w kraju demokratycznym.

Na Zachodzie, zwłaszcza we Francji, strajki to istny koszmar. W większości wypadków rewindykacje, nawet jeśli są całkiem słuszne, stoją w ogromnej dysproporcji w zestawieniu z nieszczęściami i szkodami, jakie wywołują. Do rzadkości należą strajki w sektorze prywatnym, gdzie pracownik ściera się z właścicielem-kapitalistą. Na ogół wybuchają w uspołecznionym lub upaństwowionym sektorze publicznym i ostrze ich skierowa-

ne jest przeciwko Bogu ducha winnym użytkownikom, którzy ani nie ponoszą odpowiedzialności za konflikt, ani nie mają wpływu na jego rozwiązanie. Strajki na kolei, w transportach miejskich, na poczcie, w elektrowniach i gazowniach narażają miliony ludzi na straty materialne, choroby, wypadki, umęczenie. Strajki w szkolnictwie, w szpitalach, w zakładach higieny są po prostu tak nieludzkie, że powinny figurować raczej w kodeksie karnym, niż w konstytucji. Nierzadkim zjawiskiem są strajki o charakterze wywrotowym, organizowane przez skrajną lewicę i mające na celu sabotaż ustroju demokratycznego. Strajk kilkudziesięciu techników z wież kontrolnych na lotniskach paryskich, którzy mają pracę odpowiedzialną, ale wcale nie ciężką i płatną grubo powyżej przeciętnych norm, wywołał monumentalne zamieszanie na liniach lotniczych, naraził tysiące pasażerów na biwakowanie w poczekalniach. Prezydent Reagan potrafił rozprawić się z takimi rozkapryszonymi bachorami, ale we Francji uszło im na sucho.

Trzeba było wielu stuleci, żeby ludzie zrozumieli, że rozsądniej jest złożyć skargę do sądu o zniesławienie, niż wyzwać przeciwnika na pojedynek. Trudno przewidzieć, ile czasu musi jeszcze upłynąć, aby rolę strajków zastąpiły odpowiednie trybunały rozjemcze. W wielu krajach działają już sądy pracy, ale rozpatrują tylko konflikty indywidualne. Póki nie ma organów do rozstrzygania sporów zbiorowych, strajki muszą, niestety, być dozwolone. Ale wprowadzenie strajków do ustawy tak uroczystej, jak konstytucja, równałoby się ich sakralizacji. Strajk jest złem, w tej chwili jeszcze koniecznym, ale złem i nie wolno dopuścić do tego, aby sąsiadował z prawem do wolności sumienia, wolności słowa, wolności zrzeszeń. A jeśli mimo to prawo do strajku wejdzie do ustawy konstytucyjnej, to należy koniecznie sprecyzować, że nie przysługuje ono pracownikom zakładów użyteczności publicznej.

*Naród*

Słowo to figuruje w trzech wyżej wymienionych projektach, natomiast nie znajdujemy go w konstytucji kwietniowej z r. 1935. Jej autorzy pamiętali, że Ukrainiec z Wołynia był pełnoprawnym obywatelem Rzeczypospolitej, ale uważał się za syna narodu ukraińskiego, a nie polskiego. W Polsce obecnej mniejszości narodowe stanowią niewielki procent ludności, ale należy uszanować ich tożsamość. Lepiej więc zastąpić „naród" takimi terminami, jak „obywatele", „wspólnota obywateli" itp.



*Kościół*

W projekcie komisji senackiej czytam: „Państwo i Kościół katolicki oraz inne Kościoły i związki wyznaniowe są autonomiczne i niezależne, każde we własnym zakresie rządzi się własnymi prawami".

Autonomiczne, niezależne, własnymi prawami — czy to nie za dużo? Wystarczy chyba zagwarantować wolność kultu, zaznaczyć, że działalność Kościołów nie może pozostawać w sprzeczności z ustawodawstwem państwowym oraz nadmienić, że stosunki między Rzecząpospolitą i Kościołem rzymskokatolickim reguluje konkordat.

Konstytucja marcowa z r. 1921 poświęciła tym sprawom aż 6 artykułów, które przeszły w całości do konstytucji kwietniowej. Szkoda, że o rozdziale Kościoła od Państwa nie mówi żaden z obecnych projektów. Ale podczas gdy obie konstytucje przedwojenne nakazywały obowiązkową naukę religii w szkołach podstawowych i średnich, to projekt komisji sejmowej nie narzuca takiego obowiązku, głosi jednak: „państwo gwarantuje rodzicom oraz prawnym opiekunom prawo do pobierania przez ich dzieci nauki religii w szkołach i w punktach katechetycznych stosownie do ich wyznania". Takie rozwiązanie nie powinno budzić zastrzeżeń ze strony władz kościelnych i pozostaje w zgodzie ze Światową Deklaracją Praw Człowieka, która przyznaje takie prawo rodzicom.

*Trybunał Konstytucyjny*

Świetny wynalazek francuski, jakim jest ten Trybunał badający zgodność ustaw i dekretów z konstytucją, wprowadzono zarówno do projektu senackiego, jak i sejmowego. Należałoby tylko zaznaczyć, że sąd winien obradować przy drzwiach zamkniętych i solidarnie podpisywać się pod swymi orzeczeniami. Aby zapewnić dyskrecję i sprawność obrad, liczbę sędziów trzeba ograniczyć do dziewięciu, jak we Francji, a nie do dwunastu czy osiemnastu, jak to się projektuje w Warszawie.

Tematu bynajmniej nie wyczerpałem. Zastrzeżenia budzi sporo innych dyspozycji w projektowanych konstytucjach, zwłaszcza w projekcie senackim.

*Jan WINCZAKIEWICZ (Paryż)*

# KRAJ — BLOK WSCHODNI

**5. 4. 92**
Honorową nagrodę krakowskiej *Arki* za 1992 rok otrzymała Irina Iłowajskaja-Alberti, naczelny redaktor *Russkoj Mysli* w Paryżu, za pracę na rzecz rosyjsko-polskiej zgody i wzajemnego poznania.

**28. 4. 92**
Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego w Warszawie zasądził od Skarbu Państwa na rzecz prof. Józefa Parnasa 380 mln zł tytułem odszkodowania i kwotę 70 mln tytułem zadośćuczynienia za krzywdę wynikłą z orzeczenia i wykonania kary, której nie powinien był ponieść. Prof. Parnas był skazany w 1969 r. na karę pięciu lat pozbawienia wolności i dwa lata utraty praw. Skazany został za „przestępstwo szczególnie niebezpieczne w okresie odbudowy państwa" i przebywał w więzieniu przez 2 lata i 11 miesięcy.

**5. 5. 92**
W oddziałach „błękitnych hełmów" ONZ w Kambodży jest oddział polski złożony z ok. 700 żołnierzy. Państwa wysyłające swoje formacje do wzięcia udziału w akcji „błękitnych hełmów" otrzymują zwrot kosztów przeciętnej stawki na utrzymanie żołnierza, plus dodatki specjalistyczne. Pieniądze te wpływają do skarbu państwa, żołnierze zaś — niezależnie od żołdu w swoim kraju — otrzymują niewielkie „kieszonkowe".

**11. 6. 92**
W Warszawie odbyły się uroczystości związane z 100-ną rocznicą urodzin prof. Juliana Krzyżanowskiego. Zostały one zorganizowane przez Uniwersytet Warszawski, Instytut Badań Literackich PAN i Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza.

**14. 6. 92**
Warszawski *Przegląd Tygodniowy* podaje, że zarejestrowano w Polsce 105 partii politycznych: 14 określa się jako narodowe, 9 — jako ekologiczne, a 2 — jako katolickie. Wśród zarejestrowanych jest m.in. Polska Partia Niezadowolonych, Partia „Wulkan", Polska Partia Monarchistyczna (chwilowo bez pretendenta do tronu). Najwięcej partii działa w Warszawie i w województwie warszawskim.

**24. 6. 92**
Zmarł w wieku 71 lat prof. Janusz Wierzbicki, b. rektor Akademii Ekonomicznej w Poznaniu.

**26. 6. 92.**
W Warszawie odbyła się sesja naukowa: „Zbrodnia katyńska — droga do prawdy".

**1. 7. 92**
W Wilnie powstało radio „Znad Wilii", którego dyrektorem jest p. Walery Tankiewicz. Audycje nadawane są w języku polskim. Zasięg słyszalności radia wynosi 70 km w promieniu od Wilna; nadaje na falach ultrakrótkich w paśmie 69,05 MHz od godziny 14 do 24.



**2. 7. 92**
W Kijowie wręczono Zbigniewowi Brzezińskiemu nagrodę im. Antonowyczów. Zbigniew Brzeziński oświadczył, że pieniężną część nagrody przekazuje rodzinom tych, którzy zginęli w łagrach, tak jak znany poeta ukraiński Wasyl Stus, poprzedni laureat tej nagrody.

**7. 7. 92**
Zmarła w Poznaniu w wieku 76 lat Seweryna Szmaglewska-Wiśniewska, pisarka, autorka „Dymów nad Birkenau".

**10. 7. 92**
Zmarł w wieku 80 lat Alfons Klafkowski, prawnik, organizator i pierwszy prezes Trybunału Konstytucyjnego. Przed wojną A. Klafkowski współpracował z tygodnikiem *Polityka*, wydawanym przez Jerzego Giedroycia.

**12. 7. 92**
Zmarł w Bochni prof. Jan Kot, ostatni z członków II Zarządu Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość" (WiN). Aresztowany w sierpniu 1946 r., skazany we wrześniu 1947 r. na karę śmierci, zamienioną na dożywotnie więzienie, był więziony do 1956 r.

**6. 8. 92**
Zmarła w Warszawie w wieku 68 lat Wanda Falkowska-Szymańska, świetny dziennikarz i człowiek.

**7. 8. 92**
Zmarł w Warszawie w wieku 67 lat prof. dr Zbigniew Raszewski, wybitny historyk i teoretyk teatru (z Instytutu Sztuki PAN), autor m.in. dzieła o Bogusławskim (nagroda Polskiego PEN-Clubu), redaktor „Słownika Biograficznego Teatru Polskiego", członek ostatniego zarządu PEN-Clubu przed wprowadzeniem stanu wojennego.

**13. 8. 92**
*Gazeta Wyborcza* w numerze z 13-go sierpnia br. podaje, że prezydent Wałęsa wystosował list do Jelcyna zawiadamiający go, że Polska chce wziąć udział w budowie mieszkań dla rosyjskich oficerów wycofywanych z Polski, z tym że udział polskich firm byłby finansowany ze środków przyznanych Rosji przez Zachód. ■ *Gazeta* podaje również, że prezydent Wałęsa zaproponował prezydentowi Izraela wspólne objęcie honorowego patronatu nad obchodami 50-tej rocznicy powstania w getcie warszawskim. Nie sądzimy, by była to rozsądna propozycja, biorąc pod uwagę obojętny stosunek społeczeństwa polskiego w owym czasie do powstania. Naszym zdaniem jest tylko dwóch Polaków, którzy mogliby wziąć udział w patronacie nad uroczystościami, a mianowicie prof. Jan Karski i Władysław Bartoszewski.

**15. 8. 92**
15 sierpnia odbył się w Jarosławiu światowy zjazd Ukraińców. ■ Nieprawdopodobna historia. Od trzech miesięcy nie ma w Suwałkach wojewody, gdyż miejscowi liderzy partii politycznych nie są w stanie wyłonić wspólnego kandydata. Jest nie do pomyślenia, by urzędnicy administracji państwowej byli desygnowani przez partie a nie przez rząd. Tak samo wydaje się rzeczą nieprawdopodobną by wojewodowie prowadzili politykę zagraniczną i rokowania międzynarodowe. Pisze o tym ostatnio prasa krajowa, której głównym zmartwieniem jest to, że wojewodowie nie znają przeważnie protokołu dyplomatycznego.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

**10. 3. 92**
**Zmarł w Genewie wieku 53 lat Julian Brysz, dziennikarz, współzałożyciel i autor STS Pstrąg.**

**9. 6. 92**
**Profesor historii Alpha Umar Konare został zaprzysiężony jako pierwszy demokratycznie wybrany prezydent Mali. Prof. Konare ukończył studia na Uniwersytecie Warszawskim.**

**22. 6. 92**
**Znane wydawnictwo londyńskie Overseas Publications Interchange Ltd. publikujące książki w języku rosyjskim po 25-ciu latach działalności zostało zamknięte. Ostatnim dyrektorem tego wydawnictwa była p. Nina Karsov.**

**1. 7. 92**
**Znana i zasłużona instytucja *Aide à l'Eglise en Détresse* w ciągu 1991 roku udzieliła dotacji następującym krajom Europy Wschodniej: Białorusi — 172.880 dolarów, Estonii — 63.677 dolarów, Gruzji — 70.388 dolarów, Węgrom — 4.357.819 dolarów, Łotwie — 224.752 dolarów, Litwie — 1.549.321 dolarów, Polsce — 9.521.598 dolarów, Rosji — 1.443.150 dolarów, Czechosłowacji — 3.954.204 dolarów, Ukrainie — 3.766.028 dolarów.**

**3. 7. 92**
**Zmarł w Costa Mesa, CA (USA) w wieku 91 lat płk Antoni Bohun-Dąbrowski (prawdziwe nazwisko: Antoni Skarbek-Szacki), dowódca Brygady Świętokrzyskiej Narodowych Sił Zbrojnych.**

**8. 7. 92**
**Ambasador RP w Paryżu J. Łukaszewski udekorował Józefa Czapskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski i wręczył mu złoty medal od Rady Ochrony Pamięci Walki i Męczeństwa. Uroczystość odbyła się w domu *Kultury* w Maisons-Laffitte, gdzie mieszka Józef Czapski.**

**13. 7. 92**
**Zmarła w Nicei (Francja) p. Iza de Neyman, b. aktorka teatrów polskich (pseudonim — Iza Faleńska), przyjaciółka wielu pisarzy polskich z Jerzym Stempowskim na czele.**

**8. 8. 92**
**W czasie ostatnich zawodów olimpijskich w Barcelonie Polska uzyskała 3 złote medale, 6 srebrnych i 10 brązowych; Czechosłowacja: 4 medale złote, 2 srebrne i 1 brązowy; Węgry — 11 złotych, 12 srebrnych i 7 brązowych; Estonia — 1 złoty i 1 brązowy; Litwa — 1 złoty i 1 brązowy; Łotwa — 2 srebrne i 1 brązowy.**

**12. 8. 92**
**W nocy z 11 na 12 sierpnia zmarł przeżywszy 95 lat, gen. Klemens Rudnicki, ostatni dca 1. Dywizji Pancernej i senior Kawalerii Polskiej. Po wyjściu z obozów sowieckich walczył w ramach 2 Korpusu pod Monte Cassino i później do końca wojny.**



## KRONIKA KANADYJSKA

**Celem utrzymania lektoratu języka polskiego na uniwersytecie McMaster w Hamiltonie rozpoczęła się zbiórka niezbędnych funduszy. Z ogłoszonego pierwszego sprawozdania za okres styczeń 1991-maj 1992 r. wynika, iż zebrano $ 28.330. Najwyższa indywidualna dotacja w wysokości $ 5.000 wpłynęła od p. J. Robotyckiej. Fundacja Millenium wyprzedza wszystkie organizacje i instytucje roczną dotacją w wysokości $ 6.500, a Fundacja im. Mickiewicza $ 1.500. ■ Wpłaty i zobowiązania na profesurę historii Polski na University of Toronto osiągnęły w grudniu 1991 r. sumę $ 440.450. Do zebrania pozostało $ 309.550. ■ W Montrealu zmarł 18 maja br. Mieczysław Sangowicz, dziennikarz, publicysta, aktywny działacz Skarbu Narodowego, redaktor pisma *Wiadomości Polskie*, organu politycznego obozu legalistycznego w Montrealu. W Polonii znany był również jako dziennikarz radiowy, pracował bowiem przez wiele lat w sekcji polskiej Radio-Canada. ■ Rząd federalny złożył 16 czerwca br. w Izbie Gmin projekt zmian obowiązującej ustawy imigracyjnej. Projektowane zmiany są bardzo radykalne, niwelują zasadę równości, a ustanawiają selekcję imigrantów. Rząd dysponuje znaczną większością w Izbie Gmin, wobec tego zmiany zostaną uchwalone — być może z nieznacznymi poprawkami. Politykę imigracyjną Kanady reguluje w znacznej mierze rynek pracy i sytuacja gospodarcza. Inne czynniki — polityczne, humanitarne — odgrywały zawsze rolę uboczną. Warto też przypomnieć, że w różnych okresach polityka ta była selektywna, zmieniały się kategorie zarówno „uprzywilejowanych" jak i dyskryminowanych. Pierwsze ograniczenia imigracyjne, wprowadzone w 1885 r., dotyczyły Chińczyków — każdy z nich uiszczał aż do końca lat 1940-tych pogłowne w wysokości $ 100. Selekcję w odniesieniu do wszystkich imigrantów wprowadzono już w 1891 r. i z nieznacznymi zmianami stosowano do 1911 r. Na imigrantów kwalifikowali się tylko rolnicy, kandydaci do prac rolnych, których kierowano do zachodnich prowincji. W 1903 r. selekcja została zróżnicowana: 1. uprzywilejowani: Anglosasi, Skandynawowie, Niemcy, Holendrzy; 2. do określonych prac: Polacy, Ukraińcy, Słowacy, Włosi i inni z płd. Europy. A wreszcie 3. niepożądani. Do tej grupy należeli wszyscy „kolorowi". W tej kategorii istniała jednak wąska furtka dla nikłej liczebnie rocznej kwoty z imperium brytyjskiego. Ograniczenia rasowe wobec tubylców z brytyjskich kolonii zostały zniesione w 1962 r., a wszystkie dyskryminacje rasowe i wyznaniowe oraz narodowościowe w 1967 r. z ustanowieniem systemu kwalifikacji na „punkty". Kandydat na imigranta otrzymywał określoną liczbę punktów: za znajomość języka angielskiego lub francuskiego, stopień wykształcenia, zawód, rodzinę w Kanadzie itp. Ta ustawa imigracyjna obowiązuje dotychczas, ale w różnych okresach i z różnych powodów zawieszono pewne postanowienia i wymogi. Dyrektywami regulowano otwarcie lub przymknięcie bram imigracji we wszystkich trzech kategoriach: rodzina, niezależni, uchodźcy. Klasyfikacja uchodźców w zasadzie opiera się na Konwencji Genewskiej, ale Kanada bywała okresowo bardziej liberalna, np. wobec obywateli państw bloku sowieckiego. Po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce w grudniu 1981 r. nieomal wszystkie ograniczenia w stosunku do Polaków zostały zawieszone. Nowa ustawa nie ma na celu zahamowania imigracji, lecz jej „uporządkowanie", to znaczy przyjmowanie „należycie" kwalifikowanych kandydatów na obywateli. Apelacje rozpatrywać będzie nie jak dotychczas Sąd Federalny w składzie 3 sędziów, ale jeden**

sędzia. Uchodźcy, którzy przybyli z państw „bezpiecznych", zostaną deportowani. Postanowienia te mają na celu m.in. szybkie załatwienie zaległych aplikacji *self exile*, których jest kilkadziesiąt tysięcy. Uznani uchodźcy będą mogli sprowadzić swoje rodziny. Ustawa ma zapewnić przyjmowanie „lepszych" imigrantów, to jest takich, którzy mają wysokie kwalifikacje zawodowe, potrzebne i poszukiwane w Kanadzie, dysponują odpowiednio wysokim kapitałem dla inwestycji w określonych dziedzinach i gotowi są do usadowienia się w wyznaczonych miastach czy okręgach na okres dwóch lat. Odpowiedzialni wyżsi urzędnicy Urzędu Imigracyjnego decydują o liczbie wiz w każdej kategorii. Uprawnienia, które dotychczas należały do resortowego ministra w nowej ustawie będą mieli pracownicy Urzędu Imigracyjnego. ■ Polska znajdowała się w 1991 r. znowu w czołówce państw skąd przybyli imigranci — na drugim miejscu po Hong Kongu. Ogółem przybyło 228.557 imigrantów w tym z Hong Kongu 22.147, tj. 9,7 %, a z Polski 15.479, tj. 6,8 %. W prowincji Ontario osiedliło się 51,4 % nowoprzybyłych, w Quebec — 22,4 %, Brytyjskiej Kolumbii — 13,8 %, w peryferyjnych prowincjach 10,9 %, a w atlantyckich — 1,3 %. Największą liczbę imigrantów przyjęły duże miasta: Toronto — 28 %, Montreal — 20 %. Postanowienie nowej ustawy — gotowość dwuletniego osiedlenia się w wyznaczonym rejonie — zmierza do zahamowania przypływu do najbardziej uprzemysłowionych prowincji i miast. ■ W nadchodzącym roku akademickim ustanowione będą dwie dalsze katedry studiów grup etnicznych w Kanadzie. Uniwersytet Daldousie w Halifax otrzymał od rządu federalnego (Ministerstwo Wielokulturowości i Obywatelstwa) dotację w wysokości $400.000 na ustanowienie katedry studiów historii i kultury murzyńskiej oraz wkładu Murzynów w życie Kanady. Społeczność murzyńska w Nowej Szkocji i innych prowincjach uzupełni tę dotację w takiej samej sumie. Uniwersytet McGill w Montrealu ustanawia katedrę nowoczesnego języka greckiego i grecko-kanadyjskich studiów. Dotację rządu federalnego w wysokości $400.000 uzupełniła dotacja $325.000 rodziny zmarłego finansisty greckiego pochodzenia, Phrixosa Papachristidisa. Uniwersytet zapowiedział zbiórkę celem uzyskania dodatkowo $500.000 w ciągu pięciu lat. Ustanowione więc zostały kolejno 23-cia i 24-ta katedry studiów dziejów i kultur grup etnicznych. Program ten działa od 1977 r. i zainicjowany został przez pierwszego ministra wielokulturowości, dr. Haidasza. Ustanowienie katedry uzależnione jest od równego wkładu finansowego grupy etnicznej. Wysokość kwoty w pierwszych latach wynosiła $600.000: dotacja rządowa — $300.000 oraz taka sama suma od grupy etnicznej. Kongres Polonii Kanadyjskiej nie wystąpił w odpowiednim czasie do uniwersytetu w Toronto i rządu federalnego z wnioskiem o utworzenie katedry studiów Polski, gdyż uważał inną sprawę za ważniejszą. Być może m.in. dlatego, że jest na torontońskim uniwersytecie katedra polonistyki. Po latach, w zmienionych warunkach, Kongres uzyskał zgodę na profesurę historii Polski na wydziale historii pod warunkiem złożenia $750.000 na ten cel. Dotacja państwowa nie jest przewidziana na profesury. Ogółem począwszy od 1977 r. dzięki dotacjom rządowym ustanowiono 16 katedr studiów poszczególnych grup i 6 badań wieloetnicznych i wielokulturowych. Są już katedry studiów kultur: węgierskiej, ukraińskiej, włoskiej, estońskiej, słowackiej, islandzkiej, niemieckiej, hinduskiej, by wymienić największe, ale brak jest polskiej. Dotacja państwowa musi być zrównoważona wpłatą tej samej sumy przez daną społeczność. To nie rząd Kanady czy uniwersytety są przeciwko ustanowieniu katedry studiów polskich...

Toronto, 2. 07. 1992

*B.H.*



# APEL INSTYTUTU JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W AMERYCE

**W roku 1993 przypada 50-ta rocznica powstania Instytutu Piłsudskiego w Ameryce. Utworzony w wojennych warunkach dla dokumentowania burzliwego okresu w dziejach Polski, kontynuował swą misję po zakończeniu konfliktu, w okresie dominacji komunistycznej, wspomagając naród w walce o pełną niepodległość. Nasza bezkompromisowość, niepodległościowa postawa, z którą identyfikują się dzisiaj prawie wszyscy, nie była jednakże zjawiskiem powszechnym. Przysporzyła nam ona wiele trudności, mnożyła wrogów.**

**Wytrwanie w duchu przywiązania do myśli politycznej Piłsudskiego w połączeniu ze znaczącym dorobkiem naukowym jest podstawą do spojrzenia wstecz z przekonaniem o wypełnieniu zadań. Półwiecze pracy nie będzie jednak wyłącznie podstawą do refleksji. Zadania nasze, podobnie jak zadania wielu innych ośrodków polskich na emigracji, nie uległy wyczerpaniu. Wręcz przeciwnie, wiele oznak wskazuje, że w zmienionych warunkach, wobec znanych trudności kraju, misja ich może być dalej użyteczna i owocna.**

**Aby tak się stało, konieczne jest okazanie im wsparcia. Nie posiadamy bowiem na emigracji mniej czy bardziej zasobnego ministerstwa zaspokajającego nasze potrzeby. Ofiarność społeczna tych, którzy dostrzegają tego rodzaju konieczność, jest w tym przypadku jedynym środkiem. Apelujemy więc do wszystkich, którym bliska jest ta idea, o finansowe poparcie naszej pracy.**

**Adres:** **Instytut Józefa Piłsudskiego w Ameryce**
**381 Park Avenue South**
**New York, NY 10016**
**tel.: (212) 683-4342**
**fax: (212) 683-4514**

WAWEL
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich
Wszystko na temat Europy Wschodniej:
— Literatura piękna i fachowa,
— Albumy, plakaty, pamiątki,
— Książki antykwaryczne.
Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.
Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.
Tel.: 0221/24-61-60.
Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

# *Listy do Redakcji*

Vitry-sur-Seine, 23 VI 1992

Szanowny Panie Redaktorze,

Do „Pogranicza" Adama Kulika w *Kulturze* z czerwca tego roku wkradła się pewna nieścisłość: czytamy tam „Koran przetłumaczono na polski ledwie lat temu parę". Autor ma z pewnością na myśli przekład, który ukazał się w PIW-owskiej serii „Bibliotheca mundi". Otóż Koran po raz pierwszy po polsku ukazał się w Warszawie w 1858 r., „nakładem Aleksandra Nowoleckiego, księgarza przy rogu ulic Krakowskie-Przedmieście i Senatorskiej wprost kolumny Zygmunta n. 457". Zezwolenia na druk Komitet Cenzury udzielił „dnia 9 (21) Września 1857 r.", a sam druk miał miejsce „W Drukarni J. Jaworskiego". Był to „z arabskiego przekład polski Jana Murzy Tarak Buczackiego, Tatara z Podlasia. Wzbogacony objaśnieniami Władysława Kościuszki". Wydany został w dwóch tomach, przy czym sam Koran stanowił drugi tom wydania, pierwszy zaś poświęcony został historii życia Mahometa, dziejom stosunków „Polski z Turcją i Tatarami", dziejom Arabów, modlitwom islamskim itp. Dodać należy, że Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe w r. 1988 opublikowały fotooffsetowy reprint tego wydania, w nakładzie 10.000 egzemplarzy, „z egzemplarza udostępnionego przez Bibliotekę Publiczną m. st. Warszawy".

Łączę wyrazy szacunku

*Adam Tadeusz BĄKOWSKI*

●

Szanowni Panowie

Niech wolno mi będzie prosić o łaskawe ogłoszenie poniższego sprostowania:

Czytelnicy donoszą mi, że w jednym z ostatnich numerów *Kultury* bodaj w sprawozdaniu z polityki krajowej, są dwie krótkie wzmianki o mnie, razem 4 wiersze. Zły stan mojego wzroku nie pozwolił mi sprawdzić, ale jeśli to co mi donoszą jest prawdą, to owe 4 wiersze zawierają dwa fałsze.

1. Nieprawdą jest, że jestem członkiem Opus Dei. Natomiast prawdą jest, że nim nie jestem i nigdy nie byłem, że nie mam żadnych stosunków z tą organizacją i nawet nie bardzo wiem, czym ona jest.

3. Nieprawdą jest, że dr Jan Parys był moim sekretarzem. Natomiast



prawdą jest, że przeprowadził ze mną w r. 1987 szereg wywiadów ogłoszonych pod tytułem „Między logiką a wiarą" i że w tych wywiadach nie było w ogóle mowy o polityce.

Nie trudziłbym Szanownych Panów tak błahymi nieprawdami, gdyby nie podejrzenie, że one zostały umyślnie ukute, aby przedstawić p. Parysa w możliwie najgorszym świetle.

Z góry uprzejmie dziękuję i łączę najlepsze ukłony

*J.M. BOCHEŃSKI*

●

Fontenay, 16.07.92

Szanowny Panie Redaktorze,

Z lipcowo-sierpniowego numeru *Kultury* dowiedziałem się, że mój artykuł „Jedna cywilizacja ale czy jedno życie" dotarł do redakcji niepodpisany. Za to przypadkowe przeoczenie przepraszam zarówno pana redaktora jak i pana Antoniego Pospieszalskiego.

Łączę wyrazy szacunku

*Piotr DASZKIEWICZ*

●

Chicago, 8 sierpnia 1992

Szanowny Panie Redaktorze,

W *Kulturze* nr 7/538-8/539 z br. zamieścił Pan list Jerzego Bonieckiego na temat „drugiego Planu Marshalla". Próbując udowodnić, że plan taki jest możliwy w odniesieniu do krajów postkomunistycznych, pan Boniecki w p. 2 swojego listu pisze: „W gospodarce kapitalistycznej celem działalności jest wytworzenie zysku, a to z kolei wymaga: a) stałego rozszerzania rynku zbytu, oraz b) stałego obniżania kosztów". Dalej, bazując na tym niepodważalnym stwierdzeniu, pan Boniecki pisze: „Tak np. zachodnioeuropejski przemysł samochodowy (VOLKSWAGEN, OPEL, FIAT) ocenia, iż w kosztach wyprodukowania samochodu w krajach Europy Środkowo-Wschodniej robocizna wynosi mniej niż 2%, podczas gdy na Zachodzie sięga ona 25%.

Niestety, pan Boniecki nie wziął pod uwagę, że koszta robocizny można obniżać w wieloraki sposób, jak np. przez wprowadzanie nowych technologii, automatyzacji, przyspieszenie procesów produkcyjnych. Wybrał najprostszy, obniżenie wynagrodzeń. Jest to metoda z czasów wczesnego kapitalizmu, która omal sto lat temu została zarzucona pod naciskiem robotników zrzeszających się w związki zawodowe.

Niskie wynagrodzenia za pracę w krajach postkomunistycznych nie mogą iść w parze z zachodnioeuropejskimi kosztami utrzymania. Sytuacja taka doprowadza społeczeństwa tych krajów do ubóstwa. Żadne ze środkowo-wschodnich społeczeństw nie zgodzi się na takie rozwiązanie. Najlepszym tego dowodem jest strajk w Tyskich zakładach przemysłu samochodowego spowodowany bardzo niskimi wynagrodzeniami za pracę. Robotnicy tych zakładów, których średnie wynagrodzenie miesięczne wynosi obecnie

1,7 % wartości produkowanego samochodu, domagają się podwyżek, tak aby wynosiło ono 10 % tej wartości. Takie same strajki wybuchną w każdym zakładzie, o ile pracodawca będzie usiłował wprowadzić XIX-towieczne sposoby obniżania kosztów produkcji.

Gdyby się jednak w jakiś sposób udało stłumić strajki bez podnoszenia wynagrodzeń, wówczas nie zostanie spełniona nadzieja kapitalistów na rozszerzenie rynków zbytu. Zubożałe społeczeństwa nie będą w stanie nabywać wytwarzanych przez siebie produktów. FIAT ma zapewne nadzieję na to, że wyprodukowane w Bielsku samochody będą mogły być sprzedawane na Zachodzie po dumpingowych cenach. Nie spowoduje to jednak wielkiego wzrostu rynku zbytu. Firmy zachodnie muszą się również liczyć z protestem własnych związków zawodowych tak jak to ma obecnie miejsce w zakładach BMW w Niemczech. Dlatego, w mojej opinii, szansa na wielkie inwestycje zachodnie w krajach Europy Środkowo-Wschodniej nie przedstawia się aż tak różowo.

Z głębokim szacunkiem

*Zbigniew FRANK*

●

Poznań, 10. 7. 1992 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze:

Wydawałoby się, że w kraju nie posiadającym tak podstawowego we współczesnej Europie aktu prawnego, jak ustawa psychiatryczna, każde napomknienie o niebezpieczeństwie, jakie niesie za sobą ten niepokojący stan rzeczy, wywoła gwałtowną i szeroką dyskusję. Tymczasem nic z tego — wszelkie, co prawda ogólnikowe i głównie zdawkowe, uwagi czynione na ten temat przechodzą, jak dotąd, bez echa, a ustawy jak nie było, tak nie ma. A przecież jest się czego bać. Czyżbyśmy już do tego stopnia byli zobojętniali, że nie powiem zdeprawowani, patologiami naszego życia społecznego, że nawet próby niegodnego wykorzystania psychiatrii w walce politycznej także u nas nie budzą niczyjego protestu?

Brak ustawy psychiatrycznej powoduje, że znaczące ugrupowanie polityczne mające w swojej nazwie przymiotnik „demokratyczna", z jednej strony może brać czynny udział w pracach Sejmu nad ratyfikacją Konwencji Europejskiej, a z drugiej, w walce z politycznym przeciwnikiem, zupełnie bezkarnie używać psychiatrycznego straszaka. I tak, w listopadzie 1991 roku minister Skubiszewski podpisuje „Konwencję o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności", a w połowie 1992 roku, groźbą badania psychiatrycznego, Unia Demokratyczna usiłuje zdyskredytować redaktora K. Wyszkowskiego w oczach społeczeństwa. Nie jest to niestety jedyna w ostatnim czasie — z niskich pobudek czyniona — próba zdyskontowania tej przykrej luki w naszym prawie. Niepokojąco liczne, i to w najwyższych kręgach władzy, przejawy żenującej nonszalancji w stawianiu psychiatrycznych zarzutów (prezydent RP Lech Wałęsa — Annie Walentynowicz, Jacek Kuroń — Antoniemu Maciarewiczowi) czynią problem ustawy niezwykle naglącym. W każdym zbiorowisku ludzkim, które — na swoje nieszczęście — nie wypracowało właściwych i skutecznych hamulców obyczajowych, stosunki społeczne musi regulować prawo.

Od 30-tu lat jestem psychiatrą i mam pełne prawo do oficjalnego, stanowczego protestu przeciw wszelkim próbom instrumentalnego traktowania, a raczej oburzającego wykorzystywania psychiatrii w pozamedycznych celach. Mam nadzieję, że polski psychiatra nigdy nie będzie bezwolnym narzędziem w rękach różnej maści niemoralnych politykierów. Każdy człowiek ma pełne prawo do wolności myśli, swobody wypowiedzi i niczym nieskrępowanych publicznych wystąpień — psychiatra, czy to się komu podoba czy nie, w interesie nawet najwyżej postawionych osób, nie będzie nikomu zamykał ust.

Z wyrazami najgłębszego szacunku i poważania

*Jan A. TOMASZKIEWICZ*



# ODPOWIEDZI REDAKCJI

***Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.***

*S. B. w Kraju* — Wybraliśmy do druku dwa wiersze, *Golgota* i bez tytułu, zaczynający się od słów „Zapewnem wysłał sygnał".

*J. K. w Kraju* — Artykuł „Odwalanie zabobonu" wydaje nam się mętny, choć tu i ówdzie widać w nim przebłyski zdrowego rozsądku.

*H. E., Niemcy* — *Ofelia* jest przemądrzała i pisarsko bezbarwna.

*P. S. w Kraju* — Fragmenty książki (bez tytułu) wskazują na rzecz pożyteczną, miejscami dość ciekawą (jakkolwiek nie przynosi rewelacji), ale ogłosiliśmy już raz, i obecnie powtarzamy, że w zmienionej sytuacji czytelniczej książki możemy wydawać tylko w niektórych wypadkach.

*T. S. w Kraju* — książka *Głód sensu* budzi sympatię jako potrzeba przemyślenia głównych zagadnień życia i współczesnego świata. Na ogół Pana uwagi są sensowne, zasługiwałyby (mimo ich charakteru „chałupniczego") na publikację książkową, ale — jak zaznaczyliśmy wyżej — sami wydać jej nie możemy.

*R. P., Niemcy* — Pana „utwór satyryczny" *Science-Fiction* nie wydaje się nam zbyt pomysłowy na tle ogromnej literatury „futurologicznej".

*J. K., Niemcy* — Wybraliśmy do druku dwa wiersze: *Luter* i *Portret zbiorowy*.

*L. L. w Kraju* — Niestety Pana tekst o Brzozowskim jest bardzo mętny i rozbiegany, nie wnosi ani jednej oryginalnej myśli do analizy dzieła Brzozowskiego. Poza tym ogranicza się do *Pamiętnika*. Pozostałe Pana teksty nadają się, być może, do czasopisma filozoficznego; w każdym razie nie nadają się do *Kultury*.

*S. D. w Kraju* — Zbiór wierszy poetów rzeszowskich *Ślepcy pod słońcem* jest dość ciekawy. Zakwalifikowaliśmy do druku Pana wiersz *Wsłuchany*.

*P. S. w Kraju* — Powtarza Pan w swoim artykule *Europa jako mit* rzeczy na ogół znane. Trzeba wreszcie na śmietnik wyrzucić podział na dwa obozy: demokracji i postępu oraz reakcji. Wśród „postępowców" nie brak głupców, jak roi się od nich wśród „reakcjonistów". Podział powinien właśnie przebiegać tak: po jednej stronie głupcy, po drugiej ludzie rozumni.

*J. K., T. I. R., W. P., S. D., C. L., G. L., Em,. w Kraju* — z wierszy nie skorzystamy.

## *Nowości wydawnicze*

**BIBLIOTEKA «KULTURY»**

**TOM 472 — WACŁAW A. ZBYSZEWSKI**

# ZAGUBIENI ROMANTYCY I INNI

**Wybór esejów jednego z najwybitniejszych publicystów polskich, zamieszczanych w *Kulturze* i londyńskich *Wiadomościach*. Oto ich tytuły: CZ. I. SPRAWY I TROSKI: Zmartwienia pesymisty; Dwa okresy powojenne; Polska a świat katolicki; Bilans emigracji w Anglii; Francja i Polska; Kto był prorokiem: Malthus czy Marx. CZ. II. ZAGUBIENI ROMANTYCY: Polscy pisarze są bez szans; O pisarzach i redaktorach; Zagubieni romantycy. CZ. III. LUDZIE KTÓRYCH ZNAŁEM: Wspomnienie o Ksawerym Pruszyńskim; Stroński; Stanisław Mackiewicz; Sceptyk i arystokrata; 100-lecie urodzin Adama Krzyżanowskiego; Sikorski; Melchior Wańkowicz; Profesorowie U.J. w latach dwudziestych; Prof. Kot i ludowcy; Juliusz Mieroszewski; O Józefie Czapskim.**

**Wybór poprzedza wstęp Stefanii Kossowskiej.**

**Str. 335** **Cena F. 100,00**


**Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI**
**Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.**

**Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE**
**91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.**

***Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.***
**Commission Paritaire N° 60789.**
**Dépôt légal: 3e trimestre 1992.**

**Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.**
**42, av. de Wagram, 75008 Paris**

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 606-1992



# KULTURA

**REDAKTOR: JERZY GIEDROYC**
**Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04**
**FAX: 33-1-39-62-57-52**


| PRZEDSTAWICIELSTWA | Egz. poj. | Prenumerata 1/2-roczna | Prenumerata roczna |
|---|---|---|---|
| | **Ceny na rok 1992** | | |
| **AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza,** 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181 | F. 50,00 | F. 280,00 | F. 550,00 |
| **ARGENTYNA: «Libreria Polaca»,** Serrano 2076, 1425 Buenos Aires | F. 50,00 | F. 280,00 | F. 550,00 |
| **AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA,** King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248 | $A. 12,00 | $A. 70,00 | $A. 130,00 |
| **AUSTRIA: Księgarnia Polska,** 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114 | F. 50,00 | F. 280,00 | F. 550,00 |
| **BELGIA:** prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» | F. 50,00 | F. 280,00 | F. 550,00 |
| **BRAZYLIA:** prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» | F. 50,00 | F. 280,00 | F. 550,00 |
| **DANIA: O.T. Zalewski,** Postboks 41, 2880 Bagsvaerd | F. 50,00 | F. 280,00 | F. 550,00 |
| **FRANCJA:** do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu | F. 50,00 | F. 280,00 | F. 550,00 |
| **HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz,** Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623 | Fl h 20,00 | Fl h 100,00 | Fl h 190,00 |
| **IZRAEL: Księgarnia Polska,** E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311 | F. 50,00 | F. 280,00 | F. 550,00 |
| **KANADA: Krystyna Krakowska,** 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Very rev. D.M. Malinowski,** 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604) 338-80-40; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; **Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches,** 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63 | $can. 12,00 | $can. 65,00 | $can. 122,00 |
| **NIEMCY: Kubon & Sagner,** Buchexport-Import, Hessstrasse 39/41, Postfach 340108, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60 | DM 15,00 | DM 90,00 | DM 170,00 |
| **NORWEGIA: Zb. Tyszko,** Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55 | F. 50,00 | F. 280,00 | F. 550,00 |
| **SZWAJCARIA: Krystyna Wasung,** 4, Avenue Cardinal Mermillod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84 | F.S. 13,50 | F.S. 75,00 | F.S. 140,00 |
| **SZWECJA: Norbert Żaba,** Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6 | K.S. 56,00 | K.S. 310,00 | K.S. 600,00 |
| **U.S.A.: Alma Shipping Co., Inc., Christina Szala** 9 East 48th Str., Bayonne, N.J. 07002; **Ada Dziewanowska,** 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; **Halina Kościuch,** 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; **POLONIA Bookstore,** 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; **Jan Wójcik,** 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books,** 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»,** 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492 | $US 10,00 | $US 55,00 | $US 106,00 |
| **WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd.,** 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210 | F. 50,00 | F. 280,00 | F. 550,00 |
| **WŁOCHY: Elżbieta Zahorska,** 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241 | F. 50,00 | F. 280,00 | F. 550,00 |

**W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 550; półroczna — F. 280.**
***Przesyłka* pojedynczego numeru — F. 6,00.**

**Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.**
**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (*z Francji*)**
**lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (*z zagranicy*).**

# Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 474 — ZYGMUNT HERTZ

## LISTY DO CZESŁAWA MIŁOSZA 1952-1979

WYBÓR I OPRACOWANIE RENATA GORCZYŃSKA

Indeks nazwisk

•

Z listu Marii Danilewicz Zielińskiej: ...Jest to Literatura z dużej litery, przy tym wiarygodne calendarium i to nie tylko Zygmunta Hertza, ale i wspomnianych przez niego osób. „LISTY" mają wagę dokumentu i przypuszczam, że we wszystkich późniejszych opracowaniach historii Instytutu Literackiego i *Kultury* będą eksploatowane przez tysiące (nie przesadzam) młodych adeptów polonistyki i historii czasopiśmiennictwa...

Str. 520 Cena F. 160,00

•

TOM 475 — ZESZYTY HISTORYCZNE

## ZESZYT STO PIERWSZY

zawiera prace: Tomasz Kizny: *Martwa Droga;* Z.S. Siemaszko: *Problemy podziemia pod okupacją sowiecką (1939-1941);* Tadeusz Wyrwa: *Stosunki rządu generała Sikorskiego z rządem Pétaina;* Hanna Świderska: *Z dziejów polskiej prasy opozycyjnej w Londynie 1941-45;* Władysław Kijuć: *Rzeczywistość i mity polsko-litewskie;* Andrzej M. Kobos (opr.): *Gen. Fieldorf „Nil" (wspomnienia żony);* Rudolf M. Falkowski: *Polacy w Armii Czerwonej (1940-1945);* Zygmunt Wenda: *Z marszałkiem Śmigłym. Wspomnienia (dok.);* Teresa Torańska: *Rozmowa z Wiktorem Kulerskim; Mowa króla JMCI Jana Kazimierza ostatnia przy abdykacji;* Władysław Bartoszewski: *Mowa dziękczynna po otrzymaniu obywatelstwa honorowego Izraela* oraz DZIAŁY: d.c. OKRUCHÓW HISTORII, RECENZJE I LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240 Cena F. 90,00

I.N. 93400 St-Ouen - 606-1992

**Cena 50 F**